WSZYSCY JESTEŚMY WYJĄTKOWI

# CUDOWNY CHŁOPAK

## cudowny chłopak

**Julia Roberts**
**Owen Wilson**
**Jacob Tremblay**

Na podstawie bestsellera.

**FILM W KINACH w styczniu**

R.J. PALACIO

# Nie oceniaj ~~książki~~ ludzi po ~~okładce~~ wyglądzie

Inspirująca i pełna ciepła opowieść o przyjaźni, rodzinie i sile, którą ma w sobie każdy z nas.

*Poznaj cudowny świat Auggiego Pullmana!*

CUDOWNY CHŁOPAK

CUDOWNY CHŁOPAK I JA. TRZY CUDOWNE HISTORIE

CUDOWNY CHŁOPAK. WSZYSCY JESTEŚMY WYJĄTKOWI

365 DNI CUDOWNOŚCI

CUDOWNY DZIENNIK

# CUDOWNY CHŁOPAK

R.J. PALACIO

Z angielskiego przełożyła
Maria Olejniczak-Skarsgård

Tytuł oryginału:
WONDER

Copyright © R.J. Palacio 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2017

Redakcja: Anna Jutta-Walenko

Ilustracja na okładce: Tad Carpenter 2012

Opracowanie graficzne okładki: Katarzyna Meszka-Magdziarz

Książka ukazała się także pod tytułem *Cud chłopak*

ISBN 978-83-8125-118-1

*Wydawca*
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

# Spis treści


- Część pierwsza
  - Zwykły dzieciak jak inne
  - Dlaczego nie chodziłem do szkoły
  - Jak przyszedłem na świat
  - Dom Christophera
  - W samochodzie
  - U pana Tushmana
  - Sympatyczna pani Garcia
  - Jack Will, Julian i Charlotte
  - Zwiedzanie szkoły
  - Sala widowiskowa
  - Zgodnie z umową
  - W domu
  - Nerwowy pierwszy dzień
  - Kłódki na szyfr
  - Każdy po kolei
  - Jagnię na rzeź
  - Daj dowód swojej dobroci
  - Przerwa na lunch

- Letni stolik
- Od jednego do dziesięciu
- Padawan
- Wrzesień
- Jack Will
- Październikowe wskazanie pana Browne’a
- Jabłka
- Halloween
- Zdjęcia szkolne
- Serowa zgaga
- Przebranie
- Krwawy Krzyk
- Przezwiska

Część druga

- Tak wygląda nasza galaktyka
- Przed Augustem
- Spojrzenie na Augusta
- August widziany przez okienko
- Liceum
- Major Tom
- Po szkole
- Padawan idzie w odstawkę
- Zjawa w drzwiach
- Śniadanie
- Kwestie genetyczne
- Szachownica Punnetta
- Koniec z tym, co było

- 31 października
- Cukierek albo psikus
- Trzeba to przemyśleć

Część trzecia

- Dziwne dzieciaki
- Trąd
- Impreza halloweenowa
- Listopad
- Uwaga: na to dziecko nie da się patrzeć
- Grobowiec egipski

Część czwarta

- Telefon
- Lodziarnia
- Dlaczego zmieniłem zdanie
- Cztery powody
- Byli przyjaciele
- Śnieg
- Fortuna sprzyja odważnym
- Szkoła prywatna
- Przedmioty ścisłe
- Pary
- Zawieszony
- Życzenia świąteczne
- Listy, e-maile, wiadomości na Facebooku, SMS-y
- Po feriach
- Wojna

- Zamiana stolików
- Dlaczego nie usiadłem z Augustem pierwszego dnia szkoły
- Stronnictwa
- Dom Augusta
- Chłopak Vii

Część piąta
- Brat Olivii
- Walentynki
- Nasze miasto
- Biedronka
- Na przystanku autobusowym
- Na próbie
- Mały ptaszek
- Świat

Część szósta
- Biegun północny
- Maskotka dla równiachy Auggiego
- Lobot
- Słyszę jasne dźwięki
- Tajemnica Vii
- Moja grota
- Pożegnanie
- Zabawki Daisy
- Niebo
- Dublerka
- Zakończenie

Część siódma
- Kłamstwa na obozie
- Szkoła
- Za tym tęsknię najbardziej
- Będę nadzwyczajna, ale nikt tego nie zobaczy
- Występ
- Po przedstawieniu

Część ósma
- Zielona szkoła dla piątych klas
- Z czego człowieka znają
- Pakowanie
- Świt
- Pierwszy dzień
- Wesołe miasteczko
- Dbaj o przyrodę
- Las ożywa
- Obcy
- Głosy w mroku
- Straż przyboczna
- Przed snem
- Co z tego wynikło
- W domu
- Misiek
- Zmiana
- Kaczka
- Ostatnie wskazanie
- Podwózka

Prosimy wszystkich o zajmowanie miejsc
Zwykła rzecz
Nagrody
Na fali
Fotki
W drodze do domu
Dodatek
Podziękowania
Przypisy

*Dla Russella, Caleba i Josepha*

*Z odległych miast przyjeżdżają do mnie lekarze.*
*Stają przy łóżku*
*I nie wierzą własnym oczom.*

*Mówią,*
*Że jestem bożym cudem stworzenia,*
*Niepojętym i niewytłumaczalnym.*

Natalie Merchant, *Cud*

# Część pierwsza

AUGUST

*Los się uśmiechnął,*
*Przeznaczenie się roześmiało,*
*Stając nad moją kołyską…*

Natalie Merchant, Cud

# Zwykły dzieciak jak inne

Wiem, że nie jestem zwykłym dziesięciolatkiem. To znaczy, oczywiście, robię zwykłe rzeczy. Jem lody, jeżdżę na rowerze, gram w piłkę, mam xboxa. Pod tym względem jestem całkiem zwyczajny. Tak mi się wydaje. I tak czuję. W środku. Ale gdy zwykły dzieciak spojrzy na drugiego zwykłego dzieciaka, to przecież nie ucieka z wrzaskiem z placu zabaw. I ludzie nie wlepiają w niego wzroku, gdziekolwiek się pojawi.

Gdybym znalazł czarodziejską lampę i mógł wypowiedzieć jedno życzenie, chciałbym mieć normalną twarz, na którą nikt nigdy nie rzuci okiem. Kiedy idę ulicą, wolałbym, żeby przechodnie nie spoglądali na mnie i nie odwracali głów. Moim zdaniem sprawa przedstawia się tak: nie jestem zwykłym dzieckiem tylko dlatego, że nikt nie patrzy na mnie jak na zwykłe dziecko.

Właściwie już się przyzwyczaiłem do swojego wyglądu. Umiem udawać, że nie widzę, jakie ludzie robią miny. Wszyscy nabraliśmy w tym dużej wprawy – mama, tato i Via. Chociaż nie – odwołuję to, co powiedziałem – nie wszyscy. Vii nie wychodzi to najlepiej. Potrafi się porządnie wkurzyć, jeśli ktoś zachowa się po chamsku. Na przykład któregoś dnia kilku starszych chłopaków coś tam wygadywało na placu zabaw. Nawet nie wiem co, bo nie słyszałem, ale usłyszała ich Via i natychmiast zaczęła się wydzierać. Taka już jest. Ja tak nie robię.

Via nie uważa, że jestem zwyczajny. Nie przyznaje się do tego, ale gdyby widziała we mnie zwykłego dzieciaka, to nie byłaby przekonana, że musi się tak o mnie troszczyć. Rodzice też nie uważają, że jestem zwyczajny. W ich odczuciu jestem nadzwyczajny. Jedynym człowiekiem na świecie, który zdaje sobie sprawę, jaki ze mnie zwykły chłopak, jestem ja sam.

Tak na marginesie, mam na imię August. Nie powiem wam, jak wyglądam. Cokolwiek sobie wyobrażacie, w rzeczywistości jest pewnie gorzej.

# Dlaczego nie chodziłem do szkoły

W przyszłym tygodniu zaczynam naukę w piątej klasie. Ponieważ nigdy nie uczyłem się w prawdziwej szkole, jestem cały w nerwach. Wielu ludzi sądzi, że nie posłano mnie do szkoły z powodu mojego wyglądu, ale to nieprawda. Przyczyną były te wszystkie operacje. W sumie dwadzieścia siedem od urodzenia. Najpoważniejsze przeprowadzono, jeszcze zanim skończyłem cztery lata, więc ich nie pamiętam. Od tamtej pory co roku miałem ze dwie, trzy (jedne skomplikowane, inne proste), a ponieważ jestem mały jak na swój wiek i cierpię na jeszcze inne tajemnicze przypadłości, których lekarze nie potrafią rozszyfrować, często dopadały mnie różne choroby. Dlatego rodzice uznali, że nie powinienem iść do szkoły. Teraz jestem dużo silniejszy. Ostatnią operację miałem osiem

miesięcy temu i prawdopodobnie nie czeka mnie kolejna przez kilka najbliższych lat.

Mama daje mi lekcje w domu. Dawniej robiła ilustracje do książek dla dzieci. Wróżki i syreny udają jej się świetnie, gorzej tematy dla chłopców. Kiedyś chciała mi narysować Dartha Vadera, ale wyszedł jakiś dziwaczny robot w kształcie grzyba. Od dawna nie widziałem, żeby cokolwiek narysowała. Pewnie jest zbyt zajęta opiekowaniem się mną i Vią.

Nie powiem, że zawsze chciałem chodzić do szkoły, bo to nie do końca prawda. Niby chciałem, ale tylko gdybym był taki jak inni uczniowie. Gdybym mógł mieć dużo kolegów, spotykać się z nimi po szkole i takie tam.

Teraz przyjaźnię się z kilkoma chłopcami. Moim najlepszym przyjacielem jest Christopher, potem Zachary i Alex. Znamy się od pieluch. Nie razi ich mój wygląd, bo zdążyli się przyzwyczaić przez te wszystkie lata. Gdy byliśmy mali, ciągle się bawiliśmy razem, ale potem Christopher przeprowadził się do Bridgeport w stanie Connecticut. To ponad godzinę drogi od mojego domu w North River Heights, na samym czubku Manhattanu. A Zachary i Alex poszli do szkoły. Dziwna sprawa: choć Christopher przeniósł się tak daleko, widzę się z nim częściej niż

z Zacharym i Alexem. Tamci dwaj mają już nowych kolegów. W każdym razie, gdy spotykamy się przypadkiem na ulicy, wciąż są dla mnie mili. Zawsze mówią „cześć”.

Przyjaźnię się też z innymi chłopcami, choć nie tak blisko jak dawniej z Christopherem, Zackiem i Alexem. Na przykład Zack i Alex zapraszali mnie w dzieciństwie na przyjęcia urodzinowe, a Joel, Eamonn i Gabe – ani razu. Emma zaprosiła mnie raz, ale od dłuższego czasu się nie widzieliśmy. No i ciągle chodzę na urodziny do Christophera, to jasne. Czy ja nie przesadzam z tymi przyjęciami urodzinowymi?

# Jak przyszedłem na świat

Lubię, gdy mama opowiada tę historię, bo strasznie mnie śmieszy. Nie tak, jak śmieszą dowcipy, ale słuchając mamy, po prostu boki zrywamy z Vią.

No więc, gdy byłem jeszcze w brzuchu mamy, nikomu nie przyszło do głowy, że po wyjściu stamtąd będę wyglądał tak jak teraz. Cztery lata wcześniej urodziła się Via i to była „bułka z masłem” (słowa mamy), wobec tego nikt nie widział powodu, żeby przeprowadzać specjalne badania. Ze dwa miesiące przed moim urodzeniem lekarze stwierdzili, że coś jest nie w porządku z moją twarzą, ale ich zdaniem nie wyglądało to groźnie. Powiedzieli rodzicom, że mam rozszczep podniebienia i jakieś tam jeszcze „drobne anomalie”, jak się wyrazili.

Tej nocy, gdy się urodziłem, na sali porodowej pracowały dwie pielęgniarki. Jedna była sympatyczna i miła. Druga, jak twierdzi mama,

ani trochę. Miała bardzo umięśnione ręce i – teraz robi się śmiesznie – ciągle puszczała bąki. Na przykład podawała mamie pokruszony lód i pryk. Mierzyła jej ciśnienie i pryk. „Nie uwierzycie, mówiła mama, ta kobieta ani razu nie powiedziała »przepraszam«!”. Ponieważ opiekujący się mamą lekarz akurat miał wolny dzień, musiała się zdać na jakiegoś podenerwowanego młodego doktorka, któremu dała z tatą przezwisko Doogie, zdaje się dlatego, że przypomniał im się bohater starego serialu telewizyjnego *Doogie Howser*, *lekarz medycyny* (oczywiście nie zwracali się tak do niego bezpośrednio). Mama mówi, że choć jej sąsiadki na sali trochę kwękały, tato rozśmieszał ją przez całą noc.

Gdy wyszedłem z brzucha, podobno zapadła kompletna cisza. Mama nawet nie miała sposobności, żeby na mnie spojrzeć, bo ta miła siostra natychmiast wybiegła ze mną z sali. Tato ruszył za nią w takim pośpiechu, że upuścił kamerę wideo, która się roztrzaskała na milion kawałków. To wszystko ogromnie zdenerwowało mamę. Chciała wstać z łóżka, żeby zobaczyć, dokąd oni pędzą, ale prukająca pielęgniarka chwyciła ją swoimi łapskami za ramiona i przygwoździła do łóżka. Prawie doszło do bójki:

mama histeryzowała, a pielęgniarka wrzeszczała, każąc jej się uspokoić. W końcu obie zaczęły wołać lekarza. I wiecie co? Lekarz zemdlał! Runął na podłogę! Widząc to, prukająca pielęgniarka próbowała go ocucić szturchnięciami nogą, a przy tym wymyślała mu: „Jak tak można? Co z pana za lekarz! Niech pan wstaje! No już!”. I nagle, ni stąd, ni zowąd, puściła bąka – niewyobrażalnie potężnego, głośnego i śmierdzącego bąka. Mama twierdzi, że dzięki temu lekarz się ocknął. Tak czy owak, gdy mama opowiada tę historię, odgrywa każdą z postaci – także naśladuje odgłos prukania – i brzmi to strasznie, strasznie śmiesznie.

Potem okazało się, że prukająca pielęgniarka jest bardzo miła. Siedziała przy mamie cały czas. Nie odeszła od łóżka, nawet gdy tato wrócił do pokoju i lekarze powiedzieli rodzicom, co mi dolega. Mama dokładnie pamięta, co ona szepnęła jej do ucha, kiedy lekarz oznajmił, że prawdopodobnie nie przeżyję nocy. „Wszystko bowiem, co z Boga zrodzone, zwycięża świat[1]”. Następnego dnia, gdy jednak przeżyłem noc i pokazano mnie mamie pierwszy raz, właśnie ta pani trzymała ją za rękę.

Mama mówi, że wtedy lekarze o wszystkim już jej powiedzieli. Była gotowa mnie zobaczyć.

Ale gdy spojrzała w dół na moją malutką powykręcaną buzię, jej uwagę zwróciły jedynie śliczne oczy.

Tak na marginesie, mama jest piękna. Tato jest przystojny. Via jest cudna. Wyjaśniam na wszelki wypadek, gdybyście się nad tym zastanawiali.

# Dom Christophera

Gdy Christopher wyprowadził się do Bridgeport trzy lata temu, byłem naprawdę przybity. Mieliśmy wtedy z siedem lat. Godzinami bawiliśmy się figurkami postaci z *Gwiezdnych wojen* i pojedynkowaliśmy się na miecze świetlne. Wciąż mi tego brakuje.

Wiosną zeszłego roku całą rodziną pojechaliśmy w odwiedziny do Bridgeport. Gdy razem z Christopherem szukaliśmy chrupek w kuchni, usłyszałem, jak mama mówi do Lisy, mamy Christophera, że jesienią pójdę do szkoły. Wcześniej nie wspomniała o tym słowem, ani razu.

– Co takiego? – wtrąciłem się.

Zrobiła zaskoczoną minę, jakbym nie powinien tego usłyszeć.

– Lepiej powiedz mu o swoim pomyśle, Isabel – włączył się tato, który stał po drugiej stronie salonu, gawędząc z tatą Christophera.

– Później o tym porozmawiamy – odrzekła mama.

– Nie – odparłem. – Chcę wiedzieć teraz.

– Nie uważasz, Auggie, że jesteś gotów rozpocząć naukę w szkole? – zapytała mama.

– Nie.

– Ja też nie uważam – dodał tato.

– No i już, sprawa zamknięta. – Wzruszyłem ramionami i usiadłem mamie na kolanach jak mały szkrab.

– Ja tylko sądzę, że powinieneś umieć więcej niż to, czego mogę cię nauczyć – powiedziała mama. – Sam wiesz, Auggie, jaka jestem słaba z ułamków!

– Dokąd chcesz mnie posłać? – zapytałem.

Zbierało mi się na płacz.

– Do szkoły imienia Beechera. Tuż koło nas.

– Ho, ho, świetna szkoła – powiedziała Lisa, klepiąc mnie po kolanie.

– A dlaczego nie do tej, gdzie uczy się Via? – dopytywałem się.

– Tamta jest za duża – wyjaśniła mama. – Myślę, że by ci nie pasowała.

– Nie chcę iść do szkoły – jęknąłem.

Przyznaję, że miało to zabrzmieć trochę po dziecinnemu.

– Niczego nie musisz robić wbrew sobie – oświadczył tato, biorąc mnie na ręce. Usiadł na drugim końcu kanapy i wziął mnie na kolana. – Skoro nie chcesz, nie będziemy cię nakłaniać.

– Ale to byłoby dla niego dobre, Nate – ciągnęła mama.

– Nie byłoby, skoro on tego nie chce – stwierdził tato, patrząc na mnie – i nie jest na to gotów.

Zauważyłem, że mama zerka na Lisę, a ta podchodzi i ściska ją za rękę.

– Razem coś wymyślicie – odezwała się do mamy. – Zawsze się wam udawało.

– Wrócimy do tej rozmowy – powiedziała mama.

Czułem, że się posprzeczają na ten temat, i chciałem, żeby tato był górą. Coś mi jednak mówiło, że mama ma rację. Poza tym rzeczywiście jest beznadziejna w ułamkach.

# W samochodzie

Jazda do domu trwała dość długo. Jak zwykle zasnąłem na tylnym siedzeniu, głowę położyłem na kolanach Vii jak na poduszce, a pas bezpieczeństwa był owinięty ręcznikiem, żebym nie upaćkał Vii śliną cieknącą mi z ust. Via też zasnęła, a mama i tato rozmawiali półgłosem o dorosłych sprawach, które nic mnie nie obchodziły.

Nie wiem, ile czasu spałem, ale po przebudzeniu zobaczyłem za szybą fioletową noc i księżyc w pełni. Jechaliśmy autostradą wśród masy samochodów. W pewnej chwili zorientowałem się, że rodzice rozmawiają o mnie.

– Nie możemy ciągle go chronić – szepnęła mama do taty, który prowadził. – Udawać, że jutro obudzi się w innej rzeczywistości. Otaczająca go rzeczywistość się nie zmieni, Nate,

więc z naszą pomocą musi nauczyć się w niej żyć. Nie możemy unikać sytuacji, które…

– Dlatego posyłamy go do szkoły podstawowej średniej[2] jak jagnię na rzeź… – wtrącił ze złością tato i urwał, widząc w lusterku, że podnoszę głowę.

– Co to znaczy „jak jagnię na rzeź”? – zapytałem rozespany.

– Śpij, śpij, Auggie – rzucił cicho.

– W szkole wszyscy będą się na mnie gapić – jęknąłem, nagle zalewając się łzami.

Mama odwróciła się do mnie i położyła dłoń na mojej ręce, mówiąc:

– Kochanie, dobrze wiesz, że nie będziemy cię do tego zmuszać. Tylko spotkaliśmy się z panem wicedyrektorem i opowiedzieliśmy mu o tobie. Bardzo chce się z tobą zobaczyć.

– Co mu powiedzieliście?

– Że jesteś zabawny, serdeczny i mądry. Gdy się dowiedział, że mając sześć lat, przeczytałeś *Smoczego jeźdźca*[3], zawołał: „No, no, muszę poznać tego chłopca!”.

– Coś jeszcze?

Mama posłała mi uśmiech, jakby chciała mnie nim otulić.

– Że miałeś dużo operacji i dzielnie je zniosłeś.

– Wobec tego on wie, jak wyglądam, tak?

– Wzięliśmy zdjęcia zrobione zeszłego lata w Montauk – rzekł tato. – Zobaczył całą naszą rodzinę. Również to świetne zdjęcie na łodzi, jak trzymasz flądrę!

– Ty też się z nim spotkałeś? – Muszę przyznać, że byłem trochę zawiedziony, słysząc, że tato brał w tym udział.

– Tak, poszliśmy oboje. Bardzo miły z niego człowiek.

– Polubiłbyś go – dodała mama.

Nagle wydało mi się, że oni stoją po tej samej stronie.

– Zaraz, zaraz, kiedy było to spotkanie?

– W zeszłym roku oprowadził nas po szkole – odrzekła mama.

– Co takiego?! Cały rok się nad tym zastanawiacie i nic mi nie mówicie?

– Nie wiedzieliśmy, czy cię w ogóle przyjmą – wyjaśniła mama. – Do tej szkoły bardzo trudno się dostać. Mają długą procedurę kwalifikowania uczniów. Chciałam ci oszczędzić niepotrzebnych nerwów.

– Ale rzeczywiście, Auggie, należało cię poinformować miesiąc temu, gdy się okazało, że zostałeś przyjęty – zgodził się tato.

– Patrząc z perspektywy czasu, też tak myślę – przyznała z westchnieniem mama.

– Czy pani, która wtedy do nas przyszła, miała z tym coś wspólnego? – zapytałem. – Ta, co zrobiła mi test.

– Owszem. – Spojrzała na mnie ze skruchą.

– A mówiłaś, że piszę test na inteligencję – wypomniałem jej.

– Rzeczywiście, ale to było niewinne kłamstwo – usprawiedliwiła się mama. – Musiałeś zdać egzamin wstępny, żeby przyjęto cię do szkoły. Swoją drogą, poszło ci świetnie.

– Więc skłamałaś – mruknąłem.

– Masz rację, niewinne kłamstwo jest mimo wszystko kłamstwem. Przepraszam. – Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, a gdy nie zareagowałem, odwróciła się w kierunku jazdy.

– Co to znaczy „jak jagnię na rzeź”? – zapytałem.

Mama westchnęła i posłała tacie znaczące spojrzenie.

– Nie powinienem był tak się wyrazić – powiedział tato, patrząc na mnie w lusterku wstecznym. – To było niewłaściwe porównanie. Chodzi o to, że mama i ja bardzo cię kochamy i chcemy cię chronić na wszelkie sposoby. Czasem po prostu każde z nas robi to inaczej.

– Nie chcę iść do szkoły – oświadczyłem, krzyżując ramiona.

– Skorzystałbyś na tym – zaznaczyła mama.

– Może w przyszłym roku. – Odwróciłem się do okna.

– W tym roku byłoby lepiej – ciągnęła. – Wiesz dlaczego? Bo pójdziesz do piątej klasy, czyli ze wszystkimi dziećmi rozpoczniesz pierwszy rok nauki w szkole podstawowej średniej. Nie będziesz jedynym nowym uczniem.

– Za to jedynym, który ma taką twarz.

– Nie twierdzę, że to nie będzie dla ciebie trudna próba, sam wiesz najlepiej. Ale dobrze na tym wyjdziesz, Auggie. Poznasz nowych kolegów. Nauczysz się rzeczy, których nie nauczyłbyś się ode mnie. – Mama znów odwróciła się w moją stronę. – Podczas zwiedzania szkoły zaprowadzono nas do laboratorium. Wiesz, co tam zobaczyliśmy? Kurczaczka, który właśnie wykluwał się z jajka. Był śliczny! Od razu przypomniałeś mi się ty… noworodek z ogromnymi brązowymi oczami…

Uwielbiam słuchać historii o tym, jak byłem mały. Czasem mam ochotę zwinąć się w kłębek, dać się tulić i całować. Chętnie stałbym się znowu niemowlakiem, który nic nie wie. Ale podczas tej rozmowy nie byłem w nastroju na takie opowieści.

– Nie chcę iść do szkoły – powtórzyłem.

– Może przynajmniej spotkałbyś się z panem Tushmanem[4] przed podjęciem decyzji? Co ty na to?

– Z panem Tushmanem?

– Wicedyrektorem – wyjaśniła mama.

– Naprawdę tak się nazywa?

– Dobre, co? – wtrącił się tato i z rozbawioną miną spojrzał na mnie w lusterku wstecznym. – Wyobrażasz sobie, jak go przezywają, Auggie? Kto chciałby nosić takie nazwisko?

Uśmiechnąłem się, choć wolałem, żeby rodzice nie zauważyli uśmiechu na mojej twarzy. Tato był jedyną osobą na świecie, która potrafiła mnie rozśmieszyć, nawet gdy wcale nie chciało mi się śmiać. On rozbawiłby każdego.

– Wiesz, Auggie, warto zostać uczniem tej szkoły choćby po to, żeby słyszeć te wszystkie żarty z jego nazwiska! – ciągnął podekscytowanym głosem. – Pomyśl sobie, ile będzie zabawy. „Uwaga, uwaga! Pan Dupman proszony jest na posiedzenie”. – Tato naśladował wysoki głos starszej pani. – „Pan Dupman może odebrać duplikaty dokumentów”.

Parsknąłem śmiechem wcale nie dlatego, że te dowcipy tak bardzo mnie rozweseliły, ale dlatego, że odechciało mi się gniewać.

– A może być jeszcze gorzej! – mówił dalej tato już swoim głosem. – Gdy byliśmy z mamą w college'u, uczyła nas niejaka pani Butt[5].

Mama śmiała się razem z nami.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Nazywała się Roberta Butt – powiedziała mama, unosząc rękę jak do przysięgi. – Pieszczotliwie mówiliśmy o niej: Bobbie Tyłeczek.

– Miała wydatne policzki – dodał tato.

– Nate! – wykrzyknęła mama.

– Chodziło mi tylko o to, że była pucołowata.

Mama pokręciła ze śmiechem głową.

– Słuchajcie, mam pomysł! – zawołał tato. – A gdyby tak umówić ich na randkę w ciemno? Wyobrażacie to sobie? „Pani Tyłeczek, to jest pan Dupman". „Panie Dupman, oto pani Tyłeczek". Z czasem by się pobrali i mieli gromadkę małych Dupmanków.

– Tylko współczuć panu Tushmanowi – odparła z westchnieniem mama. – Robisz sobie żarty z człowieka, którego Auggie jeszcze nie zna, Nate!

– Kto to jest pan Tushman? – wymamrotała Via, ocknąwszy się ze snu.

– Wicedyrektor mojej nowej szkoły – odrzekłem.

# U pana Tushmana

Przed spotkaniem z panem Tushmanem dostałbym jeszcze większej tremy, gdybym wiedział, że mam również poznać paru uczniów. Ale nie uprzedzono mnie, więc było mi raczej do śmiechu. Ciągle chodziły mi po głowie żarty, jakie tato robił sobie z jego nazwiska. Gdy razem z mamą przybyliśmy do szkoły podstawowej Beechera kilka tygodni przed rozpoczęciem roku szkolnego i zobaczyłem pana Tushmana, który czekał na nas przy wejściu, od razu zacząłem chichotać. Byłem trochę zaskoczony, bo wcale nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażałem. Nie miał pokaźnego tyłka i w ogóle robił wrażenie całkiem normalnego gościa. Wysoki i szczupły. Stary, ale nie tak bardzo. Chyba dość sympatyczny. Podał rękę najpierw mamie.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Miło pana znowu widzieć – odezwała się mama. – To mój syn, August.

Pan Tushman spojrzał wprost na mnie, uśmiechnął się i skinął głową, wyciągając do mnie rękę.

– Dzień dobry. – Przywitał się zupełnie naturalnie. – Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Dzień dobry – wymamrotałem.

Podałem mu wiotką dłoń i wbiłem wzrok w jego buty. Miał czerwone adidasy.

– Dużo o tobie słyszałem od twoich rodziców – mówił dalej, kucając przede mną tak blisko, że nie mogłem patrzeć na buty, tylko musiałem spojrzeć mu w twarz.

– Co na przykład? – zapytałem.

– Słucham?

– Mów głośniej, kochanie – zwróciła mi uwagę mama.

– Co na przykład? – powtórzyłem.

– Że lubisz czytać – odparł – i że masz zdolności artystyczne. – Oczy pana Tushmana były niebieskie, okolone białymi rzęsami. – Poza tym interesują cię przedmioty ścisłe, zgadza się?

– Uhm. – Kiwnąłem głową.

– Prowadzimy bardzo ciekawe zajęcia fakultatywne z przedmiotów ścisłych – oznajmił. – Może któreś z nich wybierzesz?

– Uhm – mruknąłem, choć nie miałem pojęcia, co to są zajęcia fakultatywne.

– No dobrze. Idziemy obejrzeć szkołę?

– Teraz?

– Myślałeś, że wybierzemy się do kina? – zapytał z uśmiechem i podniósł się z kucek.

– Nic nie mówiłaś o zwiedzaniu szkoły – zwróciłem się do mamy oskarżycielskim tonem.

– Auggie… – Nie dokończyła zdania.

– Będzie dobrze. Obiecuję – powiedział pan Tushman, wyciągając do mnie rękę.

Chyba chciał zaprowadzić mnie do szkoły, ale wolałem trzymać się mamy. Uśmiechnął się i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Mama ścisnęła mnie lekko za rękę. Nie wiem, czy to miało oznaczać „kocham cię”, czy „przepraszam”. Prawdopodobnie jedno i drugie po trochu.

Do tej pory byłem tylko w szkole mojej siostry, dokąd rodzice zabierali mnie, gdy śpiewała na wiosennych koncertach i różnych takich imprezach. Ta szkoła była zupełnie inna. Przede wszystkim mniejsza. Zalatywało w niej szpitalem.

# Sympatyczna pani Garcia

Szliśmy za panem Tushmanem, skręcając to w jeden, to w drugi korytarz. Nie kłębiło się tam od uczniów, a ci nieliczni raczej mi się nie przyglądali, choć możliwe, że w ogóle mnie nie widzieli. Właściwie chowałem się za mamą. Wiem, że to dziecinada, ale akurat wtedy nie byłem szczególnie przebojowy.

W końcu zaszliśmy do małego pokoju z tabliczką na drzwiach: „Gabinet wicedyrektora”. W środku siedziała za biurkiem przyjemnie wyglądająca kobieta.

– To pani Garcia – przedstawił ją pan Tushman.

Uśmiechnęła się do mamy, zdjęła okulary i wstała z krzesła.

– Isabel Pullman. – Mama uścisnęła jej dłoń. – Miło panią poznać.

– A to jest August – powiedział pan Tushman.

Mama odsunęła się na bok, tak że znalazłem się z przodu. I wtedy stało się to, co widziałem już milion razy. Gdy uniosłem głowę i spojrzałem na panią Garcię, na sekundę spuściła wzrok. Zrobiła to tak szybko, że nikt by nie zauważył, bo poza tym ani trochę nie zmieniła się na twarzy. Rozpływała się w uśmiechu.

– Cieszę się, że mogę cię poznać – przywitała się, podając mi rękę.

– Dzień dobry – odrzekłem cicho, ściskając jej dłoń.

Nie chciałem jednak spojrzeć jej w oczy, więc gapiłem się na okulary wiszące na łańcuszku na szyi.

– Ho, ho, jaki mocny uścisk! – zauważyła pani Garcia.

Miała bardzo ciepłą rękę.

– Zabójczo mocny – wtrącił pan Tushman i nad moją głową rozległ się śmiech całej trójki.

– Mów mi: pani G. – Nadal zwracała się do mnie, ale ja przyglądałem się teraz przedmiotom na jej biurku. – Wszyscy tak mówią. „Pani G., jaki jest kod do mojego schowka?”. „Pani G., poproszę przepustkę dla spóźnionych”. „Pani G., chcę się przepisać na inne zajęcia fakultatywne”.

– Tak naprawdę rządzi tu pani G. – oświadczył pan Tushman i dorośli znowu parsknęli

śmiechem.

– Jestem w szkole co dzień od wpół do ósmej – ciągnęła pani Garcia. Wciąż nie odrywała ode mnie wzroku, natomiast ja wpatrywałem się w jej brązowe sandały z fioletowymi kwiatkami przy sprzączkach. – Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, czegokolwiek, przyjdź do mnie.

– Dobrze – bąknąłem.

– O, jaki uroczy bobas – zachwyciła się mama, wskazując jedno ze zdjęć na tablicy ogłoszeń. – Pani synek?

– Skądże! Dziękuję za komplement. – Pani Garcia uśmiechnęła się szeroko, ale już nie rozpływała się w uśmiechu jak dotychczas. – To mój wnuk.

– Co za słodziak! W jakim jest wieku?

– Na tym zdjęciu ma chyba pięć miesięcy. Teraz jest dużym chłopcem. Niedługo skończy osiem lat.

– Kto by pomyślał? – Mama pokiwała z podziwem głową. – Prześliczny maluch.

– Miło słyszeć. – Pani Garcia miała taki wyraz twarzy, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze o swoim wnuku, ale naraz jej uśmiech troszkę się skurczył. – Zaopiekujemy się Augustem jak najlepiej – zapewniła mamę.

Zauważyłem, że jednocześnie ścisnęła ją lekko za rękę. Spojrzałem na twarz mamy i dopiero wtedy zorientowałem się, że jest zdenerwowana tak jak ja. Chyba podobała mi się pani Garcia… gdy jej twarz nie rozpływała się w uśmiechu.

# Jack Will, Julian i Charlotte

Pan Tushman wprowadził nas do niewielkiego pokoju naprzeciwko biurka pani Garcii. Zamknął drzwi i usiadł za dużym biurkiem, nie przestając mówić, ale właściwie go nie słuchałem. Przyglądałem się różnym rzeczom na blacie. Były fajne, na przykład globus bujający się w powietrzu i coś w rodzaju kostki Rubika pokrytej malutkimi lusterkami. Bardzo mi się podobał ten gabinet, zwłaszcza świetne rysunki i obrazki uczniów, oprawione w ramki i powieszone na ścianach jak dzieła sztuki.

Mama usiadła na krześle przed biurkiem, a ja wolałem stać przy niej, chociaż tuż obok znajdowało się drugie krzesło.

– Dlaczego pan ma swój pokój, a pani G. nie ma? – spytałem.

– Chodzi ci o to, dlaczego mam własny gabinet?

– Mówił pan, że ona tu rządzi.

– Aha! To był tylko żart. Pani G. jest moją sekretarką.

– Pan Tushman jest zastępcą dyrektora i zajmuje się klasami średnimi – wyjaśniła mama.

– Ludzie mówią do pana: panie T.? – Moje pytanie wywołało uśmiech na jego twarzy.

– A wiesz, kto to jest pan T.[6]? Może znasz wyrażenie: „Żal mi durnia”? – Powiedział to dziwnym, ostrym tonem, jakby kogoś naśladował.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

– Wracając do twojego pytania. Nie, nikt nie mówi do mnie: panie T. Choć mam wrażenie, że wymyślono mi różne przezwiska, których części nawet nie znam. Bądźmy szczerzy, z takim nazwiskiem jak moje niełatwo jest żyć. Rozumiesz, co mam na myśli?

Muszę przyznać, że wybuchnąłem wtedy śmiechem, bo świetnie wiedziałem, co ma na myśli.

– Mamę i tatę uczyła pani Butt, którą przezywali Tyłeczkiem.

– Auggie! – zawołała mama, ale pan Tushman się roześmiał.

– No cóż, miała ciężko. – Pokręcił głową. – Chyba nie powinienem narzekać. Posłuchaj, Auguście, pomyślałem, że moglibyśmy dzisiaj…

– Czy to dynia? – spytałem, wskazując oprawiony w ramki obrazek za biurkiem.

– Auggie, kochanie, nie przerywaj panu w pół zdania – upomniała mnie mama.

– Podoba ci się? – Pan Tushman odwrócił się i spojrzał na obrazek. – Mnie też. W pierwszej chwili również myślałem, że ta praca przedstawia dynię, ale jej ofiarodawca wyjaśnił, że to nie dynia, tylko… zapewne się zdziwisz… mój portret! No powiedz, Auguście, czy ja naprawdę jestem aż tak podobny do dyni?

Na głos powiedziałem stanowczo „nie”, a w duchu „tak”. Wydymające się przy uśmiechu policzki upodabniały jego twarz do halloweenowej lampy z wydrążonej dyni. Gdy to sobie uprzytomniłem, stanęła mi w pamięci rozmowa o policzkach i panu Dupmanie. Rozbawiony, próbowałem zdusić chichot, kręcąc głową i zasłaniając ręką usta.

Pan Tushman uśmiechnął się, jakby czytał w moich myślach.

Już miałem wspomnieć o czymś innym, gdy nagle zza drzwi doleciały mnie głosy. Kiedy się zorientowałem, że to rozmawiają dzieciaki, serce zaczęło mi walić jak po przebiegnięciu maratonu, nie przesadzam. Chęć do śmiechu przeszła mi w jednej chwili.

Sprawa polega na tym, że gdy byłem mały, bez oporów zawierałem znajomości z dziećmi, bo wszystkie też były bardzo małe. Maluchy mają tę fajną cechę, że nie mówią rzeczy po to, by zranić czyjeś uczucia, choć czasem tak bywa. One zwyczajnie nie wiedzą, co mówią. Ale ze starszymi dziećmi jest inaczej: wiedzą, co mówią. I to zdecydowanie mnie nie bawi. W zeszłym roku zapuściłem włosy również dlatego, że lubię, jak grzywka spada mi na oczy – w ten sposób odcinam się od tego, czego nie chcę widzieć.

Rozległo się pukanie i pani Garcia wsunęła głowę do pokoju.

– Już przyszli, panie dyrektorze – oznajmiła.

– Kto? – spytałem.

Pan Tushman podziękował pani Garcii i zwrócił się do mnie:

– Pomyślałem, Auguście, że powinieneś poznać paru uczniów spośród tych, którzy będą korzystali przed lekcjami z tej samej świetlicy co ty. Zapewne oprowadzą cię po szkole, pokażą, jak się poruszać w terenie, można to tak nazwać.

– Nie chcę nikogo poznawać – oświadczyłem, patrząc na mamę.

Ni stąd, ni zowąd pan Tushman znalazł się przede mną, wziął mnie za ramiona, nachylił się i bardzo cicho powiedział mi do ucha:

– Będzie dobrze. To są miłe dzieciaki, daję słowo.

– Poradzisz sobie, Auggie – szepnęła z całą mocą mama.

Nie zdążyła dodać nic więcej, bo pan Tushman otworzył drzwi.

– Wejdźcie – zaprosił do środka dwóch chłopców i dziewczynkę.

Żadne z nich nie popatrzyło na mnie ani na mamę, tylko stanęli przy drzwiach i nie odrywali wzroku od pana dyrektora, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci.

– Dziękuję, że przyszliście. Rok szkolny zaczyna się dopiero w przyszłym miesiącu, więc tym bardziej należą się wam podziękowania – mówił dalej pan Tushman. – Mieliście udane wakacje?

Wszyscy kiwnęli głowami, nikt się nie odezwał.

– Cieszę się. – Po tym wstępie przeszedł do rzeczy. – Zaprosiłem was tutaj, żebyście poznali Augusta, który rozpoczyna naukę w naszej szkole. Ci uczniowie, Auguście, są z nami od zerówki. Choć szkoła podstawowa niższa mieści się w osobnym budynku, świetnie znają program klas średnich. Ponieważ będziecie korzystali z tej samej świetlicy, sądzę, że chętnie poznacie się

trochę wcześniej. W porządku? A zatem, to jest August. Auguście, to jest Jack Will.

Chłopak spojrzał na mnie i wyciągnął rękę. Gdy ją uścisnąłem, uśmiechnął się jakby trochę półgębkiem, powiedział: „Cześć” i szybko spuścił wzrok.

– To jest Julian – ciągnął pan Tushman.

– Cześć – przywitał się drugi chłopak i zachował tak samo jak tamten, podał mi rękę, zmusił się do uśmiechu i szybko spuścił wzrok.

– A to Charlotte.

Dziewczyna była najjaśniejszą blondynką, jaką widziałem w życiu. Nie podała mi ręki, tylko pomachała krótko i powiedziała z uśmiechem:

– Cześć, August. Miło cię poznać.

– Cześć.

Spojrzałem w dół. Charlotte miała na nogach jasnozielone crocsy.

– No dobrze. – Pan Tushman złożył dłonie z lekkim klaśnięciem. – Może zabierzecie Augusta na małą wycieczkę po szkole? Zacznijcie od drugiego piętra, tam będzie wasza świetlica. Sala dwieście jeden, tak mi się zdaje. Pani G., czy…

– Sala dwieście jeden! – zawołała pani Garcia z drugiego pokoju.

– Otóż to. Potem możecie zaprowadzić Augusta do laboratoriów i pracowni komputerowej. Następnie zejdźcie na pierwsze piętro do biblioteki i sali widowiskowej. Pokażcie mu oczywiście stołówkę.

– Salę muzyczną też? – zapytał Julian.

– Dobry pomysł. – Pan Tushman kiwnął głową i zwrócił się do mnie: – Grasz na jakimś instrumencie?

– Nie.

Lekcje muzyki nie należały do moich ulubionych, bo właściwie nie mam uszu. To znaczy mam, ale nie wyglądają jak normalne uszy.

– Mimo to sala muzyczna może ci się spodobać. Jest tam sporo instrumentów perkusyjnych – dodał dla zachęty.

– Mówiłeś, że chciałbyś się uczyć gry na perkusji – wtrąciła mama, próbując przyciągnąć mój wzrok, ale na oczy spadała mi grzywka i wpatrywałem się w starą gumę do żucia przyklejoną pod blatem biurka.

– Świetnie! No to ruszajcie – powiedział pan Tushman. – Spodziewam się was za… – Spojrzał na mamę. – Około pół godziny?

Zdaje się, że kiwnęła głową.

– Pasuje ci to, Auguście? – spytał mnie.

Nie odpowiedziałem.

– Pasuje ci? – powtórzyła mama.

Dopiero wtedy na nią popatrzyłem. Chciałem pokazać, że doprowadziła mnie do wściekłości. Ale widząc jej minę, tylko skinąłem głową. Mama była równie wystraszona jak ja.

Dzieciaki już wychodziły z gabinetu, więc ruszyłem za nimi.

– Do zobaczenia – powiedziała.

Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, trochę piskliwie. Nie odezwałem się.

# Zwiedzanie szkoły

Jack Will, Julian, Charlotte i ja poszliśmy szerokim korytarzem w stronę głównych schodów. W milczeniu wspięliśmy się na drugie piętro.

Na górze skręciliśmy w korytarz z mnóstwem drzwi. Julian otworzył te z numerem 201.

– Tu jest nasza świetlica – oznajmił, stając przed uchylonymi drzwiami. – Wychowawczynią będzie pani Petosa. Mówią, że jest w porządku, przynajmniej w świetlicy. Ale na matematyce podobno dużo wymaga.

– Nieprawda – odezwała się Charlotte. – W zeszłym roku uczyła moją siostrę i była bardzo fajna.

– Słyszałem co innego – powiedział Julian. – Ale niech ci będzie.

Zamknął świetlicę i poszedł do następnych drzwi.

– Tu jest laboratorium – oświadczył, zachowując się tak samo jak przed kilkoma sekundami. Stał przy uchylonych drzwiach i gadał. Nie spojrzał na mnie ani razu, no i dobrze, bo też nie patrzyłem na niego. – Dopiero na pierwszej lekcji dowiesz się, kto będzie cię uczył przedmiotów ścisłych. Ciesz się, jeżeli trafisz na pana Hallera. Przedtem uczył w niższych klasach. Miał taką ogromną tubę i grał na niej na lekcji.

– Nie tubę, tylko sakshorn barytonowy – sprostowała Charlotte.

– Tubę! – uciął Julian i zamknął drzwi.

– Ej, ty, daj mu wejść do środka, niech sobie obejrzy – wtrącił Jack Will i przecisnął się obok Juliana, żeby otworzyć drzwi.

– Jak chcesz, to wejdź – ustąpił Julian i dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzał na mnie.

Wzruszyłem ramionami i podszedłem do drzwi. Julian szybko się odsunął, jakby ze strachu, że przypadkiem go dotknę.

– Nie ma tu nic do oglądania – mówił dalej Julian. Wszedł za mną do laboratorium i zaczął wymieniać: – Oto inkubator. A tamto duże czarne to tablica. Tu są biurka. Przy nich krzesła. Tam palnik Bunsena. To jest obrzydliwy plakat przyrodniczy. Tu leży kreda, a tam gąbka.

– On wie, jak wygląda gąbka – zaznaczyła Charlotte tonem, jaki czasem przybierała Via.

– Skąd mam mieć pewność? Pan Tushman powiedział, że on nigdy nie chodził do szkoły.

– Wiesz, co to gąbka, prawda? – zwróciła się do mnie Charlotte.

Przyznam, że z tego zdenerwowania nie mogłem wykrztusić słowa. Stałem jak wryty, z oczami wbitymi w podłogę.

– Hej, umiesz mówić? – spytał Jack Will.

– Uhm. – Kiwnąłem głową.

Jeszcze nie spojrzałem na żadne z nich, to znaczy prosto w oczy.

– Wiesz, co to gąbka, prawda? – powtórzył za dziewczyną Jack Will.

– Pewnie – wybąkałem.

– Mówiłem, że tu nie ma nic do oglądania – burknął Julian, wzruszając ramionami.

– Chciałbym zapytać… – starałem się panować nad swoim głosem – hmm… Co to jest świetlica? Tak jakby przedmiot?

– Nie. Po prostu miejsce tylko dla naszej klasy – zaczęła wyjaśniać Charlotte, nie zwracając uwagi na pogardliwy uśmieszek Juliana. – Zbieramy się tam co rano przed lekcjami, wychowawczyni sprawdza obecność i inne takie.

To wygląda trochę jak lekcja, choć właściwie nią nie jest. To znaczy jest, ale…

– Chyba już załapał – przerwał jej Jack Will.

– Jasne? – spytała Charlotte.

– Uhm. – Kiwnąłem głową.

– No to idziemy dalej – oświadczył Jack Will i ruszył do wyjścia.

– Zaraz, zaraz – sprzeciwiła się Charlotte. – Mieliśmy odpowiadać na pytania.

Jack Will podszedł z powrotem do nas, przewracając oczami.

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze? – rzucił.

– Hmm… nie. A właściwie tak. Masz na imię Jack czy Jack Will?

– Jack na imię. Will na nazwisko.

– Aha. Ponieważ pan Tushman przedstawił cię: Jack Will, pomyślałem…

– Coś takiego! On myślał, że nazywasz się Jackwill! – Julian się zaśmiał.

– Niektórzy używają mojego imienia i nazwiska. Nie wiem dlaczego – powiedział Jack, wzruszając ramionami. – No więc idziemy?

– Teraz pokażmy Augustowi salę widowiskową – zaproponowała Charlotte, kierując się w stronę drzwi. – Jest rewelacyjna. Spodoba ci się.

# Sala widowiskowa

Charlotte właściwie nie zamykały się usta, gdy schodziliśmy na pierwsze piętro. Opowiadała o sztuce, którą uczniowie wystawili w zeszłym roku – *Oliver!*. Grała w niej Olivera, mimo że jest dziewczyną. Nie przestając mówić, pchnęła dwuskrzydłowe drzwi do ogromnej auli ze sceną w drugim końcu.

W podskokach pobiegła w kierunku sceny. Julian poleciał za nią, ale w połowie drogi odwrócił się i krzyknął: „No, chodź!”, machając do mnie ręką. Dogoniłem ich.

– Tamtego wieczoru przyszło chyba kilkaset osób – rozwodziła się Charlotte. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że wciąż mówi o tej sztuce. – Okropnie się denerwowałam. Miałam strasznie długą rolę i mnóstwo piosenek do zaśpiewania. To był baaardzo trudny występ! – Zwracała się do mnie, ale ciągle patrzyła w inną stronę. – Na premierze moi rodzice siedzieli

w którymś z tylnych rzędów, mniej więcej tam, gdzie teraz stoi Jack. Gdy zgasną światła, nie widzi się tak daleko ze sceny, więc co chwila pytałam: „Gdzie są moi rodzice? Gdzie są moi rodzice?”. Aż w końcu pan Resnick, który w zeszłym roku prowadził kółko teatralne, powiedział: „Nie rób z siebie primadonny, Charlotte!”. Wzięłam się w garść, po chwili dostrzegłam rodziców i wszystko poszło świetnie. Nie zapomniałam ani jednej kwestii.

Słuchając jej, zauważyłem, że Julian zerka na mnie kątem oka. Ludzie często przyglądają mi się w ten sposób. Myślą, że tego nie wiem, ale ja widzę ich przechylone głowy. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, gdzie jest Jack. Stał przy wejściu do auli, jakby się nudził.

– Co roku wystawiamy nową sztukę – ciągnęła Charlotte.

– Nie wydaje mi się, żeby on miał ochotę występować na scenie – odezwał się z drwiną w głosie Julian.

– W wystawieniu sztuki biorą udział nie tylko ci, co występują na scenie – zaznaczyła Charlotte, patrząc na mnie. – Możesz zajmować się oświetleniem albo malowaniem tła.

– Ale ubaw! – powiedział Julian, trzymając się za brzuch i zginając wpół.

– Nikt nikogo nie zmusza, żeby zapisywał się do kółka teatralnego. – Charlotte wzruszyła ramionami. – Masz jeszcze do wyboru zespół taneczny, chór i orkiestrę szkolną. No i zajęcia dla liderów.

– Które wybierają same głupki – wtrącił Julian.

– Jesteś nie do zniesienia! – stwierdziła Charlotte, co tylko rozbawiło Juliana.

– Zapiszę się na zajęcia fakultatywne z przedmiotów ścisłych – oznajmiłem.

– Super! – zawołała Charlotte.

Julian spojrzał prosto na mnie.

– Fakultety z przedmiotów ścisłych są podobnież najtrudniejsze – oświadczył. – Nie obraź się, ale skoro nigdy nie chodziłeś do szkoły, to jak nagle poradzisz sobie z przedmiotami ścisłymi? Uczyłeś się matematyki, fizyki, chemii? Chodzi mi o prawdziwą chemię, a nie o zabawę „Małym chemikiem”.

– Uhm. – Kiwnąłem głową.

– Przecież on miał lekcje w domu! – przypomniała mu Charlotte.

– Nauczyciele przychodzili go uczyć? – zdziwił się.

– Nie, mama go uczyła!

– Jest nauczycielką? – spytał Julian.

– Czy twoja mama jest nauczycielką? – zwróciła się do mnie Charlotte.

– Nie.

– No widzisz, nie jest prawdziwą nauczycielką! – Julian ucieszył się, jak gdyby potwierdziła się słuszność jego opinii. – O to mi chodzi. Jak ktoś, kto nie jest prawdziwym nauczycielem, może uczyć przedmiotów ścisłych?

– August na pewno da sobie radę – powiedziała Charlotte, patrząc na mnie.

– Chodźmy już do tej biblioteki! – zawołał Jack. Zabrzmiało to tak, jakby był kompletnie znudzony.

– Dlaczego nosisz takie długie włosy? – zapytał mnie Julian.

W jego głosie czułem rozdrażnienie. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, więc tylko wzruszyłem ramionami.

– Mogę zadać ci pytanie? – naciskał.

Znowu wzruszyłem ramionami. Przecież właśnie to zrobił.

– Co ci się stało z twarzą? Palił się twój dom czy co?

– To było niegrzeczne, Julian! – upomniała go Charlotte.

– Nie jestem niegrzeczny. Po prostu pytam. Pan Tushman powiedział, że jeżeli mamy pytania, powinniśmy je zadawać.

– Ale nie tak obcesowo – odparła. – Poza tym on się taki urodził. Nie słyszałeś, co mówił pan Tushman.

– Słyszałem! Tylko przyszło mi na myśl, że August mógł się również poparzyć w czasie pożaru.

– O Jezu, zamknij się wreszcie – odezwał się Jack.

– Sam się zamknij!

– No jak, August? Idziemy do tej biblioteki czy nie? – zniecierpliwił się Jack.

Podszedłem do niego i skierowaliśmy się do wyjścia. Przytrzymał mi skrzydło drzwi, a gdy go mijałem, spojrzał wprost na moją twarz, jakby chciał sprawdzić, czy odważę się unieść na niego wzrok. Zrobiłem to. Nawet się uśmiechnąłem. Sam tego nie rozumiem. Czasem gdy czuję, że zbiera mi się na płacz, zachodzi jakaś zmiana i zbiera mi się na śmiech. Teraz pewnie zaszła taka zmiana, bo uśmiechnąłem się, jakby narastał we mnie chichot. Kłopot w tym, że mam szczególną twarz i ludzie, którzy nie znają mnie za dobrze, nie zawsze wiedzą, że się uśmiecham. Usta są proste, kąciki się nie podnoszą. Ale Jack

Will jakoś odgadł, że się do niego uśmiechnąłem, i odpowiedział mi uśmiechem.

– Julian jest palantem – szepnął, zanim Charlotte z Julianem podeszli do nas. – Ale ty, kolo, musisz zacząć gadać – dodał z powagą, jakby chciał udzielić mi dobrej rady.

Kiwnąłem głową, gdy tamci dwoje dołączyli do nas. Staliśmy w milczeniu, trochę się kołysząc i nie odrywając wzroku od podłogi. Po chwili spojrzałem na Juliana i powiedziałem:

– Tak na marginesie, mówi się „podobno”, a nie „podobnież”.

– O co ci chodzi?

– Tak się wyraziłeś, gdy rozmawialiśmy o fakultetach.

– Nieprawda!

– Prawda – potwierdziła Charlotte. – Powiedziałeś, że fakultety z przedmiotów ścisłych są podobnież bardzo trudne. Też słyszałam.

– Niemożliwe – zaprzeczył stanowczo Julian.

– Wszystko jedno – wtrącił Jack. – Chodźmy już.

– Dobrze, idziemy – poparła go Charlotte i ruszyła za nim schodami na parter.

Poszedłem za Charlotte, ale Julian wepchnął się przede mnie, tak że się zachwiałem.

– Oj, przepraszam! – zawołał.

Spojrzenie, jakim mnie obrzucił, mówiło, że wcale nie jest mu przykro.

# Zgodnie z umową

Gdy wróciliśmy, mama wciąż rozmawiała z panem Tushmanem w jego gabinecie. Pani Garcia zauważyła nas pierwsza i natychmiast rozpłynęła się w uśmiechu.

– No i jak? Podobało ci się? – zwróciła się do mnie.

– Uhm. – Kiwnąłem głową, patrząc na mamę.

Jack, Julian i Charlotte stali przy drzwiach, jakby nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić i czy wciąż są potrzebni. Byłem ciekaw, co mówiono im o mnie przed naszym spotkaniem.

– Widziałeś kurczaczki? – zapytała mama.

Pokręciłem głową, a wtedy Julian się wtrącił:

– Ma pani na myśli te kurczaki w laboratorium? Przed wakacjami zawsze oddajemy je farmerowi.

– Aha. – W głosie mamy zabrzmiało rozczarowanie.

– Ale co roku wylęgają się nowe – dodał Julian – więc August zobaczy je na wiosnę.

– To dobrze. – Mama przeniosła na mnie wzrok. – Były śliczne, Auguście.

Nie podobało mi się, że przy ludziach mówi do mnie jak do dziecka.

– No jak? Chciałbyś zobaczyć coś jeszcze? – zapytał pan Tushman. – Zapomniałem poprosić, żeby pokazali ci salę gimnastyczną.

– Byliśmy tam, panie dyrektorze – oznajmił Julian.

– Doskonale! – rzekł pan Tushman.

– I opowiedziałam mu o szkolnym przedstawieniu i niektórych zajęciach fakultatywnych – wtrąciła Charlotte. – Ojej! – zawołała. – Zapomnieliśmy pokazać mu salę do plastyki!

– Nie szkodzi – odparł pan Tushman.

– Ale możemy pójść tam teraz – zaproponowała Charlotte.

– Chyba niedługo musimy zabrać Vię ze szkoły – zwróciłem się do mamy.

Wcześniej ustaliliśmy między sobą, że wypowiem te słowa, gdy koniecznie będę chciał wyjść.

– O, rzeczywiście – odezwała się mama, wstając z krzesła. Spojrzała na zegarek. – Bardzo

wszystkich przepraszam, ale straciłam poczucie czasu. Musimy odebrać moją córkę z jej nowej szkoły. Dzisiaj jest w niej dzień otwarty.

Ostatnie zdanie było prawdziwe: Via poszła obejrzeć swoją szkołę. Natomiast przedostatnie było kłamstwem: nie jechaliśmy po Vię, ponieważ miała wrócić z tatą trochę później.

– Do której szkoły będzie uczęszczać? – zainteresował się pan Tushman i też wstał.

– Jesienią zaczyna naukę w liceum Faulknera.

– Brawo! Niełatwo tam się dostać!

Mama podziękowała za słowa uznania, skinęła głową i dodała:

– Będzie z tym trochę zachodu. Najpierw jazda metrem linii A do Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy a potem autobusem przez miasto aż do East Side. Zajmuje to godzinę, choć samochodem można się tam dostać w piętnaście minut.

– Warto się trudzić – zapewnił ją pan Tushman. – Znam kilkoro uczniów tej szkoły. Są zachwyceni.

– Mamo, musimy już iść. – Pociągnąłem za jej torebkę.

Pożegnaliśmy się pośpiesznie. Pan Tushman był chyba lekko zdziwiony, że wychodzimy tak nagle. Potem pomyślałem, czy nie będzie się

czepiał Jacka i Charlotte, choć tak naprawdę jedynie przez Juliana czułem się trochę podle.

Na koniec nie zapomniałem powiedzieć panu Tushmanowi:

– Wszyscy byli bardzo sympatyczni.

– Cieszę się, że będziesz naszym uczniem – odrzekł, klepiąc mnie po plecach.

– Cześć – rzuciłem w stronę Jacka, Charlotte i Juliana, ale nie spojrzałem na nich, a właściwie w ogóle nie uniosłem głowy, dopóki nie wyszedłem z budynku.

# W domu

Ledwie znaleźliśmy się w połowie drogi od szkoły do najbliższej przecznicy, mama nie wytrzymała:

– No jak było? Podobało ci się?

– Nie teraz, mamo – odrzekłem. – Porozmawiamy w domu.

Po wejściu do domu natychmiast pobiegłem do swojego pokoju i rzuciłem się na łóżko. Wiedziałem, że mama nie ma pojęcia, co się dzieje. Sam właściwie też niewiele rozumiałem. Byłem strasznie smutny, ale również trochę zadowolony, jakby znów chciało mi się śmiać i płakać jednocześnie.

Moja suczka, Daisy, wpadła za mną do pokoju, wskoczyła na łóżko i zaczęła lizać mnie po twarzy.

– Dobra dziewczynka, dobra dziewczynka – powiedziałem, naśladując głos taty.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała mama. Chciała przy mnie usiąść, ale łóżko okupował pies. – Przepraszam, Daisy. – Mama odsunęła ją i usiadła. – Ta trójka potraktowała cię niemiło, Auggie?

– Nie, nie – odparłem, tylko po części niezgodnie z prawdą. – Byli w porządku.

– Pytam, czy byli sympatyczni. Pan Tushman nie mógł się ich nachwalić.

– No… uhm. – Kiwnąłem głową, ale nie odrywałem wzroku od Daisy, całowałem ją w nos i głaskałem ucho, aż zaczęła drapać się tylną łapą, jakby miała pchły.

– Zdaje się, że Julian był wyjątkowo sympatyczny.

– On był najmniej sympatyczny. Za to polubiłem Jacka. Jest fajny. Myślałem, że ma na imię Jack Will, ale okazało się, że tylko Jack.

– Zaraz, zaraz, może mi się mylą. Jak się nazywa ten z ciemnymi włosami zaczesanymi do przodu?

– Julian.

– I on był niesympatyczny?

– Tak.

– Aha. – Zastanowiła się chwilę. – Czyli to taki chłopak, który jest inny w obecności dorosłych i inny w obecności dzieci. Zgadza się?

– Chyba tak.

– Nie cierpię takich typków – oświadczyła mama, kręcąc głową.

– W którymś momencie spytał: „Co ci się stało z twarzą?” – Wciąż patrzyłem cały czas na Daisy. – „Palił się twój dom czy co?”.

Mama milczała. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że ma kompletnie zszokowaną minę.

– To nie była złośliwość – dorzuciłem szybko. – Po prostu zwykłe pytanie.

Mama pokiwała głową.

– Za to Jacka naprawdę polubiłem. Kazał Julianowi się zamknąć. A Charlotte powiedziała mu, że to niegrzeczne.

Mama znowu pokiwała głową. Przycisnęła palce do czoła, jakby chciała powstrzymać ból głowy.

– Tak mi przykro, Auggie – szepnęła, czerwona na twarzy.

– Wszystko w porządku, mamo. Naprawdę.

– Nie musisz iść do szkoły, kochanie, jeśli nie chcesz.

– Chcę.

– Auggie…

– Naprawdę, mamo. Chcę. – Mówiłem szczerze.

# Nerwowy pierwszy dzień

No dobrze, przyznaję, w dniu rozpoczęcia nauki w szkole tak mnie ściskało w brzuchu ze zdenerwowania, jakby wnętrzności zawiązały mi się w supeł. Mama i tato pewnie też się trochę stresowali, ale ze względu na mnie udawali, że są podekscytowani, i przed wyjściem z domu robili zdjęcia mnie i Vii, która także szła pierwszy raz do nowej szkoły.

Jeszcze kilka dni wcześniej nie byliśmy pewni, czy w ogóle będę się uczył w szkole. Po naszej wizycie w podstawówce rodzice zmienili poglądy w sprawie mojej dalszej nauki. Mama uważała teraz, że nie powinienem iść do szkoły, a tato twierdził, że powinienem. Usłyszawszy, jak przebiegło zwiedzanie szkoły, tato powiedział, że jest ze mnie bardzo dumny, że doskonale poradziłem sobie z Julianem i że staję się coraz silniejszy. Potem przyznał, że mama od początku miała rację. Z kolei ona – sam to widziałem –

wcale nie była już taka pewna swego. Gdy tato powiedział, że on i Via też chcą odprowadzić mnie do szkoły, bo to jest po drodze do stacji metra, mama ucieszyła się, że pójdziemy wszyscy razem. Ja chyba również.

Choć szkoła podstawowa Beechera mieści się kilka przecznic od naszego domu, byłem w tej okolicy tylko parę razy. Zwykle unikam miejsc, gdzie kręci się dużo dzieci. Tutaj wszyscy mnie znają i ja znam wszystkich. Znam każdą cegłę, każde drzewo i pęknięcie w chodniku. Znam panią Grimaldi, która zawsze siedzi w oknie, i staruszka, który chodzi tam i z powrotem po ulicy, pogwizdując jak ptaszek. Znam delikatesy na rogu, gdzie mama kupuje bajgle, i kelnerki w kawiarni, które mówią do mnie „słoneczko” i dają mi lizaka za każdym razem, gdy się widzimy. Uwielbiam swoją dzielnicę, North River Heights. Dlatego czułem się dziwnie, kiedy szedłem ulicą i wszystko dokoła nagle wydawało mi się nieznajome. Amesfort Avenue, na której byłem milion razy, nie wiadomo czemu zupełnie się zmieniła. Mnóstwo obcych ludzi: jedni czekają na autobus, drudzy pchają wózki z dziećmi.

Przecięliśmy Amesfort Avenue i skręciliśmy w Heights Place. Via szła obok mnie, jak zwykle,

a rodzice za nami. Za rogiem natychmiast zobaczyłem masę dzieciaków przed szkołą – chyba setkę – rozmawiały w grupkach, śmiały się albo stały obok swoich rodziców, którzy gawędzili z innymi rodzicami. Opuściłem głowę.

– Oni też się denerwują, jak ty – szepnęła mi do ucha Via. – Pamiętaj, że dla wszystkich to pierwszy dzień w szkole. Jasne?

Pan Tushman stał przy wejściu, witając uczniów i rodziców.

Muszę przyznać, że na razie nic złego się nie wydarzyło. Nie przyłapałem nikogo na tym, żeby się na mnie gapił czy w ogóle zwrócił na mnie uwagę. Tylko raz, gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że kilka dziewczyn mi się przygląda, szepcze coś, zakrywając usta dłońmi, a potem odwraca wzrok, widząc, że na nie patrzę.

Doszliśmy do drzwi wejściowych.

– Jesteśmy na miejscu, chłopie – powiedział tato, kładąc mi ręce na ramionach.

– Udanego pierwszego dnia w szkole. Kocham cię. – Via przytuliła mnie i mocno pocałowała.

– Też się trzymaj.

– Kocham cię, Auggie. – Tato uścisnął mnie.

– Cześć.

Potem objęła mnie mama. Czułem, że zaraz się rozpłacze, co strasznie by mnie krępowało,

wobec tego szybko uścisnąłem ją z całej siły, odwróciłem się i zniknąłem w budynku szkoły.

# Kłódki na szyfr

Poszedłem prosto do sali 201 na drugim piętrze. Zwiedzanie szkoły miało jednak swoją dobrą stronę – od razu wiedziałem, którędy mam iść, i nie musiałem ani razu podnosić głowy. Zauważyłem, że paru uczniów wyraźnie się na mnie gapi, więc swoim zwyczajem udałem, że tego nie widzę.

Kiedy wszedłem do klasy, pani wychowawczyni pisała coś na tablicy, a za nią stały półkolem stoliki, przy których siadali uczniowie. Wybrałem środkową ławkę z tyłu, żeby było trudno się na mnie gapić. Wciąż miałem pochyloną głowę i podnosiłem ją tylko tyle, żeby spod grzywki widzieć nogi ludzi. Ławki zaczynały się wypełniać, a obok mnie nikt nie siadał. Parę razy ktoś się zbliżał, ale w ostatniej chwili zmieniał zdanie i zajmował miejsce gdzie indziej.

– Cześć, August.

Przyszła Charlotte. Pomachała mi ręką i usiadła blisko tablicy. Nie rozumiałem, dlaczego wszyscy chcą siedzieć na samym przodzie.

– Cześć. – Kiwnąłem jej głową na powitanie.

Wtedy dostrzegłem Juliana, który siedział kilka stolików dalej od niej i rozmawiał z kolegami. Na pewno zobaczył mnie, ale się nie przywitał.

Nagle ktoś zajął krzesło koło mnie. To był Jack Will. To znaczy Jack.

– Siema – odezwał się i skinął głową.

– Cześć. – Pomachałem mu ręką i zaraz tego pożałowałem, bo wyszło sztywniacko.

– Uwaga! Proszę o spokój! – zawołała pani, odwracając się w naszą stronę. Na tablicy już napisała, jak się nazywa: pani Petosa. – Niech każdy wybierze sobie miejsce. Wchodźcie – zwróciła się do kilkorga uczniów, którzy właśnie pojawili się w drzwiach. – Tu jest wolne. I tam.

Jeszcze mnie nie zauważyła.

– Na początek chciałabym, żebyście przestali rozmawiać…

Wtedy skierowała spojrzenie na mnie.

– …postawili plecaki na podłodze i się uciszyli.

Zawiesiła głos na ułamek sekundy, ale dokładnie wiedziałem, kiedy padł na mnie jej wzrok. Mówiłem już: umiem to rozpoznać.

– Teraz sprawdzę obecność i zaznaczę na planie klasy, kto gdzie siedzi – mówiła dalej, siadając na brzegu swojego stołu. Obok niej leżały teczki harmonijkowe, w trzech równych rzędach. – Będę was po kolei wywoływać. Każdy podejdzie do mnie i dostanie teczkę ze swoim nazwiskiem. W środku macie plan lekcji i kłódkę szyfrową. Nie otwierajcie jej, dopóki o to nie poproszę. Numer waszej szafki jest zapisany na planie lekcji. Uprzedzam, że szafki znajdują się nie tylko przy wejściu do tej klasy, lecz również w dalszej części korytarza. Zanim komukolwiek przyjdzie do głowy pytanie, od razu odpowiadam: nie, nie możecie zamieniać się ani szafkami, ani kłódkami. Pod koniec lekcji, jeżeli zostanie nam trochę czasu, spróbujemy się bliżej poznać, zgoda? Świetnie.

Wzięła ze stołu podkładkę z klipsem i zaczęła wyczytywać nazwiska.

– A zatem… Julian Albans. – Spojrzała na nas.

– Jestem – odezwał się Julian, podnosząc rękę.

– Witaj, Julianie. – Pani Petosa zaznaczyła jego miejsce na planie i sięgnęła po pierwszą teczkę. – Proszę – powiedziała stanowczym tonem, na co Julian podszedł i wziął swoją teczkę. – Ximena Chin.

Wymieniała kolejne nazwiska i wręczała teczki. Zauważyłem, że po mojej drugiej stronie wciąż jest wolna ławka, jedyna w klasie, choć trochę dalej siedzi przy stoliku dwóch uczniów. W pewnej chwili pani wychowawczyni wywołała jednego z nich, sporego chłopaka, który wyglądał już na nastolatka. Nazywał się Henry Joplin.

– Zobacz, Henry, jest jeszcze wolne miejsce. Może byś się tam przesiadł, dobrze? – zwróciła się do niego, podając mu teczkę i wskazując ławkę obok mnie.

Nie patrzyłem wprost na Henry'ego, ale wiedziałem, że jest niezadowolony – wystarczająco wymowne było to, że wlókł się w żółwim tempie i ciągnął po podłodze plecak, który potem cisnął na blat po prawej stronie, jakby chciał się ode mnie odgrodzić.

– Maya Markowitz – wyczytała pani Petosa.

– Obecna – odezwała się dziewczyna chyba cztery stoliki przede mną.

– Miles Noury.

– Jestem.

Ten chłopak był jeszcze niedawno sąsiadem Henry'ego. Wracając do swojej ławki, rzucił mu współczujące spojrzenie.

– August Pullman.

– Jestem – powiedziałem cicho i lekko uniosłem rękę.

– Witaj, Auguście.

Pani Petosa uśmiechała się ciepło, kiedy szedłem po swoją teczkę. Przez te kilka sekund, gdy stałem z przodu klasy, czułem na plecach palące spojrzenia, a kiedy wracałem na miejsce, wszyscy opuścili wzrok. Usiadłem w ławce, opierając się pokusie obracania pokrętłem z cyframi, choć cała klasa próbowała otworzyć kłódki – pewnie dlatego, że pani wyraźnie nam nie pozwoliła. A zresztą otwieranie takich zamków nie sprawiało mi kłopotu, bo zabezpieczam rower blokadą z kodem. Henry mocował się ze swoją kłódką bez powodzenia. Tracił cierpliwość i chyba klął pod nosem.

Pani Petosa wywołała jeszcze kilka osób, na końcu Jacka Willa. Wręczyła mu teczkę, po czym zwróciła się do nas:

– Proszę, żeby każdy zapisał swój kod w jakimś pewnym miejscu, dla pamięci. Gdyby jednak wyleciał komuś z głowy, a to zdarza się średnio trzy i dwie dziesiąte razy na semestr, pani Garcia ma spis wszystkich kombinacji cyfr. A teraz wyjmijcie kłódki z teczek i przez parę minut poćwiczcie otwieranie i zamykanie. Niech zrobią to także ci, którzy się z tym pośpieszyli

mimo mojego polecenia. – Mówiąc to, patrzyła na Henry'ego. – W tym czasie opowiem wam co nieco o sobie. Potem to samo zrobi każdy z was i w ten sposób lepiej się poznamy. Pasuje? Świetnie.

Uśmiechnęła się do wszystkich, ale najszerzej chyba do mnie. Nie rozpływała się w uśmiechu jak pani Garcia – zachowywała się normalnie i naturalnie. Inaczej wyobrażałem sobie nauczycielkę. Myślałem, że będzie podobna do panny Ptak z serialu *Jimmy Neutron: mały geniusz*, że będzie starszą panią z dużym kokiem na czubku głowy. W rzeczywistości pani Petosa była kopią Mon Mothmy z czwartej części *Gwiezdnych wojen*, miała fryzurę trochę na chłopaka i luźną białą koszulę w rodzaju tuniki.

Odwróciła się i zaczęła pisać na tablicy.

Henry wciąż walczył z kłódką. Irytował się coraz bardziej, im częściej rozlegały się trzaski otwieranych zamków. Gdy otworzyłem swoją kłódkę za pierwszym podejściem, porządnie się zezłościł. Zabawne było to, że gdyby nie odgrodził się ode mnie plecakiem, z pewnością zaproponowałbym mu pomoc.

# Każdy po kolei

Pani Petosa zaczęła opowiadać swoją historię. To były nudy o tym, skąd pochodzi, że zawsze chciała być nauczycielką i że sześć lat temu zrezygnowała z pracy w firmie finansowej na Wall Street, żeby spełniło się jej „marzenie” o uczeniu dzieci. Na koniec spytała, czy są jakieś pytania, i zgłosił się Julian.

– Słucham… – nie pamiętała jego imienia, więc zerknęła na plan klasy – …Julianie.

– To super, że robi pani to, co sobie wymarzyła – powiedział.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się z dumą.

– Może teraz ty powiesz nam coś o sobie, Julianie? Zróbmy tak. Zastanówcie się, co chcecie, żeby inni o was wiedzieli. Wybierzcie dwie rzeczy. Zaraz, zaraz, poczekajcie. Kto chodził do klas niższych w szkole Beechera? – Mniej więcej połowa uczniów podniosła ręce. – Zatem część

z was już się zna. Pozostali dopiero rozpoczynają naukę, tak? No dobrze, niech każdy opowie o sobie dwie rzeczy, a ci, którzy się znają, niech pomyślą o czymś, czego ich koledzy jeszcze nie wiedzą. Rozumiemy się? W porządku. W takim razie zaczniemy od Juliana, a potem każdy po kolei zabierze głos.

Julian zmarszczył brwi i przyłożył palec do czoła, jakby mocno się zastanawiał.

– Nie śpiesz się. Poczekamy, aż będziesz gotów – odezwała się pani.

– No więc po pierwsze…

– Przepraszam – przerwała mu. – Będę wdzięczna, jeżeli każdy najpierw się przedstawi. Wtedy szybciej zapamiętam wasze imiona.

– No więc mam na imię Julian. Po pierwsze, chciałbym wszystkim powiedzieć… że niedawno dostałem Battleground Mystic na konsolę Wii. Niesamowita gra. Po drugie, w lecie kupiliśmy stół do ping-ponga.

– Cieszę się. Uwielbiam ping-ponga – oświadczyła pani Petosa. – Ktoś ma pytania do Juliana?

– Czy w Battleground Mystic może grać kilka osób, czy tylko jedna? – spytał Miles.

– Nie o takie pytania mi chodziło – zaznaczyła pani. – Może teraz ty… – Wskazała Charlotte,

pewnie dlatego, że siedziała na samym przodzie.

– Dobrze. – Charlotte nie wahała się ani chwili, jakby doskonale wiedziała, co chce powiedzieć. – Na imię mi Charlotte. Mam dwie siostry. W lipcu dostałyśmy szczeniaczka, suczkę, nazywa się Suki. Wzięliśmy ją ze schroniska. Jest prześliczna.

– Świetnie, Charlotte. Bardzo dziękuję. Kto następny?

# Jagnię na rzeź

„Jak jagnię na rzeź – tak mówi się o człowieku, który spokojnie gdzieś idzie, nie wiedząc, że przydarzy mu się coś nieprzyjemnego”.

Tego dowiedziałem się wczoraj z Google’a. Myślałem o tym wyrażeniu, gdy pani Petosa nagle mnie wywołała.

– Jestem August – przedstawiłem się, oczywiście trochę bełkotliwie.

– Co takiego? – rzucił ktoś.

– Możesz mówić głośniej, kochanie? – poprosiła pani Petosa.

– Jestem August – powtórzyłem wyraźniej i zmusiłem się do podniesienia wzroku. – Hmm… mam siostrę, nazywa się Via. I psa, nazywa się Daisy. I… hmm… i już.

– Wspaniale – powiedziała pani Petosa. – Są pytania do Augusta?

Wszyscy milczeli.

– Dobrze. Twoja kolej – zwróciła się do Jacka.

– Chwileczkę, chcę zadać Augustowi pytanie – odezwał się Julian, podnosząc rękę. – Dlaczego nosisz cienki warkoczyk z tyłu głowy? Czy to coś takiego, co ma padawan?

– No – mruknąłem obojętnym tonem.

– Padawan? Nie rozumiem – wtrąciła się pani.

– Postać z *Gwiezdnych wojen* – wyjaśnił Julian. – Uczeń Jedi.

– Ciekawe. A więc jesteś fanem *Gwiezdnych wojen*? – Spojrzała na mnie.

– Chyba tak. – Kiwnąłem głową, ale nie uniosłem jej, bo tak naprawdę chciałem wejść pod stół.

– Którą postać lubisz najbardziej? – zapytał Julian, a mnie przyszło na myśl, że może nie jest z niego taki zły gość.

– Janga Fetta.

– A Darth Sidious? Nie podoba ci się?

– Wystarczy, chłopcy. Porozmawiacie o *Gwiezdnych wojnach* na przerwie – powiedziała wesoło pani Petosa. – Wracamy do prezentacji. Ty jeszcze nie zabierałeś głosu – zwróciła się do Jacka.

Przyszła kolej na Jacka, ale muszę przyznać, że w ogóle go nie słyszałem. Może nikt nie załapał, o co chodzi z Darthem Sidiousem, a może Julian nie miał nic na myśli.

W *Gwiezdnych wojnach, część trzecia: – Zemsta Sithów* Dartha Sidiousa trafia błyskawica Mocy. Na skutek oparzenia skóra mu się marszczy, cała twarz jakby się rozpuszcza i kompletnie zniekształca.

Zerknąłem na Juliana: patrzył na mnie. Nie miałem wątpliwości, że wiedział, co mówi.

# Daj dowód swojej dobroci

Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, rozległo się głośne szuranie i wszyscy ruszyli do drzwi. Spojrzałem na plan lekcji, z którego wynikało, że teraz będę miał angielski w sali 221. Nie patrząc, czy ktoś ze świetlicy też tam idzie, wypadłem na korytarz, pognałem do klasy i usiadłem jak najdalej z tyłu. Nauczyciel, bardzo wysoki pan z żółtawą brodą, pisał coś na tablicy.

Roześmiani i rozgadani uczniowie wchodzili grupkami, ale nie podnosiłem głowy. W zasadzie było tak jak poprzednio: koło mnie nie usiadł nikt oprócz Jacka, który wygłupiał się z innymi dzieciakami. Widziałem, że jest lubiany. Miał dużo przyjaciół i potrafił ludzi rozśmieszyć.

Gdy zadzwonił drugi dzwonek, wszyscy się uciszyli, a pan odwrócił się twarzą do nas. Powiedział, że nazywa się Browne, i zaczął opowiadać o tym, co będziemy czytać w tym semestrze. W pewnej chwili, przechodząc od

chińskich bajek do powieści fantasy, dostrzegł mnie, ale ani się nie zająknął.

Słuchałem go, bazgrząc w zeszycie, i od czasu do czasu ukradkiem zerkałem na innych. Charlotte była w mojej grupie. Julian i Henry też. Milesa nie było.

Duże drukowane litery na tablicy tworzyły słowo:

W-S-K-A-Z-A-N-I-E

– Napiszcie to na pierwszej stronie w zeszycie do angielskiego, na samej górze.

Gdy wszyscy wykonali polecenie, zapytał:

– Ktoś zna to słowo? Wie, co ono znaczy?

Nikt nie podniósł ręki.

Pan Browne kiwnął z uśmiechem głową i napisał na tablicy:

WSKAZANIA = ZASADY DOTYCZĄCE
NAPRAWDĘ WAŻNYCH RZECZY

– Coś takiego jak złota myśl? – rozległ się czyjś głos.

– O właśnie! Jak złota myśl – powtórzył pan Browne, kiwając głową i nie przestając pisać. –

Jak słynny cytat. Jak wróżba w chińskim ciasteczku. Powiedzenie albo ogólna reguła, która zachęca człowieka do działania. W gruncie rzeczy wskazaniem może być cokolwiek, co pomoże nam podjąć naprawdę ważną decyzję.

Napisał to wszystko na tablicy i odwrócił się do nas.

– A teraz zastanówcie się, jakie rzeczy waszym zdaniem są naprawdę ważne. Słucham.

Kilkoro uczniów podniosło ręce, a pan wskazywał jednego po drugim i zapisywał każdą odpowiedź na tablicy strasznie, strasznie nieporządnym pismem.

REGULAMIN. NAUKA. ODRABIANIE LEKCJI

– Co jeszcze? – Nie odwrócił się, tylko czekał, co powiemy. – Głośno wymieniajcie po kolei. – Dalej wszystko zapisywał.

RODZINA. RODZICE.
ZWIERZĘTA DOMOWE

Jedna z dziewczyn zawołała: „Środowisko!”.

ŚRODOWISKO

Zanotował to słowo na tablicy i dopisał:

NASZ ŚWIAT

– Rekiny, bo zjadają zdechłe stworzenia w morzach! – zawołał chłopak o imieniu Leo i pan zapisał to na tablicy.

REKINY

– Pszczoły! Pasy bezpieczeństwa! Wykorzystywanie odpadów! Przyjaciele!

– No dobrze. – Gdy pan Browne skończył wszystko zapisywać, znów stanął twarzą do nas. – Ale nikt nie wymienił najważniejszego.

Wbiliśmy w niego wzrok, nie mając już pomysłów.

– Bóg? – odezwał się jeden z uczniów.

Widziałem, że pan Browne miał co innego na myśli, choć dodał słowo „Bóg”. A potem dopisał:

KIM JESTEŚMY

– Kim jesteśmy – powiedział, podkreślając oba słowa, i powtórzył: – Kim jesteśmy. My sami. Rozumiecie? Jacy z nas ludzie? Jakim jesteś

człowiekiem? Czy nie to jest najważniejsze ze wszystkiego? Czy nie powinniśmy ciągle zadawać sobie pytania, jakim jestem człowiekiem? – Po chwili milczenia zapytał: – Zauważyliście tablicę wiszącą tuż przy wejściu do naszej szkoły? Czy ktoś z was przeczytał, co tam jest napisane?

Rozejrzał się, ale nikt się nie odezwał.

– Napis brzmi: „Poznaj samego siebie” – oznajmił z uśmiechem. – Jesteście tu właśnie po to, żeby poznawać siebie.

– A ja myślałem, że mamy się uczyć angielskiego – wypalił Jack i wszyscy się roześmiali.

– Również po to, no pewnie – potwierdził pan Browne, co dla mnie zabrzmiało luzacko.

Odwrócił się i napisał wielkimi drukowanymi literami, na szerokość całej tablicy:

WRZEŚNIOWE WSKAZANIE PANA BROWNE’A:
KIEDY MOŻESZ DAĆ DOWÓD ALBO SWOJEJ RACJI, ALBO DOBROCI, DAJ DOWÓD SWOJEJ DOBROCI.

Potem znowu stanął twarzą do nas.

– Posłuchajcie, chcę, żebyście wydzielili część zeszytu i zatytułowali ją „Wskazania pana

Browne’a”. Na pierwszej stronie, u góry, napiszcie dzisiejszą datę.

Gdy wykonywaliśmy jego polecenia, mówił dalej:

– Na początku każdego miesiąca podam wam swoje kolejne wskazanie, a wy wpiszecie je do zeszytu. Na lekcji porozmawiamy i zastanowimy się, co ono znaczy. Pod koniec miesiąca napiszecie wypracowanie o tym, jakie jest znaczenie tego wskazania dla was. W ten sposób za rok wyjdziecie stąd, mając swój zbiór wskazań. Wtedy poproszę was, jak zawsze proszę swoich uczniów, żebyście przez lato sami ułożyli wskazanie, napisali je na widokówce i wysłali mi ją z miejsca, gdzie spędzacie wakacje.

– Oni rzeczywiście to robią? – zapytała jedna z dziewczyn, której imienia nie znałem.

– O tak! Dostaję masę pocztówek – powiedział pan Browne. – Wyobraź sobie, że nawet po latach od ukończenia naszej szkoły uczniowie wciąż przysyłają mi nowe wskazania. Zdumiewające!

Przerwał i pogładził się po brodzie.

– Ale o ile wiem, do wakacji jeszcze daleko – zażartował, wzbudzając śmiech całej klasy – więc nie stresujcie się, a ja tymczasem sprawdzę obecność. Potem opowiem wam o różnych fajnych rzeczach, które będziemy robić w tym

roku… na lekcjach angielskiego. – Mówiąc to, wycelował palcem w Jacka, co też było zabawne i znów wywołało śmiech.

Gdy zapisywałem wrześniowe wskazanie pana Browne’a, nagle zdałem sobie sprawę, że polubię szkołę. Choćby nie wiem co.

# Przerwa na lunch

Via uprzedziła mnie, co się dzieje podczas przerwy na lunch w szkole podstawowej średniej, więc mogłem się spodziewać, że będzie ciężko. Nie przypuszczałem jednak, że aż tak. Wyglądało to następująco: wszystkie dzieciaki z piątych klas wpadły do stołówki jednocześnie i pognały do stolików, rozpychając się i głośno gadając. Jedna z dyżurujących nauczycielek zawołała coś, co zabrzmiało jak: „Rezerwacja miejsc niedozwolona!”, ale nie wiedziałem, o co jej chodzi, i chyba nikt nie wiedział, bo prawie wszyscy zajmowali miejsca swoim kolegom. Gdy podszedłem do stolika, siedzący przy nim chłopak rzucił: „Sorki, zajęte”.

Wobec tego usiadłem przy pustym stoliku i czekałem, aż skończą się te wyścigi i pani powie nam, co mamy robić. Po chwili zaczęła przedstawiać regulamin obowiązujący w jadalni. Przez ten czas szukałem wzrokiem Jacka Willa,

ale nie zauważyłem go w swojej części sali. Dzieciaków wciąż przybywało, a te, które siedziały przy pierwszych kilku stolikach, już wezwano, żeby wzięły tace i ustawiły się w kolejce do bufetu. Julian, Henry i Miles znajdowali się w tylnej części stołówki.

Mama zapakowała mi kanapkę z serem, krakersy razowe i kartonik soku, więc nie musiałem podchodzić do bufetu. Otworzyłem plecak, wyjąłem lunch i wolno, starannie odwinąłem kanapkę z folii aluminiowej.

Nawet nie podnosząc głowy, wiedziałem, że ludzie się na mnie gapią, zerkają kątem oka, poszturchując się nawzajem. Myślałem, że do takich spojrzeń już przywykłem, ale jak się okazało, chyba nie całkiem.

Niedaleko ode mnie siedziały przy stoliku same dziewczyny. Szeptały sobie na ucho – zapewne coś na mój temat, bo zasłaniały usta rękami. Ich spojrzenia i głosy biegły w moim kierunku.

Wiem, że w czasie jedzenia wyglądam dziwacznie, i nie cierpię tego. Zoperowano mi rozszczep podniebienia pierwszy raz, gdy byłem niemowlakiem, i drugi raz, gdy miałem cztery lata. Mimo to dziura w podniebieniu została. Choć parę lat temu wyrównano mi operacyjnie

szczękę, i tak przeżuwam jedzenie przednimi zębami. Nie zdawałem sobie sprawy, jak to wygląda, dopóki na jakiejś imprezie urodzinowej jeden z dzieciaków nie powiedział mamie, która urządziła przyjęcie, że nie chce siedzieć koło mnie, bo jestem flejtuch i kawałki jedzenia wypadają mi z ust. Chłopak z pewnością nie chciał mi dokuczyć, ale potem miał z tego powodu duże kłopoty i jego mama zadzwoniła tego samego wieczoru do mojej mamy z przeprosinami. Po powrocie do domu stanąłem przed lustrem w łazience i zacząłem jeść słonego krakersa, żeby zobaczyć, jak wyglądam, gdy żuję. Chłopak miał rację: jem jak żółw – widzieliście kiedyś jedzącego żółwia? – jak jakiś prehistoryczny potwór z bagien.

# Letni stolik

– Cześć. Zajęte?

Uniosłem głowę i po drugiej stronie stolika zobaczyłem nieznajomą dziewczynę z tacą. Miała brązowe włosy, długie i falujące, i brązowy T-shirt z fioletową pacyfką.

– Hm… nie.

Postawiła tacę na blacie, rzuciła plecak na podłogę i usiadła naprzeciw mnie. Na talerzu miała makaron z serem.

– Fuj – powiedziała po przełknięciu pierwszego kęsa. – Powinnam wziąć z domu kanapkę, tak jak ty.

– Uhm – mruknąłem, kiwając głową.

– Nazywam się Summer, a ty?

– August.

– Fajnie.

– O, jesteś, Summer! – Do stolika podeszła druga dziewczyna z tacą. – Dlaczego tu usiadłaś? Nie wracasz do stolika?

– Tam było za ciasno – wyjaśniła Summer. – Siadaj z nami. Tu jest więcej miejsca.

Po twarzy tej drugiej przemknęło zmieszanie. Poznałem ją: kilka minut wcześniej siedziała z dziewczynami przy stoliku niedaleko mnie, szepcząc coś i zakrywając usta ręką. Summer chyba też była z nimi.

– Jak chcesz – odparła tamta i odeszła.

Summer spojrzała na mnie, zrobiła obojętną minę i nabrała na widelec kolejną porcję makaronu.

– Zauważyłeś, że nasze imiona pasują do siebie? – spytała, przeżuwając.

Chyba zorientowała się, że nie wiem, o co jej chodzi.

– Summer… August[7]… – Uśmiechała się, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami i czekając, aż załapię.

– No tak. – Wreszcie do mnie dotarło.

– Niech to będzie wyłącznie letni stolik – wpadła na pomysł. – Będą mogli tu siedzieć tylko ci, co mają letnie imiona. Jest u nas jakaś June albo July?

– Jest Maya[8] – powiedziałem.

– Właściwie to wiosenne imię – oświadczyła Summer. – Ale jeśli chciałaby z nami siedzieć, możemy zrobić wyjątek. – Mówiła takim tonem,

jakby już wszystko dokładnie przemyślała. – Jest Julian. To odpowiednik imienia Julia, które pochodzi od nazwy drugiego miesiąca lata.

Nie odezwałem się. Po dłuższej chwili wtrąciłem:

– W mojej grupie na angielskim jest Leo.

– Znam go. Ale dlaczego Leo kojarzy ci się z latem?

– Bo ja wiem? – Wzruszyłem ramionami. – Wyobrażam sobie lwa, a lwy mieszkają w Afryce, gdzie jest ciepło.

– Niech będzie. – Kiwnęła głową i wyjęła zeszyt. – Pani Petosa też może tu siedzieć. Jej nazwisko brzmi kwiatowo, jak „petunia”, i według mnie ma związek z latem.

– Jest moją wychowawczynią – powiedziałem.

– A mnie uczy matematyki – oznajmiła Summer, krzywiąc się.

Na przedostatniej stronie zeszytu zaczęła spisywać imiona.

– Kto jeszcze? – zapytała.

Gdy zjedliśmy lunch, wykaz uczniów i nauczycieli, którym pozwolilibyśmy usiąść przy naszym stoliku, znacznie się wydłużył. Imiona w większości nie były letnie, ale jakoś tam wiązały się z latem. Udało mi się wpisać nawet Jacka Willa, uzasadniając to tym, że jego imię

i nazwisko mogłoby pojawić się w zdaniu o lecie, na przykład takim: „Jacka willa znajduje się przy plaży”. Summer uznała ten argument.

– Jeśli ktoś, kto nie ma letniego imienia, będzie chciał z nami siedzieć – powiedziała z powagą – to mu pozwolimy pod warunkiem, że jest sympatyczny, dobrze?

– Dobrze. Nawet jeżeli ma zimowe imię.

– Gites! – Summer uniosła kciuk.

Imię pasowało do tej dziewczyny. Była opalona i miała zielone jak liść oczy.

# Od jednego do dziesięciu

Mama często pyta, jak mi się coś podoba w skali od jednego do dziesięciu. Zaczęła to robić, gdy po operacji szczęki nie mogłem mówić, bo druty uniemożliwiały mi otworzenie ust. Lekarze wyjęli mi kawałek kości z biodra i włożyli w brodę, żeby wyglądała normalniej, więc bolało mnie wiele różnych części ciała. Mama wskazywała któreś z zabandażowanych miejsc, a ja unosiłem palce na znak, jak bardzo boli. Jeden oznaczało ledwie, ledwie. Dziesięć – bardzo, bardzo. Potem mama mówiła lekarzowi na obchodzie, co trzeba poprawić albo coś w tym rodzaju. Niekiedy naprawdę świetnie czytała w moich myślach.

Od tego czasu, gdy coś mnie bolało, stosowaliśmy skalę od jednego do dziesięciu. Na przykład dostałem zwykłego bólu gardła i wtedy mama pytała: „Ile w skali?”, a ja odpowiadałem: „Trzy” albo ileś tam.

Po lekcjach wyszedłem przed szkołę, gdzie czekała mama i inni rodzice czy opiekunki. Gdy tylko uściskała mnie, zaraz padły pytania:

– Jak było? Ile w skali?

– Pięć – rzuciłem obojętnym tonem, co wyraźnie ją zaskoczyło.

– Ho, ho – mruknęła pod nosem – to przechodzi moje oczekiwania.

– Jedziemy po Vię?

– Dzisiaj odbierze ją mama Mirandy. Chcesz, żebym wzięła ci plecak?

Szliśmy przez tłum dzieci i dorosłych. Prawie wszyscy przyglądali mi się albo ukradkiem pokazywali mnie sobie nawzajem.

– Nie trzeba – odparłem.

– Mam wrażenie, że jest ciężki – powiedziała, sięgając po plecak.

– Mamo!

Szarpnąłem się i ruszyłem przodem.

– Do jutra, August! – Zobaczyłem Summer, która szła w przeciwnym kierunku niż ja.

– Cześć, Summer. – Pomachałem jej ręką.

Ledwie znaleźliśmy się po drugiej stronie ulicy, z dala od tłumu, mama zapytała:

– Kto to był, Auggie?

– Summer.

– Jesteście w jednej grupie?

– Mam lekcje z różnymi grupami.

– Czy ta dziewczynka jest w którejś z tych grup?

– Nie.

Czekała na jakieś wyjaśnienia, ale mnie zwyczajnie nie chciało się mówić.

– A więc było fajnie, tak? – Wiedziałem, że miała ochotę zadać mi jeszcze milion pytań. – Wszyscy zachowywali się miło? Podobali ci się nauczyciele?

– Uhm.

– A te dzieci, które poznałeś tydzień temu? Były w porządku?

– Tak, tak. Jack spędził ze mną dużo czasu.

– To wspaniale, kochanie. A ten drugi chłopiec, Julian?

Przypomniało mi się, jak wspomniał o Darcie Sidiousie. Teraz miałem wrażenie, jakby to się wydarzyło sto lat temu.

– Był w porządku – powiedziałem.

– A ta blondyneczka? Jak ona ma na imię?

– Charlotte. Mamo, już ci mówiłem: wszyscy zachowywali się miło.

– No dobrze.

Naprawdę nie wiem, dlaczego złościłem się na mamę, ale nic nie mogłem na to poradzić. Przeszliśmy przez Amesfort Avenue i mama nie

odezwała się słowem, dopóki nie skręciliśmy w naszą ulicę.

– No to jak poznałeś Summer, skoro nie jest twoją koleżanką z grupy?

– Siedzieliśmy przy jednym stoliku w czasie lunchu – wyjaśniłem.

Raz lewą, raz prawą nogą kopałem kamień jak piłkę futbolową i biegłem za nim w poprzek chodnika to w tę, to w tamtą stronę.

– Zdaje się, że jest bardzo sympatyczna.

– Zgadza się.

– I bardzo ładna – dodała mama.

– Wiem. Wyglądamy jak Piękna i Bestia.

Nie czekałem na reakcję mamy, tylko kopnąłem kamień jak najmocniej i pognałem do przodu.

# Padawan

Tego wieczoru obciąłem warkoczyk z tyłu głowy. Pierwszy zauważył to tato i powiedział:

– Bardzo dobrze. Nigdy mi się nie podobał.

Via nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Zapuszczałeś ten kosmyk latami! – zawołała niemal takim tonem, jakby ją to rozzłościło. – Dlaczego go ściąłeś?

– Nie wiem – odparłem.

– Ktoś się z ciebie naśmiewał?

– Nie.

– Mówiłeś Christopherowi, że zetniesz warkoczyk?

– Już się nie przyjaźnimy!

– To nieprawda. Nie wierzę, że obciąłbyś go ot tak sobie – stwierdziła z przemądrzałą miną i wyszła z pokoju, niemal trzasnąwszy drzwiami.

Leżałem na łóżku, głaszcząc Daisy, gdy przyszedł tato, żeby otulić mnie do snu.

Delikatnie odsunął psa i położył się przy mnie na kocu.

– Jak tam, Auggie Piesku? Naprawdę miałeś udany dzień? – zapytał.

Przy okazji wyjaśnię, że tato wziął to przezwisko ze starej kreskówki o jamniku, który nazywał się Auggie Piesek. Kupił mi ten film na eBayu, gdy miałem ze cztery lata, i przez jakiś czas oglądaliśmy go bardzo często – zwłaszcza gdy leżałem w szpitalu. Tato mówił do mnie „Auggie Piesku", a ja do niego „kochany tatku", tak jak synek jamnik mówi do swojego taty jamnika w filmie.

– No, było zupełnie w porządku – przyznałem.

– Przez cały wieczór prawie się nie odzywałeś.

– Pewnie jestem zmęczony.

– To był długi dzień, co?

Kiwnąłem głową.

– Naprawdę było w porządku?

Znowu kiwnąłem głową. Tato się nie odzywał, więc po chwili dorzuciłem:

– Właściwie było lepiej niż w porządku.

– Bardzo się cieszę, Auggie – powiedział cicho i pocałował mnie w czoło. – Wygląda na to, że mama podjęła dobrą decyzję, posyłając cię do szkoły.

– Uhm. Ale gdy zechcę, zabierzecie mnie stamtąd, tak?

– Oczywiście, taka była umowa – potwierdził. – Wydaje mi się jednak, że to będzie zależało od tego, dlaczego nie chcesz chodzić do szkoły. Będziesz musiał nam wyjaśnić, porozmawiać z nami i opowiedzieć, jak się tam czujesz i czy dzieje się coś złego. Dobrze? Obiecujesz, że tak zrobisz?

– Uhm.

– Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać. Czy ty jesteś zły na mamę? Fukałeś na nią przez cały wieczór. Przecież wiesz, że jestem odpowiedzialny tak samo jak ona za posłanie cię do szkoły.

– Ona bardziej. To był jej pomysł.

Właśnie wtedy mama zapukała do drzwi i wsadziła głowę do pokoju.

– Chciałam tylko dać ci buzi na dobranoc – odezwała się jakby trochę nieśmiało.

– Cześć, mamusiu – rzucił tato, biorąc mnie za rękę i machając nią do mamy.

– Słyszałam, że ściąłeś warkoczyk. – Usiadła na brzegu łóżka, obok Daisy.

– To nic wielkiego – zaznaczyłem od razu.

– Nie powiedziałam, że to coś wielkiego.

– Może ty ułożysz dzisiaj Auggiego do snu. Muszę jeszcze popracować – wtrącił tato. – Dobranoc, synku mój, synku. – Znów użył wyrażenia z kreskówki o Auggiem Piesku, ale nie byłem w nastroju, żeby odpowiedzieć: „Dobranoc, kochany tatku”. – Jestem z ciebie bardzo dumny – oświadczył i wstał z łóżka.

Rodzice układali mnie do snu na zmianę. To trochę dziecinne, wiem, żeby dziesięciolatek tego potrzebował, ale tak się robi w naszej rodzinie.

– Zajrzysz do Vii? – poprosiła mama tatę i położyła się koło mnie.

Tato odwrócił się do nas, przystając w drzwiach.

– Coś się z nią dzieje? – zapytał.

– Chyba nie – odparła spokojnie mama – przynajmniej tak twierdzi. Ale po pierwszym dniu w szkole… i w ogóle…

– Hm – mruknął tato, wskazując na mnie palcem i puszczając oko. – Z wami zawsze coś jest, dzieciaki.

– Człowiek nie nudzi się ani chwili – dodała mama.

– Święte słowa – przytaknął tato. – Dobranoc.

Gdy zamknął za sobą drzwi, mama zaraz wyjęła książkę, którą czytała mi przez kilka ostatnich tygodni. Odetchnąłem z ulgą, bo

poważnie się bałem, że będzie chciała „porozmawiać”, a ja nie miałem na to ochoty. Na szczęście ona też. Przerzuciła kartki do miejsca, gdzie skończyliśmy ostatnim razem, mniej więcej w połowie *Hobbita*.

„– Stój! Stój! – krzyczał Thorin, ale było już za późno, jego rozgorączkowani podwładni zmarnowali ostatnie strzały. Łuki, darowane im przez Beorna, miały więc odtąd stać się bezużyteczne.

Posępnie cała kompania przesiedziała tę noc, a jeszcze posępniej wędrowała następnego dnia naprzód. Przebyli zaczarowany strumień, lecz na tym brzegu ścieżka wydawała się równie błędna jak na tamtym, a w puszczy nie dostrzegali żadnej zmiany”[9]…

Nie wiem dlaczego, ale nagle się rozpłakałem.

Mama odłożyła książkę i wzięła mnie w ramiona. Nie wyglądała na zdziwioną moim płaczem.

– Już dobrze – szeptała mi do ucha. – Będzie dobrze.

– Przepraszam – wykrztusiłem, pociągając nosem.

– Ciii… cii… – uspokajała mnie i ocierała mi łzy wierzchem dłoni. – Nie masz powodu przepraszać…

– Mamusiu, dlaczego jestem taki brzydki? – jęknąłem.

– Nie jesteś, synku, wcale nie…

– Wiem, że jestem.

Obsypała mnie pocałunkami. Całowała oczy znajdujące się niżej, niż powinny, policzki wklęsłe jak po uderzeniu i żółwie usta.

Szeptała czułości, które miały mnie pocieszyć, ale przecież od nich nie zmieni mi się twarz.

# Wrzesień

Cały wrzesień był ciężki. Nigdy dotąd nie wstawałem tak wcześnie. Nie byłem przyzwyczajony do odrabiania prac domowych. No i pod koniec miesiąca miałem pierwszy sprawdzian. Gdy uczyłem się w domu, mama nie robiła żadnych sprawdzianów. Poza tym nie podobało mi się, że nie mam wolnego czasu. Do tej pory mogłem się bawić, kiedy chciałem, a teraz ciągle musiałem się zajmować szkołą.

Chodzenie do szkoły było z początku okropne. Na pierwszej lekcji z każdego przedmiotu dzieciaki korzystały z okazji, żeby się na mnie pogapić. Zerkały znad zeszytów albo rzucały ukradkowe spojrzenia, sądząc, że tego nie widzę. Omijały mnie szerokim łukiem, byle tylko nie zderzyć się ze mną, jakbym rozsiewał wirusy czy mógł zarazić kogoś swoją twarzą.

Na ciągle zatłoczonym korytarzu niejeden dzieciak, który jakimś trafem jeszcze o mnie nie

słyszał, wytrzeszczał oczy zaskoczony widokiem mojej twarzy i wydawał taki zduszony dźwięk „a!” jak przy nabieraniu powietrza i wstrzymywaniu oddechu przed zanurzeniem się w wodzie. W pierwszych kilku tygodniach zdarzało się to cztery, pięć razy dziennie – na schodach, przy szafkach, w bibliotece. Do szkoły chodziło pięciuset uczniów i w końcu musiał nadejść dzień, gdy wszyscy zobaczyli, jak wyglądam. Po kilku dniach od rozpoczęcia nauki zaczęto o mnie mówić. Świadczyły o tym poszturchiwania, gdy mijali mnie ludzie, i zasłanianie ręką ust podczas rozmowy, gdy przechodziłem obok. Już sobie wyobrażam, co gadano na mój temat. A właściwie wolę sobie tego nie wyobrażać.

Nie uważam, że chcieli mi dokuczyć – nikt nie parsknął śmiechem, nie palnął czegoś, nic z tych rzeczy. To byli normalni głupole. Jestem przekonany. Właściwie miałem ochotę powiedzieć im coś w rodzaju: „No dobra, wiem, że wyglądam dziwacznie. Proszę bardzo, przyjrzyjcie się. Nie gryzę”. Jasne, że gdyby nagle pojawił się w szkole Wookiee, chciałbym go zobaczyć i pewnie bym się na niego trochę gapił! I gdybym szedł z Jackiem czy Summer, pewnie szepnąłbym: „Patrz, Wookiee”. Gdyby Wookiee

przyłapał mnie na tym, wiedziałby, że nie chcę mu dokuczyć. Po prostu stwierdzam fakt, że on jest Wookieem.

Gdzieś po tygodniu dzieciaki z mojej grupy przyzwyczaiły się do mojego wyglądu. Z nimi spotykałem się codziennie, na wszystkich lekcjach.

Gdzieś po dwóch tygodniach przyzwyczaili się do mnie uczniowie z pozostałych piątych klas. Widywałem ich w stołówce, na boisku, w sali gimnastycznej, na muzyce i na zajęciach komputerowych.

Gdzieś po miesiącu przyzwyczaiła się do mnie cała szkoła, uczniowie niższych, średnich i wyższych klas. Trafiały się wśród nich wyrośnięte dzieciaki. Jedne nosiły wariackie fryzury, inne miały kolczyki w nosach, jeszcze inne pryszczate twarze. Nikt nie wyglądał tak jak ja.

# Jack Will

Z Jackiem trzymaliśmy się razem w świetlicy, na angielskim, historii, muzyce, zajęciach komputerowych i z przedmiotów ścisłych, czyli na wszystkich wspólnych lekcjach. Nauczyciele wyznaczali nam miejsca w każdej klasie i okazywało się, że zawsze siedzę obok Jacka, więc doszedłem do wniosku, że albo kazano im sadzać nas razem, albo był to jakiś zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Razem przechodziliśmy na lekcje z jednej klasy do drugiej. Jack bez wątpienia widział, że dzieciaki się na mnie gapią, ale udawał, że nic się nie dzieje. Któregoś dnia, gdy szliśmy na historię, potężny chłopak z ósmej klasy zbiegał ze schodów po dwa stopnie naraz i niechcący zderzył się ze mną na dole, zwalając mnie z nóg. Kiedy pomagał mi się podnieść, spojrzał na moją twarz i mimo woli powiedział: „O rany!”. Potem klepnął mnie po ramieniu, jakby chciał strzepnąć

kurz, i pognał za kolegami. Nie wiadomo czemu Jack i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

– Ale on miał śmieszną minę! – zawołał stłumionym głosem Jack, gdy usiedliśmy w ławkach.

– Prawda? I to jego: „O rany!”.

– Mogę przysiąc, że zsikał się w portki!

Krztusiliśmy się ze śmiechu, aż nauczyciel, pan Roche, musiał nas uspokajać.

Po jakimś czasie, gdy skończyliśmy czytać o tym, jak w starożytności Sumerowie budowali zegary słoneczne, Jack spytał szeptem:

– Nie masz czasem ochoty dołożyć tym ludziom?

– Może. Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami.

– Mnie by kusiło. Moim zdaniem powinieneś mieć ukryty pistolet na wodę albo coś w tym rodzaju, podłączony jakoś do oczu. Gdy ktoś gapi się na ciebie, psikasz mu w twarz.

– Na przykład jakąś zieloną mazią – przyszło mi na myśl.

– Nie, nie. Lepiej zebrać śluz ślimaków i zmieszać z psimi sikami.

– Super! – Całkowicie się z nim zgadzałem.

– Chłopcy! – zawołał pan Roche z drugiego końca. – Niektórzy jeszcze czytają.

Kiwnęliśmy głowami i wlepiliśmy wzrok w podręczniki. Po chwili Jack szepnął:

– Słuchaj, zawsze będziesz tak wyglądał? Nie mogą ci zrobić operacji plastycznej czy jak?

– Że co? – Rozbawiony przyłożyłem palec do twarzy. – Tak wyglądam po operacji.

Jack klepnął się w czoło i dostał ataku śmiechu.

– Powinieneś zaskarżyć tego lekarza do sądu, kolo! – wykrztusił.

Teraz już w ogóle nie mogliśmy się opanować, nawet gdy podszedł pan Roche i każdemu z nas kazał zamienić się miejscami ze swoim sąsiadem.

# Październikowe wskazanie pana Browne’a

Na październik pan Browne wybrał następujące wskazanie:

CZYNAMI WYSTAWISZ SOBIE POMNIK

Dowiedzieliśmy się, że te słowa wyryto na nagrobku jakiegoś Egipcjanina, który umarł tysiące lat temu. Ponieważ na historii mieliśmy wkrótce uczyć się o starożytnym Egipcie, wskazanie pasowało w sam raz.

Praca domowa polegała na wyjaśnieniu w kilku zdaniach, jak rozumiemy to wskazanie i co o nim sądzimy.

Napisałem tak:

*To wskazanie mówi, że o tym, jak ludzie będą nas pamiętać, świadczą nasze czyny. One są najważniejsze. Ważniejsze od tego, co mówimy i jak wyglądamy. Nasze czyny przetrwają po naszej śmierci. Są jak pomniki, które ludzie stawiają ku czci bohaterów po ich śmierci. Albo jak piramidy, które Egipcjanie wznosili dla faraonów. Tyle że zrobione nie z kamienia, ale ze wspomnień ludzi o człowieku. Dlatego można powiedzieć, że czynami wystawiamy sobie pomnik. Zbudowany ze wspomnień, nie kamienny.*

# Jabłka

Obchodzę urodziny dziesiątego października. Podoba mi się ta data: 10.10. Szkoda, że nie urodziłem się o dziesiątej dziesięć rano albo w nocy, ale trudno. Stało się to tuż po północy. W każdym razie nadal uważam, że data jest super.

Zwykle odbywa się w domu małe przyjęcie. Jednak w tym roku zapytałem mamę, czy nie można urządzić megaimprezy. Zdziwiła się, ale była zadowolona. Zapytała, kogo z mojej klasy chcę zaprosić. Powiedziałem, że wszystkich ze świetlicy i jeszcze Summer.

– Będzie duża grupa, Auggie – zauważyła mama.

– Muszę zaprosić wszystkich, żeby komuś nie było przykro, gdy się okaże, że inni dostali zaproszenie, a on nie. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Mama kiwnęła głową. – A tego chłopaka, który zapytał: „Co ci się stało?”?

– Uhm, Juliana też – potwierdziłem. – Jezu, mamo, powinnaś dawno o tym zapomnieć.

– Wiem. Masz rację.

Parę tygodni później zapytałem mamę, kto przyjdzie na moje urodziny.

– Jack Will, Summer, Leo Kingsley, obaj Maxowie – wymieniała. – Kilkoro dzieci powiedziało, że postarają się przyjść.

– To znaczy które?

– Charlotte ma przedtem występ taneczny. Jeśli zdąży, to będzie. Tak mówiła jej mama. Rozmawiałam też z mamą Tristana. Chłopiec być może przyjdzie, jak skończy grać w piłkę nożną.

– To wszyscy? W sumie… pięć osób.

– Nie możesz tak liczyć, Auggie – odparła mama. – Przyszłoby więcej, ale niektórzy mieli już coś zaplanowane.

Byliśmy w kuchni. Niedawno wróciliśmy z jabłkami z targu i mama kroiła jedno na malutkie kawałki, żeby łatwo mi się jadło.

– Na przykład co? – spytałem.

– Nie wiem, Auggie. Trochę późno wysłaliśmy zaproszenia.

– I co odpisali? Jak się tłumaczyli?

– Każdy inaczej. A w ogóle, czy to ważne, jakie podawali powody? – Mama się zniecierpliwiła. – Mieli swoje plany i tyle.

– Jaki powód podał Julian?

– Wiesz, jego mama jako jedyna nie odpowiedziała na zaproszenie. – Spojrzała na mnie i dodała: – Jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Roześmiałem się, myśląc, że to żart. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z pomyłki.

– Co to znaczy?

– Nieważne. Idź umyć ręce przed jedzeniem.

Na moje urodziny przyszło mniej osób, niż się spodziewałem, ale i tak bawiliśmy się świetnie. Była grupa ze szkoły: Jack, Summer, Leo, Tristan i obaj Maxowie. Odwiedził mnie też Christopher – przyjechał z rodzicami aż z Bridgeport. Zjawił się wujek Ben. Ciocia Kate i wujek Po przyjechali samochodem z Bostonu, brakowało tylko babci i dziadka, którzy spędzali zimę na Florydzie. Było rozrywkowo, bo wszyscy dorośli w którymś momencie grali w kręgle na torze obok naszego i miało się wrażenie, że moje urodziny świętuje dużo ludzi.

# Halloween

Następnego dnia podczas przerwy na lunch Summer spytała mnie, za kogo się przebiorę na Halloween. Ponieważ zastanawiałem się nad tym przez cały rok – jasna sprawa – miałem gotową odpowiedź.

– Za Bobę Fetta.

– Wiesz, że w Halloween można przyjść do szkoły w kostiumie?

– Niemożliwe! Naprawdę?

– Byleby był poprawny politycznie.

– To znaczy żadnej broni ani niczego takiego.

– Właśnie.

– Co z blasterami?

– Zdaje mi się, że służą do strzelania, Auggie.

– A niech to… – Westchnąłem, kręcąc głową, ponieważ Boba Fett ma blaster.

– Przynajmniej nie musimy przebierać się za postacie z książek, jak w młodszych klasach. Rok

temu przyszłam w stroju Złej Czarownicy z Zachodu z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

– Ale to przecież film, nie książka.

– Coś ty! – zawołała Summer. – Najpierw była książka! Moja najukochańsza ze wszystkich na świecie. Gdy miałam pięć lat, tato czytał mi ją co wieczór.

Summer, kiedy mówi albo jest podekscytowana, mruży oczy, jakby patrzyła pod słońce.

Na lekcjach rzadko ją spotykam, bo mamy razem tylko angielski. Za to od tamtego pierwszego lunchu w szkole siedzimy przy naszym letnim stoliku codziennie, tylko we dwoje.

– A ty za kogo się przebierzesz?

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Wiem, kim chciałabym być, ale to może wyglądać idiotycznie. Savanna i jej kumpelki nie przyjdą w kostiumach, tak słyszałam. Uważają, że w naszym wieku już nie wypada bawić się w Halloween.

– Że co? To głupota.

– No pewnie.

– Myślałem, że nie przejmujesz się ich gadaniną.

Summer wzruszyła ramionami i upiła duży łyk mleka.

– Co za idiotyczne przebranie wykombinowałaś? – zapytałem w żartach.

– Obiecujesz, że nie będziesz się śmiał? – Zażenowana uniosła brwi. – Mam ochotę włożyć kostium jednorożca.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem na swoją kanapkę.

– Ej, ty, obiecałeś, że nie będziesz się śmiał!

– No dobrze. Miałaś rację: to idiotyczne.

– Wiem! Ale wszystko już obmyśliłam: zrobię łeb z papier mâché i pomaluję róg na złoto, grzywę też… Będzie niesamowity.

– W takim razie zrób tak – rzuciłem luźno. – Kto by się przejmował zdaniem innych.

– Może włożę ten kostium tylko na paradę halloweenową. – Pstryknęła palcami. – A do szkoły pójdę przebrana za gotkę. O, dobry pomysł.

– Brzmi nieźle. – Kiwnąłem głową.

– Dzięki, Auggie – powiedziała rozchichotana. – Za to lubię cię najbardziej, wiesz. Mam wrażenie, że mogę ci powiedzieć wszystko.

– Tak? – Kiwnąłem głową i uniosłem kciuk. – Gites.

# Zdjęcia szkolne

To chyba nic zaskakującego, że nie chcę pozować do zdjęcia, gdy dwudziestego drugiego października będą fotografować uczniów. Za żadne skarby. Wielkie dzięki. Już od jakiegoś czasu nie zgadzam się na robienie mi zdjęć. Można nazwać to fobią. Właściwie to nie fobia, tylko awersja – to słowo poznałem niedawno na lekcji pana Browne'a. Mam awersję do aparatu fotograficznego. Proszę bardzo, użyłem tego słowa w zdaniu.

Myślałem, że mama będzie mnie namawiała, żebym przemógł swoją awersję i dał się sfotografować do księgi szkolnej, ale tego nie zrobiła. Od zdjęcia portretowego udało mi się wykręcić, ale niestety nie od zdjęcia klasowego. Brr. Gdy fotograf mnie zobaczył, skrzywił się, jakby polizał cytrynę. Na pewno pomyślał, że zepsuję mu zdjęcie. Umieszczono mnie z przodu,

między siedzącymi dziećmi. Nie uśmiechnąłem się, choć i tak nikt by nie poznał.

# Serowa zgaga

Niedawno zauważyłem, że choć wszyscy w szkole powoli się do mnie przyzwyczajali, wszyscy starają się mnie nie dotykać. Z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo dzieci ze średnich klas podstawówki w ogóle niespecjalnie lubią się dotykać. Ale w zeszły czwartek na zajęciach tanecznych, które są moim najmniej ulubionym przedmiotem, nasza nauczycielka, pani Atanabi, chciała, żeby Ximena Chin tańczyła ze mną w parze. Nigdy nie widziałem, jak wygląda „atak paniki”, ale mi opowiadano, więc jestem całkiem pewny, że czegoś takiego dostała Ximena. Zaczęła się trząść, zbladła i w ciągu minuty oblała się potem, a po chwili znalazła jakąś kiepską wymówkę, żeby wyjść do łazienki. Pani w każdym razie odpuściła jej i nie kazała nam tańczyć parami.

Z kolei wczoraj na fakultecie z przedmiotów ścisłych uczyliśmy się wykrywać kwasy i zasady.

Każdy dostał trochę tajemniczego proszku na folii aluminiowej, miał go podgrzewać na płycie i robić obserwacje. Cała grupa stała z zeszytami wokół płyty. Z ośmiu osób, które przychodzą na zajęcia, siedem tłoczyło po jednej stronie, a jedna – czyli ja – miała całą drugą stronę dla siebie. Oczywiście widziałem, co się dzieje, ale liczyłem na to, że pani Rubin niczego nie zauważy i w ogóle się nie odezwie. Oczywiście zauważyła i zaraz się odezwała.

– Chłopcy, po tamtej stronie jest mnóstwo miejsca. Tristan, Nino, przesuńcie się.

Obaj natychmiast stanęli przy mnie. Tristan i Nino zawsze byli dla mnie mili. Chcę to oświadczyć publicznie. Nie aż supermili – to znaczy, nie wychodzili ze skóry, żeby się ze mną kolegować. Byli zwyczajnie mili: mówili „cześć” i rozmawiali ze mną jak z normalnym człowiekiem. Nawet się nie skrzywili, gdy pani Rubin kazała im stanąć koło mnie, a takie kwaśne miny robi mnóstwo dzieci, gdy myślą, że tego nie widzę.

Wszystko było dobrze, dopóki tajemniczy proszek Tristana nie zaczął się rozpuszczać. Chłopak zsunął folię aluminiową z płyty w momencie, gdy mój proszek też się już rozpuszczał i trzeba było go zabrać. Właśnie

wtedy trąciłem Tristana niechcący w rękę, a on cofnął ją tak szybko, że upuścił swoją folię na podłogę i jednocześnie zrzucił z płyty pozostałe.

– Tristanie! – krzyknęła pani Rubin.

Nie przejmował się ani rozsypanym proszkiem, ani nieudanym doświadczeniem. Myślał tylko o jednym: żeby dobiec do zlewu i jak najszybciej umyć ręce. Wtedy wiedziałem już na pewno, że dzieciaki w szkole Beechera ześwirowały na punkcie niedotykania mnie.

Przypomniała mi się serowa zgaga z *Dziennika cwaniaczka*. Tam dzieciaki boją się, że się czymś zarażą, jeżeli dotkną spleśniałego sera, który leży na boisku do koszykówki. W szkole Beechera to ja jestem takim spleśniałym serem.

# Przebranie

Moim zdaniem Halloween to najfajniejsze święto ze wszystkich. Lepsze nawet od Bożego Narodzenia. Wkładam kostium. Noszę maskę. Chodzę sobie w masce, tak jak inne dzieciaki, i nikt nie myśli, że wyglądam dziwnie. Nikt nie wbija we mnie wzroku. Nikt mnie nie zauważa. Nikt mnie nie zna.

Dla mnie Halloween może być codziennie. Wszyscy nosilibyśmy cały czas maski. Chodzilibyśmy po mieście i zawierali znajomości, zanim byśmy się dowiedzieli, jak wyglądamy pod przebraniem.

Gdy byłem mały, wszędzie chodziłem w hełmie kosmonauty. Na plac zabaw, do supermarketu, po Vię do szkoły. Nawet w lecie, choć pot spływał mi po twarzy. Nosiłem ten hełm parę lat, ale po operacji oczu nie mogłem go zakładać. Miałem wtedy około siedmiu lat. Potem gdzieś się zapodział. Mama szukała go wszędzie

i w końcu uznała, że pewnie wylądował na strychu u babci. Ciągle zamierzała go odnaleźć, ale w końcu przyzwyczaiłem się chodzić bez hełmu.

Mam zdjęcia we wszystkich swoich kostiumach halloweenowych. Na pierwsze święto przebrałem się za dynię. Na drugie za Tygrysa z *Chatki Puchatka*. Na trzecie za Piotrusia Pana (tato był kapitanem Hakiem). W czwarte święto ja byłem kapitanem Hakiem (tato przebrał się za Piotrusia Pana). W piąte przebrałem się za kosmonautę. W szóste za Obiego-Wana Kenobiego. W siódme za żołnierza-klona. W ósme za Dartha Vadera. W dziewiąte za ducha Krwawy Krzyk, który zamiast głowy ma czaszkę ociekającą sztuczną krwią.

W tym roku chcę się przebrać za Bobę Fetta: nie tego młodego Bobę Fetta z *Gwiezdnych wojen: część druga – Atak klonów*, tylko dorosłego Bobę Fetta z *Gwiezdnych wojen: część piąta – Imperium kontratakuje*. Mama szukała kostiumu wszędzie, ale nie mogła znaleźć w moim rozmiarze, więc kupiła mi kostium Janga Fetta – ponieważ Jango był tatą Boby i nosił taką samą zbroję. Potem pomalowała ją na zielono i coś przy niej zrobiła, żeby ją postarzyć. W każdym razie zbroja

wygląda jak prawdziwa. Mama jest dobra w robieniu kostiumów.

W świetlicy wszyscy opowiadali o swoich przebraniach na Halloween. Charlotte miała wystąpić jako Hermiona z *Harry'ego Pottera*. Jack jako wilkołak. Słyszałem, że Julian przebiera się za Janga Fetta, co było niesamowitym zbiegiem okoliczności. Pewnie nie ucieszyła go wiadomość, że będę Bobą Fettem.

Rano w Halloween Via z jakiegoś powodu się rozkleiła i zalała łzami. Do tej pory zawsze spokojna i opanowana, w tym roku już parę razy dostała takiego napadu. Tato, widząc, że spóźni się do pracy, zaczął ją poganiać: „Via, idziemy! Idziemy!". Mój tato zwykle ma mnóstwo cierpliwości, ale nie wtedy, gdy może się spóźnić do pracy. Jego krzyki tylko zestresowały Vię i wybuchnęła głośniejszym płaczem. Wobec tego mama powiedziała, żeby tato odprowadził do szkoły mnie, a ona zajmie się Vią. Dała mi całusa na do widzenia, jeszcze zanim się przebrałem, i zniknęła w pokoju Vii.

– Wychodzimy, Auggie! – zawołał tato. – Nie mogę się spóźnić na spotkanie!

– Ale ja jeszcze nie włożyłem kostiumu!

– No to wkładaj. Masz pięć minut. Czekam na ciebie przed domem.

Pognałem do pokoju, zacząłem się przebierać za Bobę Fetta i nagle dotarło do mnie, że nie chce mi się wkładać tego kostiumu. Nie wiem dlaczego – może dlatego, że miał mnóstwo pasków i potrzebowałem pomocy, żeby je pozapinać. A może zniechęciłem się, bo wciąż zalatywał farbą. W każdym razie wiedziałem tylko tyle, że włożenie kostiumu wymaga sporo zachodu, a na dworze czeka tato i będzie strasznie zirytowany, jeżeli przeze mnie się spóźni. Wobec tego w ostatniej chwili przebrałem się za ducha Krwawy Krzyk, jak w zeszłym roku. Prosta sprawa: narzuciłem długą czarną szatę i dużą białą maskę. Wychodząc na dwór, odwróciłem się i jeszcze w drzwiach krzyknąłem: „Do widzenia!”, ale mama pewnie mnie nie usłyszała.

– Sądziłem, że zamierzasz się przebrać za Janga Fetta – odezwał się tato, gdy byłem już na zewnątrz.

– Za Bobę Fetta!

– Niech ci będzie. W każdym razie wybrałeś lepszy kostium.

– No, jest ekstra.

# Krwawy Krzyk

Muszę powiedzieć, że gdy tamtego ranka szedłem korytarzem w kierunku szafek, czułem się fantastycznie. Wszystko kompletnie się zmieniło. Ja się zmieniłem. Przedtem chodziłem tędy z opuszczoną głową, starając się nie przyciągać uwagi, za to dzisiaj szedłem z głową do góry i rozglądałem się wokoło. Chciałem, żeby mnie widziano. Jeden z uczniów, w identycznym kostiumie jak mój – zamiast głowy podłużna biała czaszka, ociekająca sztuczną krwią – przybił mi piątkę, gdy mijaliśmy się na schodach. Nie mam pojęcia, kto to był, a on mnie też nie rozpoznał, i przemknęło mi przez myśl, czy tak by się zachował, gdyby wiedział, że to ja kryję się pod tą maską.

Wydawało mi się, że ten dzień zapisze się w historii jako najcudowniejszy w całym moim życiu, dopóki nie dotarłem do naszej świetlicy. Wszedłem do środka i pierwszy wpadł mi w oczy

kostium Dartha Sidiousa. Składał się z maski, takiej gumowej i bardzo podobnej do oryginału, dużego czarnego kaptura przykrywającego głowę i czarnej szaty do ziemi. Od razu się domyśliłem, że to Julian. Przypuszczam, że w ostatniej chwili zdecydował się na ten kostium, bo sądził, że przyjdę przebrany za Bobę Fetta. Rozmawiał z dwiema mumiami, czyli prawdopodobnie z Milesem i Henrym, i wszyscy trzej spoglądali w stronę drzwi, tak jakby na kogoś czekali. To jasne, że czekali nie na ducha Krwawy Krzyk, tylko na Bobę Fetta.

Już miałem iść do swojej ławki, ale z jakiegoś powodu, sam nie wiem dlaczego, podszedłem do stolika obok nich i usłyszałem, co mówią.

– Naprawdę jest do niego podobny – powiedziała mumia.

– Zwłaszcza ta część… – Julian dotknął policzków i oczu na masce Dartha Sidiousa.

– W gruncie rzeczy najbardziej przypomina wypchaną ludzką głowę – ciągnęła mumia. – No wiecie, były kiedyś plemiona, które preparowały głowy. Widzieliście je? On dokładnie tak wygląda.

– A dla mnie wygląda jak ork.

– Zgadza się!

– Gdybym ja tak wyglądał – rozległ się głos Juliana, jakby rozbawiony – codziennie zasłaniałbym twarz kapturem, jak Boga kocham.

– Dużo o tym myślałem – poważnym tonem odezwała się druga mumia – i naprawdę sądzę, że gdybym wyglądał jak on, chybabym się zabił, daję słowo.

– Przesadzasz – wtrącił Darth Sidious.

– Nie, serio – zapewniła mumia. – Nie wyobrażam sobie, żebym mógł codziennie oglądać w lustrze taką twarz. Okropność! No i to gapienie się na mnie bez przerwy.

– To dlaczego spędzasz z nim tyle czasu? – zapytał Darth Sidious.

– Sam nie wiem – odparła mumia. – Na początku roku Tushman kazał mi się nim zająć. Pewnie powiedział również wszystkim nauczycielom, żeby sadzali nas razem na lekcjach, czy coś w tym rodzaju. – Mumia wzruszyła ramionami. Gest był oczywiście znajomy. Głos też. Chciałem natychmiast wybiec z klasy, ale pozostałem na miejscu, żeby wysłuchać Jacka Willa do końca. – Problem w tym, że koleś wszędzie za mną łazi. Więc co mam zrobić?

– Olej go – rzucił Julian.

Nie wiem, co Jack mu odpowiedział, bo wyszedłem z klasy i nikt się nie zorientował, że tam byłem. Gdy schodziłem po schodach, czułem, że twarz mi płonie i jestem mokry od potu. Płakałem. Nie zdołałem powstrzymać łez. Płynęły mi strumieniami, tak że ledwie widziałem, ale mając na twarzy maskę, nie mogłem ich otrzeć. Szukałem malutkiej norki, żeby się w niej zaszyć. Chciałem wpaść w jakąś dziurę, małą czarną dziurę, która by mnie całego wessała.

# Przezwiska

Poczwara, paskuda, dziwoląg, E.T., małpolud, King Kong, Ropuch, mutant. Wiem, jak mnie przezywają. Chodziłem na wiele placów zabaw i przekonałem się, że dzieci mogą być wredne. Odczułem to na własnej skórze.

W końcu zaszyłem się w łazience na pierwszym piętrze. Była pusta, bo już się zaczęła pierwsza lekcja i wszyscy siedzieli w klasach. Zamknąłem się w kabinie, zdjąłem maskę i poryczałem się na dobre. Płakałem i płakałem, nie wiem jak długo. Potem poszedłem do pielęgniarki szkolnej i powiedziałem, że boli mnie brzuch, co było prawdą, bo czułem się tak, jakbym dostał kopniaka w żołądek. Siostra Molly położyła mnie na leżance obok swojego biurka i zadzwoniła do mamy. Piętnaście minut później mama już stała w drzwiach.

– Skarbie. – Wzięła mnie w objęcia.

– Cześć – wymamrotałem.

Nie chciałem, żeby teraz o cokolwiek mnie pytała.

– Boli cię brzuch? – Odruchowo przyłożyła rękę do mojego czoła, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki.

– Mówi, że jest mu niedobrze – odezwała się siostra Molly, patrząc na mnie: miała bardzo ładne oczy.

– I boli mnie głowa – wyszeptałem.

– Może coś zjadłeś? – spytała z niepokojem mama.

– Wśród uczniów szerzy się grypa żołądkowa – wtrąciła pielęgniarka.

– O Boże – jęknęła mama, kręcąc głową i unosząc brwi. Pomogła mi wstać z leżanki. – Mam wezwać taksówkę czy dojdziesz do domu?

– Dojdę.

– Zuch chłopak! – Siostra Molly poklepała mnie po plecach, odprowadzając nas do drzwi. – Gdyby zaczął wymiotować albo dostał gorączki, trzeba wezwać lekarza.

– Oczywiście. – Mama uścisnęła rękę pielęgniarce. – Bardzo dziękuję za opiekę nad Augustem.

– Nie ma za co – odparła siostra Molly. Wzięła mnie pod brodę i uniosła mi głowę. – Dbaj o siebie, dobrze?

– Postaram się – bąknąłem. – Dziękuję.

Poszliśmy z mamą do domu, przez całą drogę obejmując się. Nie powiedziałem jej, co się stało, a potem, gdy zapytała, czy czuję się na tyle dobrze, żeby chodzić po domach i zbierać słodycze, odparłem, że nie mam ochoty. To ją zaniepokoiło, bo wiedziała, że uwielbiam zabawę „cukierek albo psikus". Później usłyszałem, jak mówi do taty przez telefon:

– Nie ciągnie go nawet zabawa „cukierek albo psikus"… Bez gorączki… Chyba tak zrobię, jeżeli do jutra mu się nie poprawi… Wiem, biedactwo… Kto by przypuszczał, że ominie go Halloween?

Wykręciłem się od lekcji następnego dnia, czyli w piątek, i miałem jeszcze cały weekend na przemyślenie wszystkiego. Byłem prawie pewny, że nigdy więcej nie pójdę do szkoły.

# Część druga

*Daleko ponad światem*
*Ziemia jest błękitna*
*I nic nie mogę zrobić*

David Bowie, *Kosmiczna osobliwość*

# Tak wygląda nasza galaktyka

August jest Słońcem. Ja, mama i tato jesteśmy planetami, które krążą wokół Słońca. Reszta rodziny i przyjaciele to asteroidy i komety, poruszające się dokoła planet, które z kolei krążą wokół Słońca. Jedynym ciałem niebieskim, które nie obraca się wokół Augusta Słońca, jest Daisy. Dzieje się tak tylko dlatego, że w jej psich oczkach twarz Augusta niczym się nie różni od innych ludzkich twarzy – wszystkie wyglądają tak samo: są płaskie i blade jak tarcza księżyca.

Jestem przyzwyczajona, że tak działa ten wszechświat, a ponieważ tylko taki znam, nigdy na niego nie narzekam. Rozumiem, że August jest szczególny i ma szczególne potrzeby. Gdy miałam ochotę na głośną zabawę, a on akurat drzemał, wiedziałam, że muszę bawić się w coś innego i dać mu odpocząć, bo jest osłabiony i obolały po jakimś zabiegu. Gdy chciałam, żeby rodzice zobaczyli, jak gram w piłkę nożną,

w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie przyszli na mecz, bo musieli zawieźć Augusta na terapię mowy, fizjoterapię, na wizytę u jakiegoś kolejnego specjalisty albo na operację.

Mama i tato ciągle powtarzają, że jestem najbardziej wyrozumiałą dziewczyną na świecie. Tego nie wiem, wiem tylko, że nie ma sensu się skarżyć. Widziałam Augusta po operacjach: z opuchniętą, obandażowaną buzią, podłączonego do kroplówek i rurek, które utrzymywały go przy życiu. Gdy jesteś świadkiem takich rzeczy, głupio ci się żalić, że nie dostałaś wyczekiwanej zabawki albo że mama nie przyszła na przedstawienie szkolne. Wiedziałam o tym już jako sześcioletnie dziecko. Nikt nie musiał mi tego mówić. Po prostu wiedziałam.

No więc nie mam zwyczaju narzekać i nie zawracam rodzicom głowy drobiazgami. Umiem sama dawać sobie radę: składam zabawki, planuję swój czas tak, żeby nie opuszczać przyjęć urodzinowych u koleżanek, dobrze się uczę i nigdy nie mam zaległości w szkole. Nigdy nikogo nie proszę o pomoc przy odrabianiu lekcji. Nigdy nie trzeba mi przypominać, że muszę oddać pracę albo przygotować się do sprawdzianu. Gdy miałam trudności z jakimś

przedmiotem, szłam do domu i czytałam podręcznik tak długo, aż sama wszystko zrozumiałam. Z internetu nauczyłam się zamieniać ułamki zwykłe na dziesiętne. Każdy projekt klasowy wykonałam w zasadzie samodzielnie. Kiedy rodzice pytają, jak mi idzie w szkole, mówię, że dobrze – choć czasem tak nie jest. Zdaję sobie sprawę, że mój najgorszy z możliwych dni – gdy przeokropnie boli mnie głowa, nabiłam sobie megasiniaka, dostałam okres i skręcam się z bólu, ktoś potraktował mnie wyjątkowo podle – nijak się ma do tego, co przeszedł August. Swoją drogą, nie świadczy to o mojej szlachetności: wiem, że po prostu tak jest.

I zawsze tak było – w moim odczuciu i odczuciu nas wszystkich w tym małym wszechświecie. Ale tego roku następują jakieś przesunięcia w kosmosie. Galaktyka przybiera inny kształt. Ustawienie planet się zmienia.

# Przed Augustem

W ogóle nie pamiętam, jak toczyło się moje życie, zanim pojawił się w nim August. Oglądam zdjęcia z czasów, gdy byłam niemowlakiem, i widzę rozpromienionych ze szczęścia rodziców, ze mną na rękach. Aż trudno uwierzyć, o ile młodziej wtedy wyglądali: tato – hipster w odlotowych ciuchach, mama – urocza fashionistka brazylijskiego pochodzenia. Zachowało się zdjęcie z moich trzecich urodzin: tato stoi tuż za mną, mama trzyma tort z trzema zapalonymi świeczkami, z tyłu znajdują się babcia i dziadek, babcia ze strony mamy, wujek Ben, ciocia Kate, no i wujek Po. Wszyscy spoglądają na mnie, a ja patrzę na tort. Na tym zdjęciu dobrze widać, że jestem pierwszym dzieckiem, pierwszą wnuczką, pierwszą siostrzenicą i bratanicą. Oczywiście nie przypominam sobie, jakie to było uczucie, ale jest ono wyraźnie widoczne na zdjęciach.

Nie pamiętam, jak przebiegł dzień, gdy rodzice przyjechali z Augustem ze szpitala do domu. Nie pamiętam, co powiedziałam, zrobiłam i poczułam, widząc go pierwszy raz, za to w rodzinie krążą na ten temat opowieści. Mówi się, że długo i w milczeniu patrzyłam na niego i w końcu stwierdziłam: „To nie wygląda jak Lilly!”. Tak nazywała się lalka, którą w czasie ciąży mamy dostałam od babuni, żebym wprawiała się w byciu starszą siostrą. Lalka była z rodzaju tych, co to są jak żywe. Przez wiele miesięcy chodziłam z nią wszędzie, dawałam jej jeść i zmieniałam pieluchy. Podobno nawet nosiłam ją we własnoręcznie uszytej chuście. Zaledwie kilka minut (tak twierdzi babunia) albo kilka dni (tak twierdzi mama) po mojej pierwszej reakcji na widok Augusta już go obcałowywałam, tuliłam do siebie i gadałam do niego po dziecięcemu. Od tego czasu nie wzięłam Lilly do ręki ani o niej nie wspomniałam.

# Spojrzenie na Augusta

Nigdy nie widziałam Augusta takim, jakim widzieli go inni ludzie. Zdawałam sobie sprawę, że wygląda nie całkiem normalnie, ale nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego jego widok wywołuje u obcych szok. Przerażenie. Odrazę. Lęk. Jest bardzo dużo słów, którymi mogłabym opisać odczucia na twarzach ludzi. Przez długi czas nie mieściło mi się to w głowie. Od razu się wściekałam. Dostawałam szału, gdy się przyglądali i gdy odwracali wzrok. „Kurczę, na co się tak gapicie?”, mówiłam, nawet dorosłym.

Gdy miałam mniej więcej jedenaście lat, wysłano mnie na cztery tygodnie do babuni, do Montauk, a w tym czasie August przechodził poważną operację szczęki. Jeszcze nigdy nie byłam tak długo poza domem i muszę przyznać, że czułam się fantastycznie, nagle uwolniona od tego wszystkiego, co doprowadzało mnie do wściekłości. Nikt nie gapił się na babunię ani na

mnie, gdy robiłyśmy w mieście zakupy. Nikt nie pokazywał nas palcami. Nikt nas w ogóle nie zauważał.

Babunia należała do tego rodzaju babć, które dla wnuków są gotowe na wszystko. Gdybym ją poprosiła, wbiegłaby do morza – nawet ładnie ubrana. Pozwalała mi bawić się swoimi kosmetykami i nie narzekała, że jej kosztem wprawiam się w malowaniu twarzy. Zabierała mnie na lody nawet przed obiadem. Rysowała kredą konie na chodniku przed swoim domem. Pewnego wieczoru, gdy wracałyśmy z miasta, powiedziałam, że chętnie zostałabym z nią na zawsze. Taka byłam tam szczęśliwa. Chyba nigdy w życiu nie bawiłam się równie dobrze jak podczas tamtego pobytu u niej.

Przez pierwsze dni po powrocie do domu, cztery tygodnie później, czułam się bardzo dziwnie. Doskonale pamiętam, jak staję w drzwiach, a ucieszony moim powrotem August biegnie na powitanie i jak w ułamku sekundy widzę go nie takim jak zawsze, lecz takim, jakim widzą go inni. To była chwila, przebłysk, ale zaskakujący, bo nigdy dotąd nie spojrzałam na Augusta w ten sposób. I nigdy dotąd nie ogarnęło mnie takie uczucie jak wtedy, natychmiast napełniające odrazą do samej siebie. Kiedy

August obcałowywał mnie z całego serca, widziałam jedynie ślinę cieknącą mu po brodzie. I nagle stałam się jedną z tych osób, które albo się na niego gapią, albo odwracają wzrok.

Z przerażeniem. Z odrazą. Z lękiem.

Na szczęście trwało to tylko sekundę: usłyszałam cichy, chrypliwy śmiech Augusta i to uczucie zniknęło. Wszystko było jak dawniej. Miałam jednak wrażenie, że otworzyła się przede mną furtka, małe okienko, za którym znajdowało się dwóch Augustów: ten, na którego patrzyłam ślepym wzrokiem, i ten, którego widzieli inni ludzie.

Chyba tylko babuni mogłabym o tym opowiedzieć, lecz tak się nie stało. Zbyt trudno było podzielić się takimi odczuciami przez telefon. Pomyślałam, że spróbuję to zrobić, gdy przyjedzie na Święto Dziękczynienia. Ale zaledwie dwa miesiące po moim powrocie z Montauk moja cudowna babunia umarła. Wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Okazało się, że babunia zgłosiła się do szpitala, bo dostała mdłości. Od razu wsiadłyśmy z mamą do samochodu, ale od nas jedzie się do Montauk trzy godziny i gdy dotarłyśmy do szpitala, babuni już nie było. Powiedzieli nam, że miała atak serca. Po prostu.

Jakie to dziwne, że jednego dnia chodzimy po tej ziemi, a dzień później już nas nie ma. Gdzie przebywa teraz babunia? Czy rzeczywiście spotkam się z nią znowu, czy to tylko taka bajka?

W kinie i w telewizji ogląda się ludzi, którzy dowiadują się w szpitalu strasznych rzeczy. My jednak, choć tak często jeździliśmy do szpitala z powodu Augusta, do tej pory zawsze wychodziliśmy stamtąd ucieszeni. Dzień śmierci babuni zapamiętałam przede wszystkim dlatego, że mama dosłownie runęła na podłogę, zanosząc się płaczem i chwytając się za brzuch, jakby ktoś ją uderzył. Nigdy, przenigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nigdy nie słyszałam, żeby wydawała takie dźwięki. Podczas wszystkich operacji Augusta mama zawsze trzymała się dzielnie.

Ostatniego dnia mojego pobytu w Montauk oglądałyśmy z babunią zachód słońca na plaży. Wzięłyśmy ze sobą koc, żeby go położyć na piasku, ale się ochłodziło, więc owinęłyśmy się nim i przytulone do siebie rozmawiałyśmy, aż na tafli oceanu nie pozostał ślad słońca. Wtedy babunia powiedziała, że chce mi wyznać coś w sekrecie: nikogo na świecie nie kocha tak jak mnie.

– Nawet Augusta? – zapytałam.

Z uśmiechem pogłaskała mnie po włosach, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Bardzo, bardzo go kocham – odrzekła cichym głosem. Wciąż brzmi mi w uszach jej portugalski akcent, jej wibrujące „r”. – Ale nad Auggiem czuwa już wiele aniołów. Chcę, żebyś wiedziała, Vio, że ja czuwam nad tobą. Okay, *menina querida*? Że jesteś dla mnie najważniejsza. Jesteś… – Spojrzała w dal na ocean i rozpostarła ręce, jakby chciała wygładzić fale. – Jesteś dla mnie wszystkim. Rozumiesz, Vio? *Tu es meu tudo*.

Rozumiałam, co chce powiedzieć. I dlaczego mówi to w sekrecie. Babcie nie powinny mieć ulubieńców. Wiadomo. Po jej śmierci uchwyciłam się tego sekretu i okryłam nim jak kocem.

# August widziany przez okienko

Jego oczy znajdują się jakieś dwa i pół centymetra poniżej miejsca, gdzie powinny być, niemal w połowie policzków. Są bardzo przekrzywione i wyglądają prawie jak ukośne szpary, które wycięto mu w twarzy, a lewe jest wyraźnie niżej niż prawe. Do tego są wyłupiaste, bo się nie mieszczą w zbyt płytkich oczodołach. Górne powieki cały czas opadają do połowy oczu, co może nasuwać myśl, że August przysypia. Dolne powieki też zwisają, jakby ściągnięte niewidocznym sznurkiem, i widać przekrwione wnętrze, jakby wywinięte na zewnątrz. August nie ma brwi ani rzęs. Jego nos jest za duży w stosunku do reszty twarzy i dość mięsisty. Głowa zwęża się w miejscach, gdzie powinny być uszy, tak jakby ktoś ścisnął ją w środkowej części obcęgami. Zamiast kości policzkowych, po jednej

i drugiej stronie nosa biegnie do ust głęboka bruzda, która powoduje, że twarz wygląda jak z wosku. Niektórzy sądzą, że August poparzył się podczas pożaru – rysy twarzy jakby się rozpuszczały, przypominając spływającą po świecy stearynę. Po kilku operacjach podniebienia zostały blizny wokół ust, najwyraźniej widać nierówną szramę, która ciągnie się od środka górnej wargi do nosa. Górne zęby są drobne i rozsunięte i za bardzo wystają do przodu, żuchwa jest o wiele za mała, a broda mikroskopijna. Gdy August był niemowlakiem, zanim wszczepiono mu w żuchwę kawałek kości z biodra, właściwie w ogóle nie miał brody. Język wychodził mu z ust, bo nie był niczym ograniczony od spodu. Na szczęście teraz jest lepiej. August może przynajmniej jeść – dawniej karmiło się go przez rurkę. No i może mówić. Przestał wystawiać język, po kilku latach nauki, i ślina już nie cieknie mu po szyi. To wszystko wygląda na cud. Gdy się urodził, lekarze uważali, że nie przeżyje.

August również słyszy. Dzieci, które urodziły się z takimi wadami, często mają uszkodzone ucho środkowe i dlatego nie słyszą, natomiast August na razie słyszy całkiem dobrze tymi malutkimi uszkami jak kalafiorki. Lekarze

twierdzą jednak, że z czasem zacznie nosić aparat. August nie chce nawet o tym myśleć, bo jego zdaniem przyciągnie to za dużą uwagę. Nie zamierzam mu mówić, że noszenie aparatu słuchowego będzie najmniejszym z jego kłopotów, bo na pewno to wie.

Z drugiej strony wcale nie jestem pewna, co August wie, a czego nie wie, co rozumie, a czego nie rozumie.

Czy zauważa, jak patrzą na niego inni, czy też doskonale udaje, że tego nie zauważa, i w rezultacie wcale się tym nie przejmuje? A może jednak się przejmuje? Czy patrząc w lustro, widzi tego samego Auggiego, którego widzą tato i mama, czy tego, którego widzą inni? A może widzi jakiegoś innego Augusta, tego ze swoich snów, stojącego za chłopcem o zniekształconej głowie i twarzy? Czasem, gdy spoglądałam na babunię, spod zmarszczek wyłaniała się ślicznotka sprzed lat. Patrzyłam na drepczącą wolno staruszkę, a widziałam dziewczynę z Ipanemy. Czy August widzi siebie takiego, jakim mógłby być, gdyby ten jeden gen nie spowodował tragicznej deformacji twarzy?

Szkoda, że nie mogę go spytać o te rzeczy. Chciałabym się dowiedzieć, co czuje. Przed operacjami łatwiej było się tego domyślić.

Zmrużone oczy oznaczały, że jest zadowolony. Proste usta świadczyły o tym, że chce coś zbroić. Gdy drżały mu policzki, wiadomo było, że zaraz się rozpłacze. Teraz August wygląda lepiej – nie ma żadnej wątpliwości – ale zniknęły oznaki pozwalające nam odgadywać jego nastroje. Oczywiście pojawiły się nowe. Rodzice odczytują wszystkie bezbłędnie. Mnie jednak przychodzi to z trudem, a czasem nie chce mi się wysilać i zżymam się w duchu: dlaczego on po prostu nie mówi o swoich uczuciach jak inni ludzie? Nie ma już w ustach rurki tracheostomijnej, która uniemożliwia mówienie. Nie ma zadrutowanej szczęki. Skończył dziesięć lat. Może posługiwać się słowami. Mimo to krążymy wokół niego jak wtedy, gdy był maluchem. Zmieniamy plany, przyjmujemy wariant B, przerywamy rozmowy, łamiemy obietnice w zależności od jego nastrojów, kaprysów i potrzeb. Dawniej było to zrozumiałe, ale teraz August musi dorosnąć. A my musimy mu na to pozwolić, nakłaniać go i wspierać. Moim zdaniem sytuacja wygląda następująco: za bardzo staramy się przekonać Augusta, że jest normalnym dzieckiem, i w rezultacie on też tak uważa. Problem w tym, że August nie jest normalnym dzieckiem.

# Liceum

Szkoła podstawowa średnia zawsze podobała mi się przede wszystkim dlatego, że była oddzielona od domu i zupełnie inna. Dla uczniów i nauczycieli byłam Olivią Pullman – nie Vią, jak mówi do mnie rodzina. Vią nazywano mnie również od pierwszej do czwartej klasy w szkole podstawowej niższej. Tam wszyscy nas oczywiście dobrze znali. Po lekcjach przychodziła po mnie mama, prowadząc spacerówkę, w której siedział August. Ponieważ trudno było znaleźć wykwalifikowaną opiekunkę, rodzice zabierali go ze sobą na wszystkie przedstawienia szkolne, w których uczestniczyłam, na solowe i grupowe koncerty oraz inne uroczystości szkolne, kiermasze książek czy wypieków domowych. Moi przyjaciele znali Auggiego, ich rodzice też. Znali go nauczyciele. Znał woźny. („Cześć, Auggie, jak leci?”, zawsze mówił i przybijał mu piątkę).

August był swego rodzaju stałym gościem w szkole państwowej numer 22.

Z kolei w szkole podstawowej średniej wiele osób w ogóle nie słyszało o Auguście. Moi starzy przyjaciele wiedzieli o nim, to jasne, ale nowi nie. A raczej nawet jeśli wiedzieli, nie musiała być to pierwsza wiadomość, jaką usłyszeli na mój temat. „Olivia? Tak, fajna dziewczyna. Wiecie, że jej brat ma powykrzywianą twarz?". Nie cierpiałam słowa „powykrzywiany". Wiedziałam jednak, że ludzie mówią tak o Auggiem. I wiedziałam, że prowadzą takie rozmowy, gdy jestem poza zasięgiem ich głosu, wychodzę z pokoju podczas imprezy albo wpadam na grupę znajomych w pizzerii. No i trudno. Na zawsze pozostanę siostrą chłopca z wadą wrodzoną – nie w tym problem. Po prostu nie chcę, żeby ten fakt mnie określał.

W liceum najfajniejsze jest to, że prawie nikt mnie nie zna. Oczywiście z wyjątkiem Mirandy i Elli, ale one nie rozpowiadają o Auguście.

Z Mirandą i Ellą znamy się od pierwszej klasy. Miło jest być z nimi, bo rozumiemy się bez słów. Gdy zażyczyłam sobie, żeby mówiły do mnie Olivia, a nie Via, zgodziły się, nie zadając pytań.

Znają Augusta od małego. W dzieciństwie uwielbiałyśmy bawić się z nim w przebieranki:

zakładałyśmy mu boa z piór, wielkie kapelusze i peruki Hannah Montany. Oczywiście był zachwycony, a my uważałyśmy, że wygląda na swój sposób uroczo. Ella powiedziała, że przypomina jej E.T. Wiadomo, że nie chciała mu dokuczyć (choć może zabrzmiało to trochę złośliwie). Pomysł wziął się stąd, że w jednej ze scen filmu Drew Barrymore zakłada E.T. blond perukę.

W piątej i szóstej klasie stanowiłyśmy paczkę same dla siebie. Mieściłyśmy się w osobnej kategorii, pomiędzy megapopularne a bardzo lubiane: nie wybijałyśmy się w nauce ani w sporcie, nie pochodziłyśmy z bogatych domów, nie ćpałyśmy, nie byłyśmy wredne, aniołkowate, cycate ani płaskie jak deska. Nie wiem, czy trzymałyśmy się razem, ponieważ pod wieloma względami byłyśmy do siebie bardzo podobne, czy też upodobniłyśmy się do siebie pod wieloma względami, ponieważ trzymałyśmy się razem. Byłyśmy przeszczęśliwe, gdy przyjęto nas do liceum Faulknera. Właściwie nie liczyłyśmy, że trafimy tam wszystkie trzy, a na dodatek okazało się, że nie przyjęto prawie nikogo więcej z naszej podstawówki. Pamiętam, jak piszczałyśmy w słuchawki telefonów, gdy przyszły zawiadomienia.

Dlatego nie mogę zrozumieć, co się z nami dzieje od pewnego czasu, od początku liceum. Nie tak to sobie wyobrażałam.

# Major Tom

Z naszej trójki to Miranda odnosiła się do Augusta najserdeczniej: obejmowała go i bawiła się z nim długo po tym, jak mnie i Ellę zaczęły interesować inne zabawy. Nawet gdy podrosłyśmy, zawsze starała się włączać Augusta do naszych rozmów, pytała go, co robi, rozmawiała z nim o *Awatarze*, *Gwiezdnych wojnach* albo o czymś, co na pewno lubił. To ona dała mu hełm kosmonauty, który nosił w zasadzie codziennie przez cały piąty rok życia. Nazywała Auggiego majorem Tomem i razem z nim śpiewała *Kosmiczną osobliwość* Davida Bowiego. Odstawiali takie małe przedstawienie. Znali na pamięć całą piosenkę, puszczali ją na cały regulator z iPoda i śpiewali głośno do wtóru.

Ponieważ Miranda zawsze dzwoniła do nas zaraz po powrocie z obozu letniego, byłam trochę zdziwiona, że się nie odezwała. Gdy wysłałam jej SMS-a i nie dostałam odpowiedzi, przyszło mi na

myśl, że skoro pojechała tam jako pomoc wychowawcy, być może musiała zostać dłużej. Albo poznała jakiegoś fajnego chłopaka.

Potem zajrzałam na jej tablicę na Facebooku i okazało się, że Miranda jest w domu już całe dwa tygodnie. Postanowiłam zagadnąć ją na czacie. Odpowiedziała na moją wiadomość, trochę pogadałyśmy, ale nie wyjaśniła powodu swojego milczenia. Przedziwne – pomyślałam, choć z drugiej strony Miranda zawsze była lekko odleciana, więc uznałam, że to dlatego. Umówiłyśmy się następnego dnia w centrum, ale musiałam odwołać spotkanie, bo okazało się, że jedziemy na weekend do babci i dziadka.

Koniec końców zobaczyłam się z Mirandą i Ellą dopiero na rozpoczęciu roku szkolnego. Przyznam, że byłam zszokowana. Takiej Mirandy jeszcze nigdy nie widziałam: miała fantastyczną fryzurę na pazia, włosy ufarbowane na kolor jaskraworóżowy – coś podobnego! – i do tego pasiasty obcisły top bez ramiączek, który (a) w ogóle nie nadawał się do szkoły i (b) kompletnie odstawał od tego, co zwykle nosiła. Miranda zawsze ubierała się skromnie, a tu raptem zjawia się z różowymi włosami i w obcisłym topie. Zmienił się nie tylko jej wygląd, lecz również zachowanie. Nie powiem,

że stała się niemiła – odnosiła się do mnie miło, ale z rezerwą, jak do zwykłej koleżanki. To było przedziwne.

W przerwie na lunch usiadłyśmy przy jednym stoliku w stołówce, jak dotychczas, ale zmienił się układ sił w naszej paczce. Byłam przekonana, że w wakacje Ella i Miranda spotkały się kilka razy we dwie, choć nie napomknęły o tym słowem. Rozmawiałam z nimi, udając, że wcale się nie przejmuję, czułam jednak, że mam rozpalone policzki i sztuczny uśmiech. Ella nie posunęła się tak daleko jak Miranda, ale też zmieniła styl. Najwyraźniej wraz z pójściem do nowej szkoły zaplanowały odnowę własnego wizerunku, tyle że nie raczyły mnie o tym poinformować. Szczerze mówiąc, zawsze sądziłam, że potrafię wznieść się ponad tego rodzaju małostkowość typową dla nastolatków, mimo to coś mnie ściskało w gardle przez cały lunch. Gdy rozległ się dzwonek, drżącym głosem powiedziałam dziewczynom: „Na razie!” i poszłam do klasy.

# Po szkole

– Zdaje się, że mamy cię odwieźć dzisiaj po szkole – usłyszałam na ósmej lekcji głos Mirandy, która usiadła w ławce tuż za mną.

Zupełnie zapomniałam, że poprzedniego wieczoru moja mama zadzwoniła do jej mamy z prośbą, żeby odwiozła mnie do domu.

– Nie trzeba – odparłam odruchowo, obojętnym tonem. – Mama po mnie przyjedzie.

– Wydawało mi się, że musi zabrać skądś Auggiego albo coś w tym rodzaju.

– Okazało się, że potem może przyjechać po mnie. Właśnie przysłała mi SMS-a. Wszystko w porządku.

– Aha, to dobrze.

– Dzięki.

Wolałam skłamać, niż jechać samochodem z odmienioną Mirandą. Po lekcjach schowałam się w łazience, żeby nie wpaść na jej mamę, która czekała przed szkołą. Pół godziny później

wyszłam z budynku, pobiegłam ulicą do trzeciej przecznicy, gdzie był przystanek autobusu M86, wysiadłam przy alei Central Park West i stamtąd dojechałam metrem do domu.

– Cześć, kochanie! – zawołała mama, gdy stanęłam na progu. – Jak minął pierwszy dzień w szkole? Już się zastanawiałam, gdzie przepadłyście.

– Poszłyśmy na pizzę. – Nie do wiary, jak łatwo kłamstwo wymyka się z ust.

– Miranda nie przyszła z tobą? – zdziwiła się mama, nie widząc jej za moimi plecami.

– Pojechała prosto do domu. Dużo nam zadali.

– Pierwszego dnia?

– Tak, pierwszego dnia! – krzyknęłam, wprawiając mamę w zdumienie. Zanim zdążyła zareagować, mówiłam dalej: – W szkole było nieźle. Nie spodziewałam się, że jest taka duża. Wszyscy robią dobre wrażenie. – Chciałam zarzucić ją informacjami, żeby nie odczuwała potrzeby dalej mnie wypytywać. – A jak się czuje Auggie po pierwszym dniu?

Mama milczała, patrząc na mnie z uniesionymi brwiami, wciąż zaskoczona, że warknęłam na nią chwilę przedtem.

– W porządku – odrzekła wolno, jakby wypuszczała powietrze.

– To znaczy jak? – zapytałam. – Dobrze czy źle?

– Mówi, że dobrze.

– No to dlaczego uważasz, że nie za bardzo?

– Wcale tego nie powiedziałam! O rany, Via, co cię ugryzło?

– Zapomnij, że o cokolwiek pytałam. – A potem wpadłam jak burza do pokoju Augusta i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Był tak zajęty grą na PlayStation, że nawet nie uniósł głowy. Nie znoszę, gdy gry wideo robią z niego zombie.

– Jak było w szkole? – zapytałam, odsuwając Daisy, żeby usiąść na łóżku obok Augusta.

– Dobrze – mruknął, wciąż nie odrywając wzroku od ekranu.

– Auggie, mówię do ciebie! – Wyrwałam mu konsolę z rąk.

– Przestań! – zawołał ze złością.

– Jak było w szkole?

– Przecież powiedziałem, że dobrze! – odwrzasnął, odbierając mi konsolę.

– Wszyscy traktowali cię miło?

– Tak!

– Nikt ci nie dokuczał?

Odstawił konsolę i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym zadała najgłupsze pytanie na

świecie.

– Dlaczego ktokolwiek miałby mi dokuczać? – zapytał.

Pierwszy raz w życiu mówił coś z drwiną w głosie. Nie myślałam, że stać go na taki ton.

# Padawan idzie w odstawkę

Nie wiem, kiedy tamtego wieczoru Auggie obciął sobie warkoczyk padawana ani dlaczego tak mnie to rozzłościło. Zawsze uważałam, że jego obsesja na punkcie wszystkiego, co ma związek z *Gwiezdnymi wojnami*, jest maniakalna, a warkoczyk z koralikami z tyłu głowy – po prostu okropny. August jednak się nim szczycił, z dumą opowiadając, ile czasu zapuszczał włosy i jak sam wybierał koraliki w sklepie rzemiosła artystycznego w SoHo na Manhattanie. Gdy był ze swoim najlepszym przyjacielem, Christopherem, ciągle bawili się mieczami świetlnymi i innymi gadżetami z *Gwiezdnych wojen*. Obaj w tym samym czasie zapuścili warkoczyki. Tamtego wieczoru, kiedy August ściął warkoczyk bez słowa wyjaśnienia, nie uprzedzając mnie (co było zaskakujące) – nawet nie dzwoniąc wcześniej do Christophera –

ogarnęło mnie przygnębienie, którego w ogóle nie potrafiłam zrozumieć.

Widziałam, jak czesze się przed lustrem w łazience. Zawsze robi to bardzo starannie: każdy włos musi być na swoim miejscu. Przechyla głowę i przygląda się sobie ze wszystkich stron, jakby lustro miało jakąś magiczną głębię, która może zmienić wielkość jego twarzy.

Po kolacji zapukała do mojego pokoju mama. Widząc jej zmęczoną twarz, zorientowałam się, że krążąc między mną a Auggiem, ona też miała ciężki dzień.

– Powiesz mi, co się dzieje? – zapytała miłym, łagodnym tonem.

– Nie teraz, dobrze?

Czytałam książkę. Byłam zmęczona. Opowiadanie o Mirandzie przekraczało moje możliwości. Pomyślałam, że może później znajdę w sobie siły.

– Zajrzę do ciebie, nim zaśniesz. – Pochyliła się, całując mnie w czubek głowy.

– Czy Daisy może spać dzisiaj ze mną?

– Naturalnie. Przyprowadzę ją tutaj później.

– Nie zapomnij przyjść – poprosiłam, gdy już była w drzwiach.

– Obiecuję.

Tak się jednak nie stało. Przyszedł tato. Wyjaśnił, że pierwszy dzień w szkole był dla Auggiego ciężki i mama stara się mu pomóc. Zapytał, jak minął mi dzień. Powiedziałam, że dobrze, ale on oświadczył, że ani trochę mi nie wierzy. Więc wybąkałam, że Miranda i Ella zachowują się tak, jakby im odbiło. (O swojej samodzielnej podróży metrem do domu nie wspomniałam). Tato stwierdził, że lata spędzone w liceum są dla przyjaźni szczególną próbą, a potem zaczął nabijać się z tego, że akurat czytam *Wojnę i pokój*. Z pewnością nie żartował ze mnie na poważnie, bo sama słyszałam, jak chwalił się przed znajomymi, że ma w domu „piętnastolatkę, która czyta Tołstoja". Spytał ze śmiechem, w którym jestem miejscu: czy jeszcze trwa pokój, czy już zaczęła się wojna i czy wspomina się tam o latach, gdy Napoleon występował jako tancerz hip-hopowy. To były wygłupy, ale tato zawsze potrafi wszystkich rozśmieszyć. Czasem to wystarczy, by poczuć się lepiej.

– Nie wściekaj się na mamę – powiedział, całując mnie na dobranoc. – Wiesz, jak martwi się o Auggiego.

– Wiem.

– Zostawić ci światło czy zgasić? Robi się późno – dodał, przystając przy wyłączniku koło drzwi.

– Mógłbyś najpierw przynieść Daisy?

Chwilę później wszedł z psem na rękach i położył go przy mnie na łóżku.

– Dobranoc, kochanie. – Pocałował najpierw mnie w czoło, potem Daisy w łepek. – Dobranoc, piesku. Śpijcie dobrze.

# Zjawa w drzwiach

Pewnego razu obudziłam się w środku nocy, bo chciało mi się pić, i zobaczyłam mamę pod drzwiami pokoju Auggiego. Z ręką na klamce opierała się czołem o uchylone drzwi. Nie zamierzała wejść do środka ani nie wyszła właśnie z pokoju – po prostu stała przy drzwiach, jakby słuchając oddechu śpiącego dziecka. Światło na korytarzu się nie paliło. Na mamę padał tylko niebieski blask lampki nocnej w sypialni Augusta. Wyglądała jak duch. A może powinnam powiedzieć, że jak anioł. Chciałam po cichutku wrócić do siebie, ale usłyszała moje kroki i podeszła do mnie.

– Z Auggiem wszystko dobrze? – spytałam.

August czasem budził się w nocy, gdy mimo woli przewrócił się na plecy i zaczynał się dławić śliną.

– Tak, w porządku – powiedziała mama.

Objęła mnie ramieniem, odprowadziła do sypialni, przykryła kocem i pocałowała na dobranoc. Nigdy mi nie wyjaśniła, dlaczego stała pod pokojem Augusta, a ja nie pytałam.

Zastanawiam się, jak często nasłuchiwała pod tymi drzwiami i czy kiedykolwiek nasłuchiwała pod moimi.

# Śniadanie

– Odbierzesz mnie dzisiaj ze szkoły? – zapytałam następnego ranka, smarując bajgiel serkiem śmietankowym.

Mama robiła Augustowi kanapki do szkoły (razowy chleb, na tyle miękki, żeby łatwo mu się jadło, z łagodnym żółtym serem). August siedział przy stole i jadł owsiankę. Tato szykował się do pracy. Gdy zaczęłam chodzić do liceum, zmieniły się domowe zwyczaje. Rano jechałam teraz z tatą metrem, co oznaczało, że musiał wyjść z domu piętnaście minut wcześniej niż do tej pory, potem ja wysiadałam na swoim przystanku, a tato jechał dalej. Po południu mama przyjeżdżała samochodem i zabierała mnie do domu.

– Właśnie miałam dzwonić do mamy Mirandy i prosić ją, żeby znowu odwiozła cię do domu – powiedziała mama.

– Nie, nie! – zaprotestowałam szybko. – Ty po mnie przyjedź. Albo wrócę metrem.

– Wolę, żebyś jeszcze nie jeździła sama, przecież wiesz – odparła mama.

– Ale mamo, mam piętnaście lat! Wszyscy w moim wieku jeżdżą metrem sami!

– Niech wróci metrem – odezwał się tato z sąsiedniego pokoju, po czym wszedł do kuchni, poprawiając krawat.

– Dlaczego nie może jej znowu odebrać matka Mirandy? – Mama się nie poddawała.

– Via jest w takim wieku, że da sobie radę – odrzekł stanowczo tato.

Mama przyjrzała się nam obojgu.

– Czy coś się dzieje? – zapytała, nie zwracając się wyraźnie do żadnego z nas.

– Trzeba było przyjść do mnie jeszcze raz, tobyś wiedziała – zauważyłam złośliwie. – Obiecałaś.

– O Boże… – Mama przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru wystawiła mnie do wiatru. Odłożyła nóż, którym kroiła na pół winogrona dla Auggiego (z powodu niedorozwoju podniebienia mógłby się udławić za dużymi kawałkami). – Bardzo cię przepraszam. Zasnęłam, leżąc przy Auggiem. Gdy się obudziłam…

– Wiem, wiem. – Pokiwałam obojętnie głową.

Mama podeszła do mnie, przyłożyła dłonie do moich policzków i zmusiła mnie, żebym na nią spojrzała.

– Naprawdę bardzo mi przykro – szepnęła.

Czułam, że mówi szczerze.

– Nic się nie stało.

– Via…

– Wszystko w porządku, mamo. – Teraz ja powiedziałam to szczerze.

Mama patrzyła na mnie z taką skruchą, że chciałam darować jej jak najszybciej. Pocałowała mnie, przytuliła i znów zabrała się do krojenia winogron.

– Chodzi o Mirandę? – spytała.

– Zachowuje się jak kretynka! – burknęłam.

– Ona nie jest kretynką! – włączył się natychmiast Auggie.

– Czasem jest! – wrzasnęłam. – Możesz mi wierzyć.

– No dobrze, przyjadę po ciebie. To żaden kłopot – oznajmiła zdecydowanym tonem mama, zgarniając nożem połówki winogron do torebki plastikowej. – W końcu tak to ustaliliśmy na samym początku. Najpierw pojadę samochodem po Auggiego, potem po ciebie. Będziemy na miejscu może za piętnaście czwarta…

– Nie! – odparłam stanowczo, zanim dokończyła zdanie.

– Ależ Isabel, niech ona wraca metrem! – Tato się zirytował. – Jest dużą dziewczyną. Na litość boską, ona już czyta *Wojnę i pokój*.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego *Wojna i pokój*? – Mama była wyraźnie rozdrażniona.

– To znaczy, że nie musisz odbierać jej ze szkoły jak małej dziewczynki – oświadczył ostrym tonem tato. – Jesteś gotowa, Vio? Bierz swoje rzeczy i idziemy.

– Możemy iść – powiedziałam. – Cześć, mamo! Cześć, Auggie!

Cmoknęłam ich oboje i ruszyłam w stronę drzwi.

– Czy ty w ogóle masz kartę komunikacji miejskiej? – rzuciła za mną mama.

– Oczywiście, że ma! – krzyknął tato, tracąc cierpliwość. – Do licha, mamuśka! Przestań się zamartwiać! Pa. – Pożegnał ją całusem w policzek. – Cześć, chłopie – zwrócił się do Auggiego, cmokając go w czubek głowy. – Jestem z ciebie dumny. Dobrego dnia!

– Cześć, tato! Tobie też.

Zbiegliśmy z tatą ze schodków przed domem i szybko ruszyliśmy ulicą.

– Zadzwoń do mnie po lekcjach, zanim wsiądziesz do metra! – zawołała mama, wychylając się przez okno.

Nawet się nie odwróciłam, tylko pomachałam ręką na znak, że usłyszałam. Natomiast tato się odwrócił i zrobił parę kroków.

– *Wojna i pokój*, Isabel! – odkrzyknął, z uśmiechem wskazując na mnie. – *Wojna i pokój*!

# Kwestie genetyczne

Przodkowie taty po obu stronach byli Żydami, pochodzili z Rosji i z Polski. Dziadkowie dziadka uciekli przed pogromami i wylądowali w Nowym Jorku na przełomie wieków. Rodzice babci uciekli przed hitlerowcami i wylądowali w Argentynie w latach czterdziestych. Dziadek poznał babcię na tańcach w Lower East Side, gdy przyjechała do miasta, żeby odwiedzić kuzynkę. Wzięli ślub, przeprowadzili się do Bayside, a potem urodzili im się mój tato i wujek Ben.

Przodkowie mamy pochodzą z Brazylii. Oprócz jej mamy, czyli mojej pięknej babuni, i jej taty, który miał na imię Agosto i umarł przed moim narodzeniem, pozostali krewni – wszystkie wytworne ciocie, wujkowie i kuzyni – wciąż mieszkają w Alto Leblon, na eleganckim południowym przedmieściu Rio de Janeiro. Babunia przeprowadziła się z Agostem do Bostonu na początku lat sześćdziesiątych. Tam

urodziła im się moja mama i ciocia Kate, która wyszła za mąż za wujka Portera.

Mama i tato poznali się na Uniwersytecie Browna w Nowym Jorku i od tego czasu są razem. Isabel i Nate, podobni do siebie jak dwie krople wody. Po studiach zamieszkali w Nowym Jorku, kilka lat później urodziłam się ja, a potem, gdy miałam około roku, przenieśliśmy się do ceglanego szeregowca w North River Heights, artystyczno-spacerowej okolicy, w dobrej części dobrej dzielnicy, jaką jest Górny Manhattan.

Nikt w naszej rodzinie o egzotycznej mieszance genów nie ma żadnych objawów zaburzenia, jakie wystąpiło u Augusta. Ślęczałam nad ziarnistymi sepiowymi fotografiami nieżyjących od dawna krewniaczek w chustkach na głowach, nad czarno-białymi fotkami dalekich kuzynów w jasnych płóciennych garniturach, żołnierzy w mundurach i pań z wytapirowanymi włosami, nad polaroidami przedstawiającymi nastolatków w spodniach dzwonach i długowłosych hipisów – i u nikogo nie odkryłam choćby śladu podobieństwa do twarzy Augusta. U ani jednej osoby. Ale po narodzinach Augusta moi rodzice postanowili skorzystać z poradnictwa genetycznego. Powiedziano im, że August cierpi na „nieznany wcześniej typ

dyzostozy żuchwowo-twarzowej, wywołanej przez autosomalną mutację recesywną w genie TCOF1 zlokalizowanym na chromosomie piątym, z towarzyszącym połowiczym niedorozwojem twarzy, charakterystycznym dla zespołu Goldenhara". Czasem takie mutacje występują podczas ciąży. Czasem są dziedziczone po jednym z rodziców, który nosi gen dominujący. Czasem powstają w wyniku interakcji wielu genów, być może również pod wpływem czynników zewnętrznych. Wówczas mówi się o dziedziczeniu wieloczynnikowym.
W przypadku Augusta lekarzom udało się zidentyfikować jedną z mutacji polegającą na delecji pary nukleotydów, co rozpętało zawieruchę na jego twarzy. Niesamowite jest to – choć nikt by nie przypuszczał, patrząc na moich rodziców – że oboje noszą ten zmutowany gen.

Ja też go noszę.

# Szachownica Punnetta

Gdybym miała dzieci, jest jedna możliwość na dwie, że przekażę im ten wadliwy gen. Nie znaczy to, że będą wyglądały jak August, ale będą nosiły gen, którego August otrzymał podwójną dawkę i z powodu którego wygląda tak, jak wygląda. Gdybym wyszła za mąż za człowieka, u którego ten gen też jest wadliwy, jest jedna możliwość na dwie, że nasze dzieci będą nosiły ten gen i wyglądały zupełnie normalnie, jedna możliwość na cztery, że w ogóle nie będą nosiły tego genu, i jedna możliwość na cztery, że będą wyglądały jak August.

Gdyby August miał dzieci z kobietą, która w ogóle nie ma tego genu, jest stuprocentowe prawdopodobieństwo, że odziedziczą ten gen, i zerowe prawdopodobieństwo, że otrzymają podwójną dawkę, jak to było w wypadku Augusta. Czyli tak czy owak będą nosiły ten gen, lecz mogą wyglądać zupełnie normalnie. Gdyby

miał dzieci z kobietą, która nosi ten gen, będą miały takie same szanse jak moje dzieci.

Tak można wyjaśnić w przypadku Augusta tylko to, co daje się wyjaśnić. W jego budowie genetycznej jest jeszcze coś, co jest wynikiem nie dziedziczenia, lecz niewiarygodnego pecha.

Przez te lata mnóstwo lekarzy rysowało moim rodzicom siatki jak w grze w kółko i krzyżyk, starając się im wyjaśnić loterię genetyczną. Genetycy posługują się szachownicą Punnetta, żeby określić zespół cech dziedziczonych, geny recesywne i dominujące, prawdopodobieństwo i możliwość. Choć wiedzą dużo, jeszcze więcej pozostaje niewiadome. Starają się przewidzieć procent prawdopodobieństwa, lecz nie potrafią go zagwarantować. Posługują się określeniami „mozaikowość gonadalna", „rearanżacje chromosomowe" czy „mutacja nabyta", żeby wyjaśnić, dlaczego genetyka nie zalicza się do nauk ścisłych. Właściwie to lubię słuchać, jak mówią lekarze. Podoba mi się brzmienie nauki. Podoba mi się to, że słowami, których się nie rozumie, można wyjaśnić rzeczy, których nie można zrozumieć. Pod określeniami „mozaikowość gonadalna", „rearanżacje chromosomowe" czy „mutacja nabyta" kryją się

niezliczone dzieci. Niezliczone dzieci, które się nie narodzą, jak moje.

# Koniec z tym, co było

Miranda i Ella odleciały. Przyłączyły się do paczki, której przeznaczone było okryć się chwałą licealną. Po tygodniu przykrych spotkań w przerwach na lunch, kiedy rozmawiały wyłącznie o ludziach dla mnie nieciekawych, postanowiłam skończyć z tym raz na zawsze. Dziewczyny nie zadawały pytań. Ja nie opowiadałam kłamstw. Po prostu poszłyśmy w różne strony.

Przez jakiś czas nawet mi to nie przeszkadzało. Cały tydzień nie chodziłam jednak na lunch, żeby zmiana w naszych stosunkach przebiegła łagodnie i żeby uniknąć fałszywego: „A niech to, zabrakło dla ciebie miejsca przy stoliku, Olivia!”. Najprościej było pójść do biblioteki i poczytać.

Skończyłam *Wojnę i pokój* w październiku. Cudowna książka. Podobno jest bardzo trudna, ale tak naprawdę to opera mydlana z mnóstwem

postaci, z bohaterami, którzy pałają miłością, walczą w imię miłości i umierają w imię miłości. Chciałabym tak się kiedyś zakochać. Chciałabym, żeby mój mąż kochał mnie tak bardzo, jak książę Andrzej kochał Nataszę.

Po tym wszystkim zaczęłam trzymać się razem z Eleanor. Przez pierwsze cztery lata uczyłyśmy się w tej samej podstawówce, a potem poszłyśmy do piątej klasy w różnych szkołach. Eleanor zawsze była bardzo bystra – dawniej trochę mazgajowata, ale sympatyczna. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest taka zabawna (nie słodka chichotka, ale dziewczyna z ciętym dowcipem), ona z kolei nie wiedziała, ile we mnie radości. Chyba sądziła, że jestem bardzo poważna. Okazało się, że nie lubi Mirandy i Elli, bo jej zdaniem zadzierają nosa.

Dzięki Eleanor siadałam przy stoliku bystrzaków podczas lunchu. Ta paczka była większa niż moja poprzednia i bardziej zróżnicowana. Należeli do niej chłopak Eleanor, Kevin, który kiedyś na pewno zostanie gospodarzem klasy, kilku entuzjastów techniki, dziewczyny typu Eleanor, które redagowały księgę klasową i spotykały się w klubie dyskusyjnym, oraz cichy chłopak o imieniu

Justin, który nosił małe okrągłe okulary i grał na skrzypcach, i od razu wpadł mi w oko.

Gdy napotykam Mirandę i Ellę, które obracają się teraz w kręgu szkolnych idoli, mówimy: „Cześć”, „Siema” i idziemy dalej. Czasem Miranda pyta mnie o Augusta i prosi, żeby go pozdrowić. Nie przekazuję pozdrowień – nie ze złośliwości, ale dlatego, że August ostatnio żyje w swoim świecie. Bywają w domu takie dni, gdy nasze drogi się nie przecinają.

# 31 października

Babunia umarła w wieczór przed Halloween. Od tamtej pory, a minęły już cztery lata, zawsze jest mi smutno tego dnia. Mamie też, choć często o tym nie mówi. Woli zająć się szyciem kostiumu dla Augusta, bo przecież wiadomo, że jest to jego ulubione święto.

W tym roku też tak było. August bardzo chciał przebrać się za postać z *Gwiezdnych wojen*, Bobę Fetta, więc mama zaczęła szukać tego kostiumu w odpowiednim rozmiarze, ale ku jej zaskoczeniu wyprzedano cały zapas. Sprawdziła we wszystkich sklepach internetowych, znalazła kilka ofert na eBayu, po wyśrubowanych cenach, w końcu kupiła kostium Janga Fetta i przerobiła na kostium Boby, przemalowując na zielono. W sumie, jak sądzę, poświęciła ze dwa tygodnie na to idiotyczne przebranie. Mnie nigdy nie zrobiła kostiumu, ale o tym nie wspomnę – gdzieżby! – bo to w gruncie rzeczy bez znaczenia.

Kiedy obudziłam się rano w Halloween, na myśl o babuni ogarnął mnie smutek i zakręciły mi się w oczach łzy. Tato ciągle mnie poganiał, kazał mi szybko się ubrać i wyszykować do szkoły, co zestresowało mnie jeszcze bardziej, i w końcu ni stąd, ni zowąd się rozryczałam. Chciałam po prostu zostać w domu.

Wobec tego tato odprowadził do szkoły Augusta, a mama pozwoliła mi nie iść do szkoły. Usiadła przy mnie i razem popłakałyśmy sobie. Jednego jestem pewna: choć bardzo tęsknię za babunią, mamie brak jej jeszcze bardziej. Po każdej operacji, gdy August walczył o życie, po każdym wożeniu go na ostry dyżur babunia zawsze była przy niej i ją wspierała. Wypłakanie się razem z mamą dobrze mi zrobiło. Jej też. W pewnej chwili mama zaproponowała, żebyśmy obejrzały *Ducha i panią Muir*, jeden z naszych ulubionych czarno-białych filmów. Pomysł był świetny. Pewnie wykorzystałabym to wspólne opłakiwanie, żeby opowiedzieć mamie o wszystkim, co się działo w szkole z Mirandą i Ellą. Już siadałyśmy przed odtwarzaczem DVD, gdy zadzwonił telefon. Pielęgniarka z podstawówki zawiadomiła mamę, że trzeba zabrać Augusta do domu, bo go rozbolał brzuch.

No i tak skończyło się oglądanie starych filmów i zacieśnianie więzi między matką a córką.

Gdy mama przyjechała z Augustem do domu, poszedł prosto do łazienki i zwymiotował. Potem położył się do łóżka, zakrywając głowę pościelą. Mama zmierzyła mu gorączkę, przyniosła gorącą herbatę i znów weszła w rolę „mamusi Augusta". „Mamusia Vii" pojawiła się na krótki czas i zniknęła. Zrozumiałe: August był w kiepskiej formie.

Nikt z nas nie zapytał, dlaczego poszedł do szkoły przebrany za ducha Krwawy Krzyk, a nie za Bobę Fetta. Nawet jeśli mama zezłościła się, widząc rzucony na podłogę i nienoszony kostium, który kosztował ją dwa tygodnie pracy, w ogóle tego nie okazała.

# Cukierek albo psikus

August powiedział, że nie czuje się na tyle dobrze, żeby późnym popołudniem chodzić po domach i zbierać słodycze. Było mi go szkoda, bo wiedziałam, że uwielbia zabawę „cukierek albo psikus”, zwłaszcza o zmroku. Choć dawno temu wyrosłam z takich rozrywek, zwykle wkładam maskę albo jakiś strój i wędruję z Augustem ulicami, patrząc, jak zachwycony i podekscytowany puka do drzwi. Wiedziałam, że tylko w ten jeden wieczór w roku może być naprawdę taki jak każde inne dziecko. Nikt się nie domyśla, że pod maską kryje się odmieniec. Dla Augusta jest to bez wątpienia fantastyczne przeżycie.

O siódmej wieczorem zapukałam do jego pokoju.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć.

Nie grał na PlayStation ani nie czytał komiksu, tylko leżał na łóżku, patrząc w sufit. Daisy ułożyła się jak zwykle przy nim, z łepkiem na jego nogach. Zmięty kostium Krwawego Krzyku walał się po podłodze, razem z kostiumem Boby Fetta.

– Jak brzuch? – zapytałam, siadając na łóżku.

– Wciąż mam mdłości.

– Na pewno nie masz ochoty iść na paradę?

– Absolutnie.

Zaskoczył mnie. Zazwyczaj bardzo dzielnie znosił wszystkie dolegliwości – parę dni po operacji chciał jeździć na deskorolce albo jeść przez słomkę, choć miał kompletnie zadrutowaną szczękę. Ten dzieciak dostał więcej zastrzyków, połknął więcej tabletek, zniósł więcej zabiegów przez dotychczasowe dziesięć lat swojego życia, niż spotkałoby to większość ludzi przez dziesięć żywotów, a teraz zniechęca się byle mdłościami?

– Chcesz mi powiedzieć, co się stało? – zapytałam trochę tak jak nasza mama.

– Nie.

– Chodzi o szkołę?

– Tak.

– Nauczycieli? Lekcje? Kolegów?

Milczał.

– Ktoś coś powiedział?

– Ludzie ciągle coś mówią – oświadczył z goryczą.

Czułam, że zaraz się rozpłacze.

– Opowiedz, co się wydarzyło.

No i opowiedział. Podsłuchał, jak kilku chłopców mówi o nim straszne złośliwości. Docinkami pozostałych chłopców się nie przejął, bo mógł się ich spodziewać, ale zabolało go to, że w tej grupie był jego „najlepszy przyjaciel” Jack Will. Pamiętałam, że parę razy wspomniał o Jacku w ostatnich paru miesiącach. Pamiętałam też, że rodzice uważali go za naprawdę miłego chłopaka i cieszyli się, że August już ma takiego przyjaciela.

– Małolaty są czasem głupie – mruknęłam, biorąc go za rękę. – Jestem pewna, że nie chciał tego powiedzieć.

– Ale powiedział. Cały czas udawał, że jest moim przyjacielem. Tushman prawdopodobnie przekupił go dobrymi stopniami albo coś w tym rodzaju. Założę się, że wyglądało to tak: „Słuchaj, Jack, jeżeli zaprzyjaźnisz się z tym dziwolągiem, nie będziesz musiał pisać w tym roku sprawdzianów”.

– Wiesz, że tak nie było. I nie mów o sobie „dziwoląg”.

– Wszystko jedno. Żałuję, że w ogóle poszedłem do tej szkoły.

– Myślałam, że ci się podoba.

– Nienawidzę jej! – Nagle zezłościł się i zaczął walić pięścią w poduszkę. – Nienawidzę! Nienawidzę! – wydzierał się na cały głos.

Milczałam. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. August był urażony. I wściekły.

Pozwoliłam mu pienić się jeszcze przez kilka minut. Daisy zaczęła zlizywać mu łzy z twarzy.

– No już, Auggie. – Poklepałam go lekko po plecach. – Może byś włożył kostium Janga Fetta i…

– To jest kostium Boby Fetta! Dlaczego wszyscy je mylą?

– W porządku, włóż kostium Boby Fetta – powtórzyłam, starając się mówić spokojnie, i objęłam Augusta ramieniem – i chodźmy na paradę, dobrze?

– Jeżeli pójdę na paradę, mama pomyśli, że czuję się lepiej, i każe mi iść jutro do szkoły.

– Mama nigdy nie każe ci iść do szkoły – odparłam. – No, rusz się. Tam będzie fajnie, obiecuję. Dam ci wszystkie swoje cukierki.

Przestał się opierać. Wstał z łóżka i zaczął powoli wkładać kostium Boby Fetta. Pomogłam mu uporać się z zapięciami i paskiem w talii. Gdy

wkładał hełm, czułam, że poprawił mu się humor.

# Trzeba to przemyśleć

Następnego dnia August jeszcze bardziej narzekał na ból brzucha, byleby nie iść do szkoły. Muszę przyznać, że czułam się nie w porządku wobec mamy, która naprawdę się martwiła, że August ma grypę żołądkową, ale obiecałam mu, że nie powiem jej o zdarzeniu w szkole.

W niedzielę August wciąż obstawał przy swoim.

– Jak to wytłumaczysz mamie i tacie? – zapytałam, dowiedziawszy się o jego zamiarach.

– Mówili, że mogę rzucić szkołę, gdy zechcę. – Rozmawiał ze mną, nadal czytając z uwagą komiks.

– Ale ty nie jesteś dzieckiem, które łatwo rezygnuje – podkreśliłam zgodnie z prawdą. – To nie w twoim stylu.

– Teraz rezygnuję.

– Będziesz musiał podać rodzicom jakiś powód – zauważyłam, wyrywając mu z ręki

pisemko i zmuszając go, żeby patrzył na mnie podczas rozmowy. – Potem mama zadzwoni do szkoły i wszyscy się o tym dowiedzą.

– Jack będzie miał kłopoty?

– Pewnie tak.

– No i dobrze.

Muszę przyznać, że August zaskakiwał mnie coraz bardziej. Wziął z półki inny komiks i zaczął go kartkować.

– Auggie, czy ty naprawdę chcesz pozwolić na to, żeby paru kretynów powstrzymało cię przed powrotem do szkoły? Wiem, że ci się tam podobało. Nie pozwól im sterować tobą. Nie daj im satysfakcji.

– Oni nie mają pojęcia, że ich słyszałem – mruknął.

– Tak, ale…

– Wszystko w porządku, Via. Wiem, co robię. Już zdecydowałem.

– Ale to bez sensu, Auggie! – oświadczyłam z przekonaniem, wyrywając mu następny komiks. – Musisz wrócić do szkoły. Każdy czasami jej nienawidzi. Ja też. Zdarza się, że nienawidzę swoich koleżanek. Takie jest życie, Auggie. Chcesz, żeby traktowano cię normalnie, tak? Właśnie to jest normalne! Wszyscy musimy

chodzić do szkoły, nawet jak mamy złe dni. Rozumiesz?

– Czy ludzie starają się ciebie nie dotykać, Via? – odpowiedział pytaniem, które na chwilę mnie zatkało. – No właśnie, tak myślałem. Więc nie porównuj swoich złych dni w szkole z moimi, dobrze?

– Masz rację. Ale przecież nie rywalizujemy, kto ma bardziej pod górkę. Chodzi o to, że wszyscy musimy przetrzymać złe dni. Jeżeli nie chcesz, żeby do końca życia traktowano cię jak malucha albo dziecko specjalnej troski, musisz teraz wziąć się w garść i iść do szkoły.

Nie odezwał się, ale chyba wreszcie zaczynało coś do niego docierać.

– Nie musisz nic mówić tym chłopakom – ciągnęłam. – W gruncie rzeczy to ekstra, że ty wiesz, co oni powiedzieli, natomiast oni nie wiedzą, że ty to wiesz. Prawda?

– A co mi tam…

– Rozumiesz, o co mi chodzi. Możesz się nigdy więcej do nich nie odzywać, jeżeli tego chcesz. A oni nie będą wiedzieli dlaczego. Jasne? Albo możesz udawać, że się z nimi przyjaźnisz, a w duszy będziesz wiedział, że tak nie jest.

– Tak zachowujesz się wobec Mirandy? – zapytał.

– Nie – odparłam szybko i czujnie. – Nigdy niczego wobec niej nie udawałam.

– To dlaczego mówisz, że ja mam to robić?

– Nie mówię, że masz! Chciałam powiedzieć, że nie powinieneś pozwolić, żeby te palanty cię zraniły, i tyle.

– Tak jak ciebie zraniła Miranda?

– Dlaczego ciągle wspominasz o Mirandzie?! – krzyknęłam zniecierpliwiona. – Rozmawiamy o twoich kolegach, więc nie mieszaj w to moich koleżanek.

– Już nie jesteście nawet koleżankami.

– Co to ma wspólnego z naszą rozmową?

Twarz Augusta przypominała twarz lalki. Patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, bez wyrazu, spod przymkniętych powiek.

– Zadzwoniła do mnie któregoś dnia – oświadczył po dłuższej chwili.

– Co takiego? – Osłupiałam. – I nic mi nie powiedziałeś?

– Dzwoniła nie do ciebie – zaznaczył, zabierając mi oba komiksy – tylko do mnie. Po prostu chciała się odezwać, zapytać, jak mi leci. W ogóle nie wiedziała, że chodzę do prawdziwej szkoły. Nie mieści mi się w głowie, że jej o tym nawet nie wspomniałaś. Mówiła, że nie spędzacie ze sobą tyle czasu co przedtem, ale chciała mnie

zapewnić, że zawsze będzie mnie kochać jak starsza siostra.

Osłupiałam jeszcze bardziej. Byłam urażona. Oszołomiona. Oniemiała.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – wykrztusiłam w końcu.

– Bo ja wiem? – Wzruszył ramionami i otworzył komiks, który czytał na początku naszej rozmowy.

– Słuchaj, jeżeli się uprzesz, żeby nie chodzić do szkoły, powiem mamie i tacie o Jacku Willu. Tushman prawdopodobnie cię wezwie, każe Jackowi i reszcie chłopaków przeprosić cię przed całą klasą, a wtedy wszyscy stwierdzą, że nadajesz się do szkoły specjalnej. Tego chcesz? Bo wiedz, że tak będzie. Inne wyjście jest następujące: wracasz do szkoły i zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało. Jeżeli jednak chcesz pogadać z Jackiem w cztery oczy, w porządku. Tak czy inaczej, jeżeli…

– No dobrze, dobrze – przerwał mi.

– Że co?

– Dobrze, pójdę do szkoły! – krzyknął, ale niezbyt głośno. – Tylko już skończ. Mogę sobie wreszcie poczytać?

– A czytaj! – Odwróciłam się w stronę drzwi i wtedy wpadła mi do głowy pewna myśl. – Czy

Miranda mówiła o mnie coś jeszcze?

Uniósł głowę znad komiksu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Prosiła, żeby ci przekazać, cytuję, że tęskni za tobą, koniec cytatu.

Kiwnęłam głową.

– Dzięki – powiedziałam od niechcenia, zbyt zażenowana, żeby pokazać Augustowi, jaka jestem szczęśliwa.

# Część trzecia

*Jesteś pięknością – niech sobie mówią, co chcą*
*Słowa nie zdołają cię podłamać*
*Jesteś pięknością pod każdym względem*
*Tak, słowa nie zdołają cię podłamać*

Christina Aguilera, *Piękność*

# Dziwne dzieciaki

Któregoś dnia kilkoro dzieciaków zadało mi pytanie, dlaczego spędzam tyle czasu z „tym dziwolągiem”. Nie do wiary, przecież one nawet go dobrze nie znają. Gdyby go znały, nie mówiłyby tak o nim.

– Bo jest fajnym chłopakiem! – odpowiedziałam, jak zawsze odpowiadam na to pytanie. – I nie nazywajcie go dziwolągiem.

– Jesteś święta, Summer – orzekła pewnego dnia Ximena Chin. – Ja bym nie mogła.

– To nic wielkiego – oświadczyłam zgodnie z prawdą.

– Czy pan Tushman prosił cię, żebyś się z nim zaprzyjaźniła? – zapytała z kolei Charlotte Cody.

– Nie. Przyjaźnimy się, bo tego chcę.

Kto by przypuszczał, że siedzenie z Augustem Pullmanem przy jednym stoliku podczas lunchu wywoła tyle szumu? Wszyscy zachowywali się

tak, jakby to było coś niespotykanego na świecie. Że też dzieciaki mogą być takie dziwne.

Tamtego pierwszego dnia usiadłam obok niego, bo było mi go żal. I już. Patrzę: chłopak dziwnie wygląda, jest nowy, nikt z nim nie rozmawia i wszyscy się na niego gapią. Dziewczyny przy moim stoliku rzucały szeptem jakieś uwagi na jego temat. Nie był jedynym nowym uczniem w szkole Beechera, ale tylko o nim gadano. Julian przezwał go Małym Zombie. Przylgnęło. „Widziałeś już Małego Zombie?" – pytano na korytarzu. Takie rzeczy rozchodzą się szybko. Do Augusta też to dotarło. Nowemu uczniowi zawsze jest ciężko, nawet gdy ma normalną twarz. A co dopiero, gdy ma zniekształconą.

No więc przysiadłam się do jego stolika. Nic wielkiego. Wolałabym, żeby ludzie przestali to rozdmuchiwać.

Jest tylko dzieciakiem. Wygląda przedziwnie, to prawda – nigdy takiego nie widziałam. Ale jest tylko dzieckiem.

# Trąd

Bez wątpienia potrzeba trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do twarzy Augusta. Siedzę z nim przy stoliku już od dwóch tygodni i muszę przyznać, że jego sposób jedzenia nie należy do najelegantszych na świecie. Ale poza tym chłopak jest całkiem miły. Powinnam również dodać, że przestałam go żałować. Z początku chyba dlatego przy nim usiadłam, ale teraz siedzę przy nim z innego powodu – bo jest zabawny.

W tym roku szkoła podoba mi się trochę mniej między innymi dlatego, że dużo dzieci zachowuje się tak, jakby już wyrosły z wieku, gdy gra się w różne gry. Teraz wolą „trzymać się razem" i „rozmawiać" podczas przerw. A rozmawiają tylko o tym, kto kogo lubi albo nienawidzi, kto jest fajny albo beznadziejny. Augusta to nie interesuje. Na przerwie chętnie gra w pola[10], ja też.

Właśnie dlatego, że grałam z Augustem w pola, dowiedziałam się o grze zwanej „trąd”. Okazało się, że dzieciaki bawią się tak od początku roku. Ten, kto przypadkiem dotknie Augusta, musi w ciągu trzydziestu sekund umyć albo zdezynfekować ręce, żeby nie zarazić się trądem. Nie wiem, co się dzieje, gdy ktoś się zarazi – jeszcze nigdy do tego nie doszło, bo nikt nie dotknął Augusta tak wprost.

Dowiedziałam się o tej zabawie od Mayi Markowitz, która powiedziała mi, że nie zagra z nami w pola, bo nie chce dostać trądu. Zaskoczona spytałam, o co chodzi. Gdy Maya mi wyjaśniła, stwierdziłam, że to straszna głupota. Maya też była tego zdania, ale za nic nie chciała dotknąć piłki, którą wcześniej miał w ręku August.

# Impreza halloweenowa

Byłam strasznie przejęta, gdy Savanna zaprosiła mnie na imprezę halloweenową.

Savanna jest chyba najpopularniejszą dziewczyną w szkole. Wszyscy chłopcy ją lubią i wszystkie dziewczyny chcą się z nią przyjaźnić. Wśród piątoklasistek pierwsza miała „chłopaka”, kolesia ze szkoły podstawowej średniej numer 281, ale potem go zostawiła i zaczęła się umawiać z Henrym Joplinem, co było bardziej sensowne, bo oboje wyglądają jak nastolatki.

No więc, choć nie jestem w grupie rozchwytywanych, poczułam się ekstra, że Savanna mnie zaprosiła. Gdy jej podziękowałam i potwierdziłam, że przyjdę, była naprawdę miła, choć dała mi wyraźnie do zrozumienia, że zaprasza niewiele osób, więc mam się tym nie chwalić. Powiedziała też, że mam się nie przebierać. Dobrze, że mnie uprzedziła, bo na imprezę halloweenową przyszłabym

w kostiumie – nie jednorożca, który zrobiłam na paradę, ale gotki, który włożyłam do szkoły. Ale nawet takie przebranie było źle widziane u Savanny. Szkoda tylko, że idąc do niej, musiałam zrezygnować z parady i kostium jednorożca się zmarnował. Niefart, ale nie ma sprawy.

Kiedy się zjawiłam, Savanna już w drzwiach zapytała mnie: „Gdzie jest twój chłopak, Summer?”.

Nie miałam zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

– Myślę, że nie musi zakładać maski na Halloween, co nie? – dorzuciła.

I wtedy zorientowałam się, że mówi o Auguście.

– On nie jest moim chłopakiem – odparłam.

– Wiem. Tylko żartowałam!

Pocałowała mnie w policzek (wszystkie dziewczyny z jej paczki całują się w policzki na powitanie) i rzuciła moją kurtkę na wieszak w holu. Potem wzięła mnie za rękę i poprowadziła na dół, do sutereny, gdzie odbywała się impreza. Jej rodziców w ogóle nie widziałam.

W środku zebrało się już z piętnaście osób: wszyscy byli popularni w szkole i należeli albo do paczki Savanny, albo do paczki Juliana.

Ponieważ niektórzy już ze sobą chodzili, powstała jakby jedna megapaczka.

Nie miałam pojęcia, że jest tam tyle par. To znaczy wiedziałam, że Savanna umawia się z Henrym, ale że Ximena z Milesem? Ellie z Amosem? Ellie jest właściwie taka płaska jak ja.

Byłam tam może pięć minut, gdy podeszła do mnie Savanna z Henrym i oboje dosłownie zawiśli nad moją głową.

– Chcemy zapytać, dlaczego zadajesz się z tym Małym Zombie – odezwał się Henry.

– On nie jest zombie. – Przyjęłam to pytanie jako żart i roześmiałam się, choć nie było mi do śmiechu.

– Wiesz, Summer – rzuciła Savanna – byłabyś dużo bardziej lubiana, gdybyś nie spędzała z nim tyle czasu. Powiem ci szczerze i otwarcie: podobasz się Julianowi. Chce się z tobą umówić.

– Naprawdę?

– Według ciebie on jest fajny?

– Hm… no, chyba tak. Jest fajny.

– Więc musisz wybrać, z kim będziesz się trzymać. – Savanna mówiła do mnie tonem starszej siostry. – Wszyscy cię lubią, Summer. Uważają, że jesteś bardzo miła i bardzo, bardzo ładna. Mogłabyś należeć do paczki, gdybyś chciała. Wiele dziewczyn z twojej klasy

i równoległych byłoby zachwyconych tą możliwością, wierz mi.

– Wiem. – Kiwnęłam głową. – Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła. – Powiedzieć Julianowi, żeby przyszedł i porozmawiał z tobą?

Spojrzałam tam, gdzie wskazywała, i zauważyłam, że Julian nam się przygląda.

– Hm, muszę iść do łazienki. Gdzie jest?

Znalazłam łazienkę, usiadłam na krawędzi wanny i zadzwoniłam do mamy z prośbą, żeby po mnie przyjechała.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, ale nie mam ochoty tu zostać.

Mama nie zadawała więcej pytań i obiecała przyjechać za dziesięć minut.

– Nie dzwoń do drzwi – powiedziałam jej. – Zadzwoń do mnie na komórkę, gdy będziesz pod domem.

Siedziałam w łazience, dopóki mama nie zadzwoniła, potem ukradkiem przemknęłam na górę, wzięłam kurtkę i wyszłam.

Było dopiero wpół do dziesiątej. Parada halloweenowa na Amesfort Avenue rozkręcała się na dobre. Wszędzie mnóstwo ludzi. Każdy w kostiumie. Tu kościotrupy, tam księżniczki, wampiry, Supermani.

I ani jednego jednorożca.

# Listopad

Następnego dnia, gdy spotkałam Savannę w szkole, powiedziałam jej, że jakieś halloweenowe słodycze nie posłużyły mi, dostałam mdłości i dlatego wcześnie wyszłam z imprezy – uwierzyła. W powietrzu krążyła grypa żołądkowa, więc kłamstwo się udało.

Poza tym wyznałam jej, że zakochałam się w pewnym chłopaku, nie Julianie, więc dała mi spokój i mam nadzieję, przekazała Julianowi, że nie jestem zainteresowana. Savanna chciała oczywiście wiedzieć, kim jest ten chłopak, ale oznajmiłam, że to tajemnica.

W dzień po Halloween August był nieobecny, a gdy znów pojawił się w szkole, zauważyłam, że coś jest z nim nie tak. Podczas przerwy na lunch zachowywał się przedziwnie!

Prawie się nie odzywał i siedział wpatrzony w talerz, gdy coś mu opowiadałam. Jakby nie chciał spojrzeć mi w oczy.

W końcu nie wytrzymałam.

– Wszystko w porządku, Auggie? Jesteś na mnie zły czy co?

– Nie – odparł.

– Przykro mi, że źle się poczułeś w Halloween. W całej szkole szukałam Boby Fetta.

– Zachorowałem.

– Złapałeś grypę żołądkową?

– Chyba tak.

Otworzył książkę i zaczął czytać, co było trochę niegrzeczne.

– Wciągnął mnie ten projekt muzeum egipskiego – powiedziałam. – A ciebie?

Pokręcił głową, mając buzię wypchaną kanapką. Musiałam spojrzeć w bok, bo jego sposób jedzenia, jakby umyślnie obrzydliwy, i prawie zamknięte oczy wywołały u mnie gęsią skórkę.

– Jakie dostałeś zadanie? – zapytałam.

Wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni dżinsów karteczkę i pstryknął nią po stole w moją stronę.

Wszystkim uczniom z piątych klas przydzielono jakiś obiekt, który miał być zaprezentowany w stworzonym przez nas muzeum podczas Dnia Kultury Egipskiej w grudniu. Nauczyciele zapisali nazwy obiektów

na osobnych kartkach i wrzucili je do szklanej misy, a potem na apelu uczniowie po kolei losowali kartki.

Rozwinęłam karteczkę Augusta.

– O, super! – zawołałam, może za bardzo entuzjastycznie, ale chciałam go trochę podkręcić. – Trafiła ci się piramida schodkowa w Sakkarze!

– Wiem! – burknął.

– Ja mam Anubisa, boga zaświatów.

– Tego z głową psa?

– Nie psa, tylko szakala – poprawiłam go. – Słuchaj, chcesz, żebyśmy pracowali nad naszymi projektami razem? Mógłbyś przychodzić po szkole do mnie do domu.

Odłożył kanapkę i oparł się plecami o krzesło. Brak mi słów, żeby opisać spojrzenie, jakim mnie obrzucił.

– Wiesz co, Summer? Nie musisz tego robić – oświadczył.

– O co ci chodzi?

– Nie musisz się ze mną przyjaźnić. Wiem, że pan Tushman rozmawiał z tobą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie musisz udawać. Tylko tyle chcę powiedzieć. Wiem, że pan Tushman rozmawiał

z kilkoma uczniami przed rozpoczęciem roku szkolnego i kazał im zakolegować się ze mną.

– Ze mną nie rozmawiał.

– Rozmawiał.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nie rozmawiał ze mną! Przysięgam na wszystko!

Podniosłam ręce, żeby mu pokazać, że nie krzyżuję palców[11]. Natychmiast spojrzał na moje stopy, więc zrzuciłam uggsy, pokazując, że nie krzyżuję palców nóg.

– Masz rajstopy – stwierdził oskarżycielskim tonem.

– Przecież widzisz, że palce są równo! – wrzasnęłam.

– No dobrze, nie musisz się wydzierać.

– Nie lubię, gdy mi się coś zarzuca, jasne?

– Jasne. Przepraszam.

– I słusznie.

– Naprawdę nie rozmawiał z tobą?

– Auggie!

– Już dobrze, dobrze. Bardzo przepraszam.

Jeszcze trochę bym się na niego powściekała, gdyby nie opowiedział mi, co mu się przydarzyło w Halloween. Po tej historii przeszła mi cała złość. Okazało się, że słyszał, jak Jack źle o nim

mówi, potwornie obgaduje go za jego plecami. To właściwie tłumaczyło zachowanie Augusta i wyjaśniało nieobecność w szkole z powodu „choroby”.

– Obiecaj, że nikomu nie powiesz – poprosił.

– Obiecuję. – Kiwnęłam głową. – A ty obiecaj, że już nigdy nie będziesz wobec mnie taki wstrętny.

– Obiecuję.

Oboje unieśliśmy prawe ręce.

# Uwaga: na to dziecko nie da się patrzeć

Uprzedziłam mamę, że coś się stało Augustowi w twarz. Opisałam, jak wygląda. Zrobiłam to, bo miał przyjść pierwszy raz do nas do domu, a mama, jak ją znam, nie jest dobra w udawaniu. W ciągu dnia dla przypomnienia wysłałam jej do pracy SMS-a. Gdy wróciła do domu, zorientowałam się, że należało ją lepiej przygotować. Była zszokowana, kiedy ujrzała Augusta.

– Cześć, mamo, to jest Auggie – odezwałam się natychmiast. – Może zostać na kolacji?

Minęła chwila, zanim moje pytanie w ogóle do niej dotarło.

– Cześć, Auggie – powiedziała. – Hm, naturalnie, kochanie. Jeśli zgodzi się mama Auggiego.

Kiedy Auggie dzwonił z komórki do mamy, ja szepnęłam do swojej: „Wyglądasz jak wypłosz!”. Ma taki wyraz twarzy, oglądając wiadomości o jakimś przerażającym wydarzeniu. Szybko kiwnęła głową, jakby nie zdawała sobie sprawy, że robi minę, a potem była już bardzo miła dla Augusta i zachowywała się normalnie.

Za jakiś czas, zmęczeni opracowywaniem projektów, zeszliśmy do salonu. Auggie zaczął oglądać zdjęcia nad kominkiem i zauważył moje z tatą.

– To twój tato? – zapytał.

– Uhm.

– Nie wiedziałem, że jesteś… jak to się mówi?

– Rasy mieszanej.

– O właśnie!

– No jestem.

Znowu spojrzał na zdjęcie.

– Twoi rodzice się rozwiedli? Nigdy nie widziałem, żeby podrzucał cię do szkoły czy coś takiego.

– Nie rozwiedli się – odparłam. – Tato był sierżantem w wojsku. Umarł kilka lat temu.

– Ojej, nie wiedziałem.

Westchnęłam i podałam mu zdjęcie taty w mundurze.

– O rany, ile on ma medali!

– No, był wspaniały.

– Przykro mi, Summer.

– Tragiczna sprawa. Bardzo za nim tęsknię.

– No tak. Straszne. – Oddał mi zdjęcie.

– Znałeś kogoś, kto już nie żyje? – zapytałam.

– Tylko moją babcię, ale słabo ją pamiętam.

– Szkoda.

August kiwnął głową.

– Zastanawiasz się czasem, co się dzieje z ludźmi po śmierci? – ciągnęłam temat.

Wzruszył ramionami.

– Właściwie nie. To znaczy chyba idą do nieba, co? Tak jak babunia.

– Dużo o tym myślę – powiedziałam. – Wydaje mi się, że po śmierci dusze ludzi idą do nieba, ale tylko na trochę. Żeby spotkać starych przyjaciół i w ogóle porozmawiać o dawnych czasach ze znajomymi. Ale potem dusze chyba zaczynają myśleć o swoim życiu na ziemi, o tym, czy żyły dobrze, źle, czy jak. No i z czasem znowu przychodzą na świat jako nowo narodzone dzieci.

– Po co znów się rodzą?

– Żeby mieć jeszcze jedną szansę na dobre życie, zacząć od początku.

August zastanawiał się chwilę, po czym stwierdził:

– Tak jak się zdaje egzamin poprawkowy.

– Właśnie.

– Ale za drugim razem nie wyglądają tak samo – dodał. – W gruncie rzeczy wyglądają zupełnie inaczej, prawda?

– No – przytaknęłam. – Dusze są takie same, ale cała reszta się zmienia.

– Fajnie. Podoba mi się, Summer. – Pokiwał energicznie głową. – To znaczy, że w przyszłym życiu nie będę miał takiej twarzy.

Mówiąc to, wskazał palcem na swoją twarz i zatrzepotał powiekami, doprowadzając mnie do śmiechu.

– Chyba nie.

– Słuchaj, może nawet będę przystojniakiem! – Uśmiechnął się. – To dopiero, co? Wróciłbym jako atrakcyjny facet, wysoki, pięknie opalony…

Znowu się roześmiałam. August potrafi z siebie żartować i to jest jedna z rzeczy, które lubię w nim najbardziej.

– Auggie, mogę cię o coś zapytać?

– Uhm – mruknął takim tonem, jakby dokładnie wiedział, co powiem.

Zawahałam się. Już dawniej chciałam zadać mu to pytanie, ale nie miałam odwagi.

– Co? Chcesz wiedzieć, co mi się stało w twarz?

– Aha. Jeżeli nie masz nic przeciw.

Wzruszył ramionami. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że się nie zezłościł ani nie zrobiło mu się smutno.

– Nie ma sprawy – rzucił swobodnie. – Głównym powodem jest jakaś dy-zo-sto-za żuchwowo-twarzowa… wieki zajęło mi nauczenie się tej nazwy… poza tym mam zespół kogoś tam, co już w ogóle jest nie do wymówienia. Jedno połączyło się z drugim i zrobiła się z tego jakaś duża rzecz, tak rzadka, że nawet nie ma nazwy. To znaczy nie chcę się chwalić ani nic takiego, ale wiesz, lekarze uważają, że jestem tak jakby cudem medycznym. – Uśmiechnął się. – To był żart – dodał. – Możesz się śmiać.

Z rozbawieniem pokręciłam głową.

– Rozrywkowy jesteś, Auggie.

– Zgadza się – potwierdził z dumą. – Jestem gites.

# Grobowiec egipski

Przez następny miesiąc August i ja często spotykaliśmy się po szkole, albo u niego w domu, albo u mnie. Jego rodzice nawet zaprosili parę razy mamę i mnie na kolację. Któregoś dnia słyszałam, jak zastanawiali się, czy nie umówić mojej mamy na randkę w ciemno z wujkiem Augusta, Benem.

W dniu otwarcia muzeum egipskiego wszyscy byliśmy szalenie przejęci i rozgorączkowani. Dzień wcześniej padał śnieg – nie było go tyle ile przed Świętem Dziękczynienia, ale co śnieg, to śnieg.

Muzeum mieściło się w sali gimnastycznej. Na stołach znajdowały się wykonane przez uczniów obiekty, a pod nimi karteczki z wyjaśnieniami, co każdy przedstawia. W większości były naprawdę świetne, ale uważam, że nie dorównywały mojemu i Augusta. Moja rzeźba Anubisa wyglądała całkiem autentycznie, a niektóre

fragmenty pomalowałam prawdziwą złotą farbą. Z kolei August zrobił piramidę schodkową z kostek cukru. Miała ponad sześćdziesiąt centymetrów wysokości i tyle samo szerokości. Pomalował ją sprayem albo czymś na piaskowy kolor. Prezentowała się wspaniale.

Wszyscy włożyliśmy egipskie stroje. Niektórzy przebrali się za archeologów, jak z filmów o Indianie Jonesie, inni za faraonów. August i ja przebraliśmy się za mumie. Twarze mieliśmy zakryte, z wyjątkiem dwóch otworów na oczy i jednego na usta.

Przybywający rodzice zbierali się w holu przed salą gimnastyczną. Gdy zjawili się już wszyscy, podeszliśmy do nich i każdy miał oprowadzić mamę czy tatę po zaciemnionej sali, oświetlając sobie drogę latarką. August i ja razem pokazywaliśmy naszym mamom muzeum. Zatrzymywaliśmy się przy każdym eksponacie, szeptem wyjaśniając, co przedstawia, i odpowiadając na pytania. Ponieważ było ciemno, oświetlaliśmy obiekty latarką. Dla większego efektu, gdy dokładniej opisywaliśmy jakiś szczegół, czasem trzymaliśmy ją pod brodą. Zabawa była świetna, dokoła słyszało się w mroku szepty, smugi światła przecinały się w powietrzu.

W pewnej chwili zachciało mi się pić. Podeszłam do wodotrysku i zsunęłam bandaże z głowy.

– Cześć, Summer – rozległ się głos Jacka tuż przy mnie. Był przebrany za tego faceta z *Mumii*. – Super masz kostium.

– Dzięki.

– Ta druga mumia to August?

– No.

– Hm… wiesz, dlaczego on się na mnie pogniewał?

– Uhm. – Kiwnęłam głową.

– Powiesz mi?

– Nie.

Pokiwał głową, ale wyglądał na przybitego.

– Obiecałam trzymać język za zębami.

– Dziwna sprawa – mówił dalej. – Nagle się obraził. Nie mam zielonego pojęcia dlaczego. Może przynajmniej coś byś podpowiedziała?

Rozejrzałam się za Augustem: stał w drugim końcu sali razem z naszymi mamami. Nie zamierzałam złamać uroczystej przysięgi, że nikomu nie powiem o tym, co August usłyszał w Halloween, ale było mi żal Jacka.

– Krwawy Krzyk – szepnęłam mu do ucha i odeszłam.

# Część czwarta

JACK

*A oto mój sekret. Jest bardzo prosty:*
*Dobrze widzi się tylko sercem.*
*Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu*[12].

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*

# Telefon

W sierpniu, pod nieobecność rodziców, zadzwonił pan Tushman, wicedyrektor podstawówki odpowiedzialny za klasy średnie, prosząc, by się do niego odezwali. „Może chce w ten sposób powitać wszystkich nowych uczniów”, skomentowała mama, na co tato zauważył: „Musiałby obdzwonić mnóstwo dzieciaków”. Gdy mama zatelefonowała do dyrektora, słyszałem każde słowo. Rozmowa wyglądała tak:

– Dzień dobry panu. Mówi Amanda Will. Pan do nas dzwonił… O, dziękuję. Miło to słyszeć. Syn nie może się doczekać… – Cisza. – Tak. – Cisza. – Och, naturalnie. – Długa cisza. – Aha. Uhm. – Cisza. – Miło to słyszeć. – Cisza. – Oczywiście. Coś takiego. Ooo. – Bardzo długa cisza. – Rozumiem, naturalnie. Na pewno to zrobi. Chwileczkę, zapiszę… tak, już. Zawiadomię pana, gdy z nim

porozmawiam, dobrze? – Cisza. – Nie, dziękuję, że pan o nim pomyślał. Do widzenia.

Natychmiast zasypałem ją pytaniami.

– O co chodzi? Co mówił?

– Właściwie to przejaw uznania, choć sprawa jest smutna. Widzisz, w tym roku zaczyna naukę w klasie piątej chłopiec, który nigdy dotąd nie chodził do prawdziwej szkoły, bo uczył się w domu. Pan Tushman poprosił paru nauczycieli, żeby wybrali kilkoro naprawdę świetnych dzieciaków, które też idą do piątej klasy. Powiedzieli mu, że jesteś bardzo miły… o czym doskonale wiedziałam… i dlatego pan Tushman zadzwonił teraz z pytaniem, czy może liczyć, że trochę się zajmiesz tym chłopcem.

– To znaczy mam się z nim zakolegować? – zapytałem.

– Właśnie. Pan Tushman chce, żebyś był kimś w rodzaju gospodarza i opiekuna.

– Ale dlaczego ja?

– Już ci mówiłam. Twoi nauczyciele powiedzieli panu dyrektorowi, że masz opinię chłopca o złotym sercu. Jestem dumna, że tak cię cenią…

– I to jest smutne?

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś, że to smutna sprawa.

– A tak. – Mama kiwnęła głową. – No bo ten chłopiec ma coś w rodzaju… hm, zdaje się, że coś jest z jego twarzą… Sama nie wiem. Może uległ wypadkowi. Pan Tushman ma ci wyjaśnić, kiedy przyjdziesz w przyszłym tygodniu do szkoły.

– Przecież szkoła zaczyna się dopiero we wrześniu!

– Pan dyrektor chce, żebyś poznał tego chłopca przed rozpoczęciem nauki.

– Muszę?

Mama wyglądała na trochę zdziwioną.

– Nie, nie musisz – odparła – ale niełądnie byłoby odmówić, Jack.

– Jeżeli nie muszę, to nie chcę tego robić.

– A możesz przynajmniej się zastanowić?

– Właśnie się zastanawiam i nie chcę.

– Nie będę cię zmuszać – powiedziała mama – ale daj sobie trochę czasu, dobrze? Będę dzwonić do pana Tushmana dopiero jutro, więc możesz przemyśleć sprawę. Wiesz, Jack, to nie jest znowu taka wielka prośba, żeby przez jakiś czas zajmować się nowym uczniem…

– Nie chodzi o to, że on jest nowy, mamo. On ma powykrzywianą twarz.

– Jak ty mówisz, Jack? To okropne.

– Ale tak jest, mamo.

– Nawet nie wiesz, o kogo chodzi!

– Wiem. – Od razu domyśliłem się, że mówi o chłopaku, który ma na imię August.

# Lodziarnia

Pamiętam, że pierwszy raz zobaczyłem go przed lodziarnią przy Amesfort Avenue, gdy miałem pięć, może sześć lat. Siedziałem na ławce przed sklepem razem z Veronicą, moją opiekunką, i małym Jamiem, moim bratem, który siedział przed nami w wózku spacerowym. Pewnie byłem bardzo zajęty jedzeniem lodów w rożku, bo w ogóle nie zauważyłem, że ktoś się do nas przysiadł.

W którymś momencie przechyliłem głowę, żeby wyssać lody z dna rożka, i wtedy zobaczyłem tego chłopca, Augusta, tuż koło mnie. Wiem, że powinienem się wstydzić, ale na jego widok krzyknąłem: „Och!” – ze strachu. Myślałem, że założył maskę zombie albo coś w tym rodzaju. Było to takie „Och!”, jakie wyrywa się z gardła, gdy ogląda się straszny film albo gdy chuligan wypada z krzaków. W każdym

razie zachowałem się niegrzecznie – chłopak tego nie zauważył, ale usłyszała mnie jego siostra.

– Idziemy, Jack! – powiedziała Veronica.

Już stała, odwracając spacerówkę, bo Jamie też zobaczył tego chłopaka i zaraz by powiedział coś krępującego. Wobec tego zerwałem się z ławki, jakby wylądowała na mnie pszczoła, i ruszyłem za prującą do przodu Veronicą. Z tyłu doleciał mnie spokojny głos matki tego chłopaka: „Czas na nas, kochani” i odwróciłem się, żeby jeszcze raz na nich zerknąć. Dzieciak jadł lody w rożku, mama podnosiła jego hulajnogę, a siostra rzucała mi mordercze spojrzenie. Szybko spuściłem oczy.

– Co mu jest? – szepnąłem do Veroniki.

– Cicho bądź! – mruknęła ze złością.

Uwielbiam ją, ale jak się złości, to już porządnie. W tym czasie Jamie wychylał się z wózka jak najdalej, żeby na nich popatrzeć.

– Czekaj, Vonica… – odezwał się.

– Niegrzeczni z was chłopcy! Bardzo niegrzeczni! – skrzyczała nas Veronica, gdy odeszliśmy spory kawałek. – Jak można się tak gapić!

– To było niechcący! – próbowałem się tłumaczyć.

– Vonica… – znów odezwał się Jamie.

– Że też odeszliśmy stamtąd w taki sposób – burczała pod nosem. – O Boże, biedna kobieta. Mówię wam, chłopcy, codziennie powinniśmy dziękować Bogu za otrzymywane dary. Słyszycie?

– Vonica!

– Słucham, Jamie?

– Czy to Halloween?

– Nie, Jamie.

– To dlaczego ten chłopiec był w masce?

Veronica się nie odezwała. Czasem tak robiła, gdy wpadła w złość.

– On nie miał maski – próbowałem wyjaśnić bratu.

– Cicho bądź! – skarciła mnie Veronica.

– Dlaczego jesteś taka zła? – zapytałem mimo woli.

Myślałem, że rozzłości się jeszcze bardziej, ale ona pokręciła głową.

– Postąpiliśmy bardzo źle – odparła. – Żeby tak zerwać się z miejsca, jakbyśmy zobaczyli diabła. Bałam się, co powie Jamie, wiesz? Nie chciałam sprawić przykrości temu chłopaczkowi. Mimo to zachowaliśmy się źle. Jego mama wiedziała, co się dzieje.

– Ale my nie chcieliśmy.

– Czasem człowiek sprawia przykrość drugiemu człowiekowi, choć tego nie chce. Rozumiesz, Jack?

Chyba właśnie wtedy pierwszy raz zobaczyłem Augusta w naszej dzielnicy. Potem jeszcze nieraz go widziałem: to na placu zabaw, to w parku. Czasem nosił hełm kosmonauty. Jednak zawsze wiedziałem, że to ten chłopak – mimo hełmu. Wiedziały to wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa. Każdy kiedyś natknął się na Augusta. Znamy jego imię, choć on nie zna naszych.

Gdy go widzę, staram się pamiętać o tym, co powiedziała Veronica. Ale to trudne. Trudno się powstrzymać i nie zerknąć po raz drugi. Trudno się zachowywać normalnie, mając go przed oczami.

# Dlaczego zmieniłem zdanie

– Do kogo jeszcze dzwonił pan Tushman? Mówił ci? – zapytałem mamę później tamtego wieczoru.

– Wspomniał o Julianie i Charlotte.

– Wybrał Juliana? No nie! – zawołałem. – Dlaczego akurat jego?

– Przecież kolegowałeś się z Julianem!

– To było wieki temu, mamo. Nie ma drugiego takiego efekciarza jak on. Robi wszystko, żeby być lubianym.

– No cóż, ale on przynajmniej zgodził się pomóc temu chłopcu. Trzeba to docenić.

Mama miała rację, więc przestałem rozmawiać o Julianie.

– A Charlotte? – zapytałem. – Też się zgodziła?

– Tak.

– Nic dziwnego. Chodząca dobroć – mruknąłem.

– Zdaje się, że ostatnio masz na pieńku ze wszystkimi, Jack – zauważyła mama.

– Chodzi o to… Mamo, ty nie wiesz, jak ten chłopak wygląda – próbowałem się tłumaczyć.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Akurat! Nie widziałaś go, a ja widziałem.

– A jeżeli to nie ten, o którym myślisz?

– Na pewno ten. Mówię ci, mamo, on wygląda naprawdę okropnie. Ma powykrzywianą twarz. Oczy gdzieś tu. – Dotknąłem palcami policzków. – Jest bez uszu. Usta…

Podczas naszej rozmowy wszedł do kuchni Jamie, żeby wziąć z lodówki karton z sokiem.

– Zapytaj Jamiego – powiedziałem. – Zgadza się, Jamie? Pamiętasz chłopaka, którego w zeszłym roku widzieliśmy w parku, wracając ze szkoły? Augusta. Tego z dziwną twarzą.

– Aha, tego. – Oczy mu się rozszerzyły. – Nie mogłem potem spać. Pamiętasz, mamo, jak miałem ten zły sen o zombie w zeszłym roku?

– Wydawało mi się, że oglądałeś wtedy jakiś horror.

– Nie, nie! To przez tego chłopaka! Gdy go zobaczyłem, krzyknąłem „och!” i uciekłem…

– Zaraz, zaraz. – Mama spoważniała. – Tak się zachowałeś w jego obecności?

– Nie mogłem się pohamować! – jęknął płaczliwie Jamie.

– Oczywiście, że mogłeś! – zrugała go mama. – Słuchajcie, chłopcy, sprawiliście mi duży zawód. – Naprawdę wyglądała na zawiedzioną. – Zastanówcie się: przecież to mały chłopiec, taki jak wy! Wyobrażasz sobie, Jamie, jak on się czuł, gdy uciekłeś od niego z krzykiem?

– To nie był krzyk, tylko takie „och!”. – Przyłożył ręce do policzków i zaczął biegać po kuchni.

– Przestań, Jamie! – Mama się zezłościła. – Naprawdę myślałam, że moi synowie umieją okazać współczucie.

– Co to znaczy „współczucie”? – zapytał Jamie, który był dopiero w drugiej klasie.

– Dobrze wiesz, co to znaczy, Jamie.

– Ale on jest taki brzydki, mamo.

– Wystarczy! Nie podoba mi się to słowo! – zawołała mama. – Zabieraj swój sok, Jamie. Chcę porozmawiać z Jackiem w cztery oczy. – Posłuchaj, Jack – zaczęła po wyjściu Jamiego.

Nie miałem wątpliwości, że czeka mnie długie kazanie.

– Dobrze, zgadzam się – powiedziałem.

– Naprawdę? – Była kompletnie zaskoczona.

– Tak!

– Więc mogę zadzwonić do pana Tushmana?

– Tak! Przecież się zgodziłem!

– Wiedziałam, że staniesz na wysokości zadania. Brawo, synku. Jestem z ciebie dumna. – Uśmiechnęła się i zwichrzyła mi włosy.

No i tak zmieniłem zdanie. Nie dlatego, żeby nie dostać kazania od mamy. Nie dlatego, żeby ochronić tego Augusta przed Julianem, który na pewno zachowa się jak palant. Powodem było to, że gdy Jamie mówił, jak uciekał z krzykiem przed Augustem, nagle poczułem się jak podlec. Palanty w rodzaju Juliana znajdą się zawsze, ale jeżeli nawet mały Jamie, który zwykle jest całkiem miły, postępuje wrednie, to taki chłopak jak August nie ma w szkole szans.

# Cztery powody

Po pierwsze, można się przyzwyczaić do jego twarzy. Na początku kilka razy przelatywało mi przez myśl: jejku, nie dam rady. A potem, gdzieś po tygodniu, stwierdziłem: phi, to nie takie trudne.

Po drugie, on jest bardzo fajnym kolesiem. To znaczy jest całkiem rozrywkowy. Na przykład gdy pani coś mówi, on szepcze mi coś śmiesznego, tak żeby nikt nie słyszał, i pękam ze śmiechu. Poza tym w sumie jest po prostu fajnym chłopakiem. To znaczy fajnie z nim być, rozmawiać i w ogóle.

Po trzecie, jest naprawdę bystry. Myślałem, że będzie opóźniony, bo nie chodził do szkoły, ale okazało się, że najczęściej jest ode mnie dużo lepszy. Może nie taki dobry jak Charlotte czy Ximena, ale zdecydowanie w czołówce. W przeciwieństwie do tych dziewczyn pozwala mi od siebie ściągać, gdy już muszę (a musiałem

tylko parę razy). Raz pozwolił mi też spisać swoją pracę domową, ale potem obaj mieliśmy z tego powodu kłopoty.

– Popełniliście takie same błędy we wczorajszej pracy domowej – oświadczyła pani Rubin, patrząc na nas tak, jakby czekała na wyjaśnienie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo było tylko jedno wyjaśnienie: spisałem wszystko od Augusta.

Ale on skłamał, żeby mnie wybronić.

– To pewnie dlatego, że wczoraj razem odrabialiśmy lekcje – odrzekł, choć wcale nie było to prawdą.

– Odrabianie razem lekcji jest w porządku – oznajmiła pani Rubin – ale trzeba robić to samodzielnie. Rozumiecie? Można siedzieć obok siebie i pisać, ale nie można uzgadniać, co napisać. Jasne?

W końcu wypuściła nas z klasy.

– Dzięki, kolo, że tak powiedziałeś – odezwałem się.

– Nie ma sprawy – odparł.

Zachował się super.

Po czwarte, gdy już go poznałem, właściwie chcę się z nim przyjaźnić. Z początku, muszę przyznać, traktowałem go po przyjacielsku tylko

dlatego, że pan Tushman prosił mnie, żeby odnosić się do niego szczególnie miło i w ogóle. Ale teraz sam chcę się kolegować z Augustem. Zawsze śmieje się z moich żartów. Mam również wrażenie, że mogę mu wszystko powiedzieć. Jak bliskiemu przyjacielowi. Gdyby uczniowie piątych klas stanęli obok siebie w rzędzie i miałbym wybrać, z kim chcę się kumplować, to wybrałbym Augusta.

# Byli przyjaciele

Krwawy krzyk? Co to ma znaczyć, do diabła? Summer Dawson zawsze była trochę zwariowana, ale chyba przesadziła. Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego August zachowuje się tak, jakby był na mnie zły albo co. Sądziłem, że będzie wiedziała. A ona mi mówi: „krwawy krzyk”. Kompletnie nic nie rozumiem.

Dziwna sprawa: jednego dnia jesteśmy z Augustem przyjaciółmi, dzień później, ciach, prawie się do mnie nie odzywa. Nie mam zielonego pojęcia dlaczego. Gdy go zapytałem: „Słuchaj, August, wściekasz się na mnie czy jak?”, wzruszył ramionami i odszedł. Potraktowałem to jako wyraźne „tak”. Ponieważ wiedziałem na bank, że nie zrobiłem nic, za co mógłby się wściekać, pomyślałem, że dowiem się czegoś od Summer. Na co ona wyskakuje mi z „krwawym krzykiem”. Wielka pomoc, słowo daję. Dzięki, Summer.

Wiadomo, że mam w szkole mnóstwo kolegów. Jeżeli August chce pokazać wszystkim, że jest moim byłym przyjacielem, świetnie, proszę bardzo, mnie to nie wzrusza. Nie zwracam na niego uwagi, tak jak on nie zwraca uwagi na mnie. Trochę to trudne, bo siedzimy obok siebie w zasadzie na każdej lekcji.

Inni już coś zauważyli i zaczęli mnie pytać, czy się pokłóciliśmy. Augusta nikt nie pyta. Zresztą mało kto z nim rozmawia. To znaczy oprócz mnie August koleguje się tylko z Summer. Czasem rozmawia z nim Leo Kingsley, no i obaj Maxowie, fani gry RPG *Lochy i smoki*, kilka razy grali z nim figurkami na przerwie. Charlotte, ta chodząca dobroć, ledwie kiwnie mu głową na powitanie, gdy mija go w korytarzu. Poza tym nie wiem, czy wszyscy wciąż bawią się w trąd za jego plecami, bo nikt nigdy nie mówił mi o tej zabawie wprost. Chodzi o to, że August nie ma aż tylu kolegów, z którymi mógłby trzymać. Jeżeli chce mnie olać, to on na tym straci – nie ja.

Tak jest teraz między nami. Rozmawiamy tylko o szkole, jeżeli to absolutnie konieczne. Na przykład pytam go: „Co zadała nam Rubin?”, a on odpowiada. Albo on pyta, czy może pożyczyć temperówkę, a ja wyjmuję ją z piórnika i mu

daję. Ale gdy zadzwoni dzwonek, każdy idzie w swoją stronę.

Plusem jest to, że teraz mam więcej kolegów. Przedtem, kiedy cały czas byłem z Augustem, chłopaki nie zadawały się ze mną, bo musiałyby zadawać się również z nim. Albo ukrywać przede mną różne rzeczy, jak na przykład całą tę zabawę w trąd. Byłem chyba jedyną osobą, która nic o niej nie wiedziała, oprócz Summer i być może paczki graczy w *Lochy i smoki*. Tak naprawdę nikt nie chce zadawać się z Augustem, choć nie powie tego otwarcie. Każdy pragnie się znaleźć w grupie szkolnych idoli, a August jest tak daleko od nich, jak tylko można. Teraz mogę trzymać, z kim zechcę. Jeżeli będzie mi zależało, najbardziej lubiani na pewno przyjmą mnie do swojej grupy.

Minusem jest to, że (a) właściwie nie zależy mi na towarzystwie szkolnych idoli i (b) w gruncie rzeczy lubiłem towarzystwo Augusta.

Tak więc wszystko się pochrzaniło. I to przez Augusta.

# Śnieg

Pierwszy śnieg tej zimy spadł tuż przed przerwą na Święto Dziękczynienia. Zamknięto szkołę, więc ferie przedłużyły się o jeden dzień. Byłem tak zdołowany całą tą sytuacją z Augustem, że marzyło mi się dać na luz i nie spotykać go codziennie. Poza tym nie znam nic lepszego niż obudzenie się w śnieżny dzień. Uwielbiam to uczucie, gdy otwierasz rano oczy i nie wiadomo czemu, wydaje ci się, że wszystko jest inaczej. Dopiero po chwili coś zaczyna do ciebie docierać: jest cicho, nie słychać trąbienia, bo nie ma samochodów, autobusy też nie jeżdżą. Biegniesz do okna i widzisz, że wszystko jest białe: chodniki, drzewa, samochody przy krawężniku i szyby twojego okna. A gdy coś takiego dzieje się w dzień powszedni i dowiadujesz się, że zamknięto szkołę, to choćbym miał nie wiem ile lat, zawsze będę uważał, że wtedy ogarnia człowieka

najwspanialsze na świecie uczucie. Kiedy dorosnę, nigdy, przenigdy nie będę nosił parasola w śnieżny dzień, jak to robią inni ludzie.

Szkoła taty też była zamknięta, więc zabrał mnie i Jamiego na sanki. Zjeżdżaliśmy z Trupiego Wzgórza w parku. Podobno kilka lat temu jakiś koleś przyszedł tu na sanki i skręcił sobie kark. Nie wiem, czy to prawda, czy tylko tak gadają. W drodze do domu zauważyłem zniszczone drewniane sanki, które stały oparte o wielki kamień, nazywany Starą Indiańską Skałą. Tato uważał, że lepiej zostawić tego grata, ale ja miałem przeczucie, że będzie z nich coś rewelacyjnego, więc pozwolił mi zaciągnąć je do domu. Naprawiałem te sanki przez resztę dnia. Skleiłem złamane szczeble klejem błyskawicznym i obwiązałem dla pewności mocną taśmą. Potem pomalowałem wszystko białym sprayem, tym samym, którego użyłem do zrobienia alabastrowego sfinksa do muzeum egipskiego w szkole. Gdy farba wyschła, na środkowym szczeblu napisałem złotymi literami: BŁYSKAWICA, a wyżej narysowałem zygzak. Wyglądało to bardzo profesjonalnie, daję słowo. Tato aż wykrzyknął: „Ho, ho, Jackie! Miałeś rację co do tych sanek!”.

Następnego dnia wzięliśmy Błyskawicę i znowu poszliśmy na Trupie Wzgórze. Nigdy nie jeździłem na takich szybkich sankach – były dużo, dużo szybsze niż nasze dawne, plastikowe. Ponieważ się ociepliło, śnieg był mokry, skrzypiał pod nogami i dobrze się ubijał. Jamie i ja zjeżdżaliśmy na Błyskawicy na zmianę przez całe popołudnie. Bawiliśmy się w parku, aż przemarzły nam palce i trochę zsiniały usta. Tato zaciągnął nas do domu niemal siłą.

Pod koniec weekendu śnieg zszarzał i zżółkł, a potem lunął deszcz i zrobiła się breja. Gdy szliśmy w poniedziałek do szkoły, śnieg zniknął.

Pierwszego dnia po feriach padało, było brzydko i ponuro. Mnie też było jakoś smutno i płaczliwie w środku.

Spotkaliśmy się z Augustem przy szafkach. Kiwnąłem mu głową na powitanie, a on mi odkiwnął.

Chciałem opowiedzieć mu o Błyskawicy, ale koniec końców nie opowiedziałem.

# Fortuna sprzyja odważnym

Na grudzień pan Browne wybrał następujące wskazanie: „Fortuna sprzyja odważnym”. Wszyscy mieliśmy krótko opisać jakąś sytuację, gdy wykazaliśmy się odwagą i w rezultacie spotkało nas coś dobrego.

Naprawdę długo zastanawiałem się nad tym tematem. W końcu uznałem, że najwięcej odwagi wymagało zaprzyjaźnienie się z Augustem. Ale tego, oczywiście, nie mogłem napisać. Bałem się, że będziemy czytać te wypracowania na głos albo pan Browne wywiesi je, jak to czasem robi, na tablicy informacyjnej. Ostatecznie napisałem jakieś głupoty, jak to w dzieciństwie bałem się morza. Wyszło słabo, ale nic lepszego nie umiałem wymyślić.

Ciekawe, co napisał August. Pewnie miał z czego wybierać.

# Szkoła prywatna

Moi rodzice nie są bogaci. Mówię to, ponieważ niektórym ludziom wydaje się, że ci, co się uczą w szkole prywatnej, pochodzą z bogatych rodzin. W naszym wypadku się to nie potwierdza. Tato jest nauczycielem, mama pracownikiem socjalnym, a to nie są zawody, w których zarabia się kupę forsy. Kiedyś mieliśmy samochód, ale go sprzedaliśmy, gdy Jamie poszedł do zerówki w szkole Beechera. Nie mieszkamy w dużym szeregowcu ani w domu z portierem, jakie stoją przy parku. Nasze mieszkanie, wynajmowane od staruszki, która nazywa się doña Petra, jest na ostatnim piętrze czteropiętrowego budynku bez windy, „po drugiej stronie Broadwayu”. To taki szyfr – tak się określa część dzielnicy North River Heights, gdzie nikt nie chce parkować samochodu. Jamie i ja mamy wspólny pokój. Czasem słyszę, jak rodzice mówią: „Czy możemy

obyć się bez klimatyzacji jeszcze przez rok?” albo: „Może w lecie wezmę dodatkową pracę”.

Dzisiaj na przerwie gadałem z Julianem oraz z Henrym i Milesem. Julian, który jak wiadomo, pochodzi z bogatego domu, w pewnej chwili powiedział:

– Nie chce mi się znowu jechać do Paryża na Boże Narodzenie. Można umrzeć z nudów!

– W Paryżu? Nie zalewaj, kolo – odezwałem się jak ostatni idiota.

– Beznadziejne nudy, słowo daję. Moja babcia ma dom gdzieś na głuchej prowincji. Z Paryża jedzie się godzinę do małej mieściny. Tam się nic nie dzieje, jak Boga kocham! No wiecie, druga mucha siadająca na ścianie to wielkie wydarzenie, jakiś nowy pies śpiący na chodniku to sensacja.

Zaśmiałem się. Julian umie człowieka rozbawić.

– Zamiast jechać do Paryża, rodzice chcą w tym roku urządzić wielkie przyjęcie. Oby się nie rozmyślili – dodał. – Co robicie w ferie?

– Ja zostaję w mieście – powiedziałem.

– Szczęściarz z ciebie – stwierdził Julian.

– Żeby tylko spadł śnieg, bo mam nowe sanki. Fantastyczne. – Chciałem opowiedzieć im o Błyskawicy, ale wtrącił się Miles.

– Też dostałem nowe sanki! Supernowoczesne. Cud techniki.

– Jak sanki mogą być cudem techniki? – zapytał Julian.

– Kosztowały chyba osiemset dolarów.

– O rany!

– Chodźmy się pościgać któregoś dnia na Trupim Wzgórzu – rzuciłem pomysł.

– Beznadziejne miejsce – prychnął Julian.

– Nie żartuj! – oburzyłem się. – Jakiś chłopak skręcił tam kark. Stąd nazwa.

Julian zmrużył oczy, patrząc na mnie jak na wyjątkowego przygłupa.

– Nazwa wzięła się stąd, że kiedyś Indianie chowali tam zmarłych – wyjaśnił. – Ale teraz powinno się nazywać Zaśmieconym Wzgórzem, bo wygląda jak wysypisko. Ostatnio widziałem walające się puszki, rozbite butelki i różne takie… – Pokręcił głową.

– Zostawiłem tam swoje stare sanki – powiedział Miles. – Do niczego się nie nadawały, a jednak ktoś je wziął!

– Może jakiś menel chciał się przejechać! – zażartował Julian.

– Gdzie je zostawiłeś? – spytałem.

– Przy tym wielkim kamieniu na dole. Następnego dnia już ich nie było. Nie do wiary,

że ktoś się na nie połaszczył!

– Zróbmy tak – zaproponował Julian. – Gdy znowu spadnie śnieg, poproszę tatę, żeby zawiózł nas na pole golfowe w Westchester. Trupie Wzgórze nie umywa się do tamtych terenów. Ej, Jack, dokąd idziesz?

Byłem już kilka kroków od nich.

– Muszę wyjąć książkę z szafki – skłamałem.

Chciałem jak najszybciej odejść. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że to ja jestem „menelem”, który zabrał sanki.

# Przedmioty ścisłe

Nie jestem wzorowym uczniem. Wiem, że są tacy, co lubią szkołę, ale ja do nich nie należę, mówię otwarcie. Tylko niektóre rzeczy mi się podobają, na przykład wuef i zajęcia komputerowe. No i przerwy między lekcjami, zwłaszcza ta na lunch. Ale w sumie szkoła mogłaby dla mnie nie istnieć. Najbardziej nie znoszę prac domowych, które nam ciągle zadają. Jakby nie wystarczyło, że siedzimy tyle godzin na lekcjach, starając się nie zasnąć, a nauczyciele wciskają nam do głów rzeczy, z których prawdopodobnie nie będziemy mieć żadnego pożytku, na przykład wzór na pole powierzchni całkowitej sześcianu czy definicje energii kinetycznej i potencjalnej. Kogo to obchodzi?, zastanawiam się. W życiu nie słyszałem, żeby moi rodzice użyli słowa „kinetyczny”!

Najbardziej nie cierpię przedmiotów ścisłych. Tyle musimy się uczyć, że to przestaje być

zabawne. Nasza nauczycielka, pani Rubin, czepia się wszystkiego – nawet tego, jak zapisujemy tematy zadań! Któregoś razu odjęła mi dwa punkty, bo nie napisałem daty na górze kartki z pracą domową. Obłęd!

Kiedy jeszcze się przyjaźniłem z Augustem, dawałem sobie radę z przedmiotami ścisłymi, bo siedział koło mnie i zawsze pozwalał mi przepisywać swoje notatki z lekcji. Nie znam innego chłopaka, który ma tak czytelny charakter pisma. Litery stawia porządnie: małe, okrągłe, pochyłe, równe u góry i na dole. Ale teraz, gdy skończyła się nasza przyjaźń, jest źle, bo nie mogę go prosić o zeszyt z notatkami.

Dzisiaj na lekcji męczyłem się, żeby zapisać to, co mówiła pani (okropnie bazgrzę), gdy nagle oznajmiła, że w szkole będzie wystawa naukowa i każdy piątoklasista ma przygotować jakąś pracę.

Opowiadała o tej wystawie, a ja myślałem: przecież dopiero co skończyliśmy ten parszywy projekt egipski i od razu zaczynamy następny? O nieeee!, zawyłem w duchu, jak Kevin w filmie *Kevin sam w domu*, gdy opada mu szczęka i łapie się za głowę. Taką miałem minę, gdyby zajrzeć mi do środka. Potem przypomniały mi się widziane gdzieś rysunki duchów

z rozpływającymi się twarzami i ustami rozdziawionymi w krzyku. Nagle zobaczyłem w myślach pewną scenę, wspomnienie, i zrozumiałem, o co chodziło Summer z tym „krwawym krzykiem”. Niesamowite, ale natychmiast wszystko stało się jasne. W świetlicy był ktoś przebrany na Halloween za ducha Krwawy Krzyk. Pamiętam, że siedział w ławce w odległości kilku rzędów ode mnie. Potem już go nie widziałem.

O rany, tym kimś był August!

Cała ta sytuacja stanęła mi przed oczami podczas lekcji, gdy pani opowiadała o wystawie.

O rany!

Rozmawiałem z Julianem o Auguście. A niech to! Już rozumiem! Zachowałem się podle. Sam nie wiem dlaczego. Nawet nie pamiętam, co powiedziałem, ale to było coś przykrego. Rozmowa trwała minutę, może dwie. Julian i reszta nie mogli się nadziwić, dlaczego spędzam tyle czasu z Augustem, a mnie zrobiło się głupio. Nie wiem, dlaczego to wszystko powiedziałem. Zwyczajnie dałem się wciągnąć. Byłem głupi. Wciąż jestem. O Boże. On miał się przebrać za Bobę Fettę! Przenigdy nie powiedziałbym tego w obecności Boby Fetty. To August w kostiumie Krwawego Krzyku siedział w tej ławce i patrzył

na nas. Podłużna biała maska ociekająca sztuczną krwią. Szeroko otwarte usta. Twarz zapłakanego upiora. To był on.

Zrobiło mi się niedobrze.

# Pary

Potem słyszałem już tylko ble-ble-ble… wystawa naukowa… ble-ble-ble… praca w parach… ble-ble… Głos pani Rubin docierał do mnie jak przez ścianę albo z głębi studni.

Ni stąd, ni zowąd zaczęła wskazywać po kolei uczniów, wymieniając imiona:

– Leo i Tristan, Maya i Max, Charlotte i Ximena, August i Jack – wskazała na nas – Miles i Amos, Julian i Henry, Savanna i… – Nie słyszałem, co się działo potem.

– Że co? – bąknąłem.

Rozległ się dzwonek.

– Uzgodnijcie w parach, które zadanie z listy chcecie wykonać! – zawołała pani, przekrzykując gwar dzieciaków wychodzących z klasy.

Spojrzałem na Augusta, ale on już wziął plecak i był prawie na korytarzu.

Miałem pewnie głupią minę, bo podszedł do mnie Julian i powiedział:

– Zdaje się, że jesteś w parze ze swoim najlepszym kumplem.

Widząc jego złośliwy uśmieszek, czułem, jak ogarnia mnie nienawiść.

– Ziemia do Jacka Willa. Odbiór – rzucił, gdy się nie odezwałem.

– Zamknij się – warknąłem, wkładając do plecaka kołonotatnik i pragnąc tylko tego, żeby koleś sobie poszedł.

– Pewnie jesteś wkurzony, że masz być z nim w parze – mówił dalej Julian. – Powiedz pani Rubin, że chcesz się z kimś zamienić. Zgodzi się na bank.

– Nie zgodzi się.

– Poproś ją.

– Nie chcę.

– Proszę pani! – Julian podniósł rękę.

Pani Rubin wycierała tablicę. Odwróciła głowę i spojrzała na nas.

– Julian, nie! – syknąłem przez zęby.

– O co chodzi, chłopcy? – zniecierpliwiła się pani.

– Czy możemy zamienić się w parach? – zapytał Julian z miną niewiniątka. – Wpadliśmy z Jackiem na pomysł, co zrobić na wystawę, i chcemy razem…

– Myślę, że da się to zorganizować…

– Nie trzeba – wtrąciłem szybko i kierując się do drzwi, rzuciłem: – Cześć!

Julian puścił się za mną. Gdy dogonił mnie na schodach, odezwał się rozzłoszczony:

– Dlaczego się nie zgodziłeś? Mogliśmy być w parze. Nie musisz przyjaźnić się z tym dziwolągiem, jeśli nie chcesz…

Wtedy mu przyłożyłem. Prosto w zęby.

# Zawieszony

Pewnych rzeczy po prostu nie można wyjaśnić. Człowiek nawet nie próbuje. Nie wie, od czego zacząć. Ledwie otworzy usta, wszystko tak się poplącze, że nie da się potem rozsupłać. Każde słowo zabrzmi niewłaściwie.

– To bardzo poważna sprawa, Jack – mówił pan Tushman. Byliśmy w jego gabinecie. Siedziałem na krześle przed biurkiem i wpatrywałem się w obrazek z dynią, wiszący na ścianie za jego plecami. – Za takie zachowanie usuwa się ucznia ze szkoły. Wiem, że jesteś dobrym chłopcem, i nie chcę, żeby spotkała cię taka kara, ale musisz się wytłumaczyć.

– To do ciebie niepodobne, Jack – wtrąciła mama.

Gdy zadzwoniono do niej ze szkoły, natychmiast zwolniła się z pracy. Widziałem, że nie może się zdecydować, czy jest bardziej wściekła, czy zaskoczona.

– Sądziłem, że ty i Julian jesteście przyjaciółmi – powiedział pan Tushman.

– Nie jesteśmy. – Siedziałem z założonymi na piersiach rękami.

– Ale żeby uderzyć kogoś w twarz? Co ci przyszło do głowy? – spytała podniesionym głosem mama, a potem zwróciła się do dyrektora: – Proszę mi wierzyć, on nigdy nikogo nie uderzył. To nie leży w jego charakterze.

– Julian zalał się krwią – rzekł pan Tushman. – Ma wybity ząb. Wiesz o tym?

– To tylko mleczak – zauważyłem.

– Jack! – krzyknęła mama i pokręciła głową.

– Tak powiedziała siostra Molly!

– Nie o to chodzi! – wrzasnęła mama.

– Chcę, żebyś się wytłumaczył. – W głosie pana Tushmana brzmiała rezygnacja.

– Wtedy będzie jeszcze gorzej. – Westchnąłem.

– Mów.

Wzruszyłem ramionami, ale nie powiedziałem słowa. Zwyczajnie nie mogłem. Gdybym wyjawił, że Julian nazwał Augusta dziwolągiem, to dyrektor wezwałby Juliana na rozmowę i okazałoby się, że ja też mówiłem źle o Auguście, i wszyscy by się o tym dowiedzieli.

– Jack! – ponagliła mnie mama.

Zacząłem płakać.

– Przepraszam…

Pan Tushman uniósł brwi, kiwnął głową, ale się nie odezwał. Tylko chuchnął w dłonie, jakby mu było zimno. Po chwili rzekł:

– Słuchaj, Jack, naprawdę nie wiem, co powiedzieć w tej sytuacji. Uderzyłeś kolegę. Szkoła nie toleruje takiego zachowania, dobrze o tym wiesz, i stosuje karę natychmiastowego wydalenia. A ty nawet nie próbujesz niczego wyjaśnić.

Zalewałem się łzami. Gdy mama objęła mnie ramieniem, głośno się rozszlochałem.

– Wobec tego… – Pan Tushman zawiesił głos, żeby zdjąć i wyczyścić okulary. – Zróbmy tak. W przyszłym tygodniu zaczynają się ferie zimowe. Do tego czasu zostaniesz w domu, a po feriach przyjdziesz do szkoły i wszystko zaczniesz od nowa. Wrócisz z czystym kontem, by tak rzec.

– Jestem zawieszony? – Chlipnąłem.

– Cóż, w zasadzie jesteś – przytaknął z westchnieniem – ale tylko na parę dni. Wiesz co? Przez ten czas zastanów się poważnie nad tym, co się stało. Jeżeli zdecydujesz się napisać do mnie list z wyjaśnieniami, a do Juliana list, w którym go przeprosisz, to w twoich aktach nie będzie wzmianki o tym zdarzeniu. A teraz idź do

domu i porozmawiaj z rodzicami. Może jutro rano, kiedy się wyśpisz, rozjaśni ci się w głowie.

– Bardzo panu dziękuję za takie dobre rozwiązanie – powiedziała mama.

– Wszystko się ułoży – rzekł pan Tushman, podchodząc do drzwi, zamkniętych w czasie tej rozmowy. – Wiem, że jesteś miłym chłopcem, Jack. Wiem również, że nawet mili chłopcy czasem postępują głupio, prawda? – Otworzył drzwi.

– Dziękuję, że okazał pan wyrozumiałość – dodała mama, żegnając się z panem Tushmanem uściskiem dłoni.

– Nie ma za co. – Pochylił się i szepnął coś do mamy tak cicho, że nie usłyszałem.

– Wiem, dziękuję. – Kiwnęła głową.

– Przemyśl swoje zachowanie, chłopcze, zgoda? – zwrócił się do mnie, kładąc ręce na moich ramionach. – No i życzę ci udanych ferii. Wesołych świąt!

Wytarłem nos rękawem i już zamierzałem wyjść.

– Podziękuj panu dyrektorowi – powiedziała mama, dotykając mojego ramienia.

Przystanąłem, odwróciłem się, ale nie mogłem spojrzeć mu w oczy.

– Dziękuję – wymamrotałem.

– Do widzenia, Jack.
Wyszedłem z gabinetu.

# Życzenia świąteczne

Tak się dziwnie złożyło, że po powrocie do domu zastaliśmy kartki świąteczne i od rodziców Juliana, i od rodziców Augusta. Na pierwszej było zdjęcie Juliana w krawacie, wystrojonego jak do opery albo coś w tym stylu. Na drugiej było zdjęcie uroczego starego psa z rogami renifera i czerwonym nosem, w czerwonych bucikach, u góry dymek z napisem: „Ho, ho, ho!”, a w środku:

*Dla całej rodziny Willów*
*życzenia pokoju na ziemi*
*od Nate’a, Isabel, Olivii, Augusta (i Daisy)*

– Śliczna kartka, co? – zwróciłem się do mamy, która przez całą drogę do domu prawie nic nie mówiła. Przypuszczam, że była kompletnie skołowana. – To pewnie ich pies.

– Czy chcesz mi powiedzieć, co się dzieje w twojej głowie? – zapytała poważnym tonem.

– Założę się, że rok w rok wysyłają kartki świąteczne ze zdjęciem swojego psa – ciągnąłem temat.

Mama wzięła ode mnie kartkę i przyjrzała się zdjęciu. Potem uniosła brwi, wzruszyła ramionami i oddała mi ją, mówiąc:

– Mamy dużo szczęścia, Jack, i często tego nie doceniamy…

– Wiem. – Zrozumiałem, co ma na myśli. – Gdy mama Juliana dostała zdjęcie klasowe, podobno wycięła w Photoshopie twarz Augusta, a potem zrobiła kopie zdjęcia i dała mamom kilkorga uczniów.

– To straszne. Ludzie są… nie zawsze są tacy wspaniali.

– Wiem.

– Czy dlatego uderzyłeś Juliana?

– Nie.

Potem wyznałem mamie, dlaczego przyłożyłem Julianowi. I powiedziałem jej o tym, że już nie przyjaźnię się z Augustem. I o tym, co się wydarzyło w Halloween.

# Listy, e-maile, wiadomości na Facebooku, SMS-y

*18 grudnia*

*Szanowny Panie Dyrektorze!*

*Bardzo, bardzo mi przykro, że uderzyłem Juliana. Wiem, że źle zrobiłem. Do Juliana też napiszę. Wolę nie mówić Panu, dlaczego tak się zachowałem, bo to i tak niczego nie naprawi. Poza tym nie chcę pakować w kłopoty Juliana, który powiedział coś, czego nie powinien mówić.*

*Z poważaniem,*
*Jack Will*

*18 grudnia*

*Cześć, Julian!*

*Bardzo, bardzo przepraszam, że cię uderzyłem. Źle zrobiłem. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz i szybko wyrośnie ci stały ząb. Mnie zawsze szybko rosną.*

*Przesyłam pozdrowienia,*
*Jack Will*

*26 grudnia*

*Drogi Jacku!*

*Dziękuję Ci za list. Przez dwadzieścia lat na stanowisku wicedyrektora nauczyłem się, że każda sprawa ma co najmniej dwie strony. Choć nie znam szczegółów, chyba się domyślam, co mogło doprowadzić do starcia z Julianem.*

*Uderzenie kolegi nie jest usprawiedliwione w żadnym wypadku, ale uważam, że czasem należy stanąć w obronie bliskiego przyjaciela. Ten rok był trudny dla wielu uczniów – pierwszy rok w szkole podstawowej średniej często jest trudny.*

*Nadal bądź dobrym uczniem i dobrym kolegą, za jakiego wszyscy Cię uważają.*

*Pozdrawiam,*
*Lawrence Tushman,*
*wicedyrektor*

Do: ltushman@beecherschool.edu
Od: melissa.albans@rmail.com
Kopia: johnwill@phillipsacademy.edu, amandawill@copperbeech.org
Temat: Jack Will

Szanowny Panie Dyrektorze!

Rozmawiałam wczoraj z Amandą i Johnem Willami, którzy wyrazili żal z powodu tego, że Jack uderzył naszego syna Juliana w twarz. Chcę Pana poinformować, że mój mąż i ja w pełni popieramy Pana decyzję o przywróceniu Jackowi praw ucznia po dwudniowym zawieszeniu. Choć pobicie kolegi jest w innych szkołach uzasadnionym powodem wydalenia, zgadzam się z Panem, że w tym wypadku podjęcie tak ostrych środków nie jest konieczne. Znamy państwa Willów od czasów, gdy nasi chłopcy chodzili jeszcze do zerówki, i jesteśmy przekonani, że zostaną podjęte wszelkie kroki, aby taka sytuacja się nie powtórzyła.

W związku z tym zastanawiam się, czy zaskakująco agresywne zachowanie Jacka nie jest wynikiem nadmiernego ciężaru, jaki spadł na jego młode barki. Ściśle mówiąc, mam na myśli nowego ucznia, dziecko specjalnej troski, z którym Jack i Julian mieli się „zaprzyjaźnić”. Widziałam tego chłopca na klasowych fotografiach oraz na szkolnych uroczystościach i z perspektywy czasu uważam, że ta sprawa nadmiernie obciążyła psychicznie naszych synów. Gdy Julian wyznał, że jest mu trudno zaprzyjaźnić się z tym chłopcem, oczywiście uznaliśmy, że nie musi tego robić.

Naszym zdaniem przejście ze szkoły podstawowej do średniej jest na tyle stresujące dla tych młodych wrażliwych osób, że nie należy zmuszać ich do pokonywania dodatkowych trudności i przeszkód. Muszę również wspomnieć, że zasiadając w radzie szkoły, z niepokojem obserwowałam, jak rozpatrywano podanie tego dziecka o przyjęcie w poczet uczniów, bagatelizując fakt, iż szkoła Beechera nie jest integracyjna. Wielu rodziców, do których i ja się zaliczam, kwestionuje słuszność decyzji o przyjęciu go do naszej szkoły. Martwi mnie, że nie zastosowano wobec niego bardziej rygorystycznej procedury (np. nie przeprowadzono rozmowy kwalifikacyjnej), jak to się działo w przypadku innych kandydatów.

Z poważaniem,
Melissa Perper Albans

Do: melissa.albans@rmail.com
Od: ltushman@beecherschool.edu
Kopia: johnwill@phillipsacademy.edu, amandawill@copperbeech.org
Temat: Jack Will

Szanowna Pani Albans!

Dziękuję za list, w którym przedstawia Pani swoje niepokoje i obawy. Jestem przekonany, że Jack Will szczerze żałuje tego, co zrobił, i nie dopuści się takiego czynu ponownie. Zapewniam Panią, że gdybym miał co do tego wątpliwości, nie pozwoliłbym mu pozostać w szkole Beechera.

Co się zaś tyczy naszego nowego ucznia, Augusta, chciałbym zauważyć, że nie jest dzieckiem specjalnej troski. Nie jest niepełnosprawny, upośledzony ani w żaden sposób opóźniony w rozwoju, a zatem nie było podstaw sądzić, że ktokolwiek sprzeciwiłby się przyjęciu Augusta do szkoły Beechera – bez względu na to, czy jest szkołą integracyjną, czy nie jest. W kwestii procedury przyjmowania uczniów chciałbym Panią poinformować, że w porozumieniu z dyrektorem do spraw rekrutacji uznałem, iż z oczywistych powodów rozmowa kwalifikacyjna może się odbyć w domu Augusta. Naszym zdaniem to lekkie odstępstwo formalne było uzasadnione i nie miało żadnego znaczenia przy rozpatrywaniu kandydatury chłopca. August nie tylko dobrze się uczy, lecz również cieszy się przyjaźnią niewątpliwie wyjątkowych młodych ludzi, wśród nich Jacka Willa.

Gdy na początku roku szkolnego wciągnąłem kilkoro dzieci do „komitetu powitalnego” Augusta,

chciałem w ten sposób pomóc mu wejść w środowisko szkolne. Nie uważałem, że moja prośba o okazanie szczególnej życzliwości będzie dla nich „trudnością czy przeszkodą”. W istocie sądziłem, że nauczy je, czym jest empatia, przyjaźń i lojalność.

Jak się okazało, Jack Will nie musiał się tego uczyć, ponieważ już odznaczał się tymi przymiotami.

Jeszcze raz dziękuję Pani za list.

Z poważaniem,
Lawrence Tushman

Do: melissa.albans@ rmail.com
Od: johnwill@phillipsacademy.edu
Kopia: ltushman@beecherschool.edu, amandawill@copperbeech.org
Temat: Jack

Cześć, Melisso!

Dziękuję, że tak wyrozumiale potraktowałaś czyn Jacka. Jak wiesz, szczerze żałuje tego, co zrobił. Mam nadzieję, że pozwolisz nam pokryć koszty leczenia Juliana.

Jesteśmy wzruszeni Twoją troską o Jacka w związku z jego przyjaźnią z Augustem.

Zapytaliśmy, czy był pod presją w całej tej sprawie, a on stanowczo zaprzeczył. Lubi towarzystwo Augusta i uważa, że znalazł dobrego przyjaciela.

Szczęśliwego Nowego Roku!

John i Amanda Willowie

Cześć, August

Jack Will zaprasza do grona znajomych.

Jack Will
32 wspólnych znajomych
Dziękujemy,
Zespół Facebooka

Do: auggiepiesekpullman@email.com
Temat: Przepraszam!!!!!!

Hej, August. To ja, Jack Will. Widzę, że już mnie nie ma wśród Twoich znajomych. Chcę być znowu i bardzo, bardzo Cię przepraszam. Właśnie to chcę powiedzieć. Że Cię przepraszam. Wiem, dlaczego się na mnie wściekłeś, i jest mi przykro, powiedziałem to bezmyślnie, z głupoty. Mam nadzieję, że mi przebaczysz i znowu będziemy się przyjaźnić.

Jack

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 16:47

**Dostalem twojego mejla juz wiesz dlaczego bylem wsciekly?? Summer ci powiedziala?**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 16:49

**Podpowiedziala krwawy krzyk ale z poczatku sie nie domyslilem potem przypomnial mi sie krwawy krzyk w swietlicy w halloween. Nie wiedzialem ze to ty myslalem ze bedziesz w kostiumie boby fetta**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 16:51

**Rozmyslilem sie w ostatniej chwili. Naprawde uderzyles juliana?**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 16:54

**No. Wybilem mu tylny zab. Mleczaka**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 16:55
**Dlaczego mu dolozyles??????**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 16:56
**Nie wiem**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 16:58
**Klamiesz. Zaloze sie ze powiedzial cos o mnie. Tak bylo?**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 17:02
**Julian to palant. Ja tez dalem plame. Bardzo bardzo przepraszam kolo. Ok? Bedziemy sie znow przyjaznic?**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 17:03

**Ok**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 17:04
**Super!!!!**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 17:06
**Naprawde zabilbys sie gdybys byl mna???**
**Tylko nie bujaj**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: Jackwill
31-12 17:08
**Nie!!!!!**
**Jak boga kocham ale...**
**Zabilbym sie gdybym byl julianem :)**

**1 nowa wiadomość**
Nadawca: August
31-12 17:10
**:) :)**
**Znowu sie przyjaznimy kolo**

# Po feriach

Nie sprawdziły się słowa pana Tushmana. Gdy w styczniu wróciłem do szkoły, nie miałem czystego konta. Rano stanąłem przed swoją szafką i od razu stwierdziłem, że dzieje się coś bardzo dziwnego. Obok mojej ma swoją szafkę Amos, otwarty koleś, zawsze był taki, więc zagadnąłem: „Siema, kolo”, a on ledwie kiwnął głową, zamknął szafkę i poszedł. Pomyślałem sobie: no dobra, dziwne, ale trudno. Potem rzuciłem: „Hejka” do Henry’ego, a ten nawet się nie uśmiechnął, tylko spojrzał w bok.

Aha, coś jest grane. W niecałe pięć minut olało mnie dwóch kumpli. Nie będę się czepiał, postanowiłem. Spróbuję jeszcze raz. Zagadałem do Tristana i znowu żadnego odzewu. Co więcej, wyglądał na zdenerwowanego, jakby się bał do mnie odezwać.

Czyli teraz można się zarazić takim jakby trądem ode mnie, przyszło mi na myśl. To zemsta

Juliana.

Tak było przez pół dnia. Nikt się do mnie nie odzywał. Zaraz, zaraz. Nieprawda: dziewczyny traktowały mnie jak najnormalniej. No i oczywiście rozmawiał ze mną August. Obaj Maxowie też się przywitali, przez co trochę gryzło mnie sumienie, że przez te pięć lat, kiedy chodziliśmy do jednej klasy, nigdy się z nimi nie zakolegowałem.

Miałem nadzieję, że sytuacja się poprawi w przerwie na lunch, ale nic z tego. Usiadłem jak zwykle z Lucą i Isaiahem. Ponieważ zaliczali się do kategorii nie megapopularnych dzieciaków, lecz raczej wysportowanych średniaków, sądziłem, że z ich strony nic mi nie grozi. Odpowiedzieli na powitanie jak z łaski. Gdy wezwano nas po odbiór jedzenia, nie wrócili z talerzami do naszego stolika. Znaleźli miejsca gdzieś na drugim końcu stołówki, nie przy Julianie, ale niedaleko, jakby na obrzeżu popularności. Nie da się ukryć: zostałem na lodzie. Wiadomo, że w piątej klasie ludzie przesiadają się do innych stolików, ale nigdy nie przypuszczałem, że przesiądą się ode mnie.

Zostałem sam i czułem się naprawdę okropnie. Miałem wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają. Wyglądało to tak, jakbym w ogóle

nie miał kumpli. Postanowiłem odpuścić sobie lunch i pójść poczytać do biblioteki.

# Wojna

To od Charlotte uzyskałem poufne informacje, dlaczego ludzie się ode mnie odwrócili. Po ostatniej lekcji znalazłem w szafce kartkę z wiadomością:

*Spotkajmy się w sali 201 zaraz po szkole.*
*Bądź sam! Charlotte.*

Przyszła pierwsza.

– Cześć. Co tam? – spytałem.

– Cześć. – Podeszła do drzwi, spojrzała w lewo i w prawo i zamknęła je od wewnątrz na zamek. Potem odwróciła się do mnie i obgryzając paznokieć, zaczęła mówić: – Nie podoba mi się to wszystko, więc powiem ci, co się tutaj dzieje. Ale mnie nie wydaj. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Było tak: w czasie ferii Julian urządził wielką imprezę. Naprawdę wielką. W tym

samym lokalu przyjaciółka mojej siostry świętowała w zeszłym roku swoje szesnaste urodziny, zaprosiła chyba ze dwieście osób, więc wyobrażasz sobie, ile tam jest miejsca.

– No i?

– No i… przyszli prawie wszyscy z piątych klas.

– Prawie – burknąłem.

– Parę osób pominięto. Wiadomo dlaczego. Nawet rodzice tam byli. Moi też. Mama Juliana jest wiceprzewodniczącą rady szkoły, więc zna mnóstwo ludzi. No więc na tym przyjęciu Julian rozpowiadał, że uderzyłeś go, bo masz problemy psychiczne…

– Co takiego?!

– I że wywaliliby cię ze szkoły, ale twoi rodzice ubłagali dyrektora…

– Co?!

– I że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby Tushman nie kazał ci zaprzyjaźnić się z Auggiem. Julian twierdził, że zdaniem jego mamy, cytuję, nie wytrzymałeś obciążenia psychicznego i cię poniosło, koniec cytatu.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Chyba nikt tego nie kupił, co?

Wzruszyła ramionami.

– To mniej ważne. Ważniejsze jest to, że Juliana lubi dużo ludzi. Poza tym moja mama słyszała, że jego mama przyciska członków rady, żeby jeszcze raz zastanowili się, czy Auggie może chodzić do naszej szkoły.

– Uda się jej?

– Twierdzi, że szkoła Beechera nie jest integracyjna, to znaczy taka, gdzie normalne dzieci uczą się razem z dziećmi specjalnej troski.

– Bez sensu. Przecież Auggie nie jest dzieckiem specjalnej troski.

– Tak, ale mama Juliana uważa, że szkoła zaczęła działać inaczej…

– Wcale nie!

– A zauważyłeś, że zmienił się temat noworocznej wystawy plastycznej? Do tej pory piąte klasy malowały autoportrety, a w tym roku każą nam namalować siebie pod postacią zwierzęcia.

– Też mi wielka sprawa!

– Masz rację. Nie myśl, że zgadzam się z mamą Juliana. Mówię ci tylko, co ona gada.

– No już dobrze, dobrze. Strasznie się wszystko poplątało…

– Rzeczywiście. W każdym razie Julian powiedział, że jego zdaniem przyjaźń z Auggiem cię dołuje i dla własnego dobra powinieneś

trochę odpuścić. A jak stracisz wszystkich przyjaciół, to oprzytomniejesz. Wobec tego, żeby ci pomóc, on przestaje się z tobą przyjaźnić.

– Prawda jest taka, że to ja przestałem się z nim przyjaźnić!

– No tak, ale on przekonał chłopaków, żeby się z tobą nie kolegowali… dla twojego dobra… Dlatego nikt z tobą nie rozmawia.

– Ty rozmawiasz.

– Rozmawiam, bo to sprawa między chłopakami. Dziewczyny zajmują stanowisko neutralne. Oprócz tych z paczki Savanny, które chodzą z chłopakami z paczki Juliana. Pozostałe uważają, że to wojna między chłopakami.

Kiwnąłem głową. Charlotte spojrzała na mnie jakby ze współczuciem.

– Dobrze zrobiłam, że ci o tym powiedziałam?

– Jasne! W nosie mam, czy będą ze mną rozmawiać, czy nie – skłamałem. – To wszystko jest kretyńskie.

Przytaknęła, a ja po chwili spytałem:

– Czy Auggie coś o tym wie?

– Coś ty! Przynajmniej ja nic mu nie mówiłam.

– Może Summer?

– Wątpię. Słuchaj, muszę już iść. Jeszcze jedno, tak do twojej wiadomości. Moja mama uważa, że mama Juliana jest kompletną idiotką.

Powiedziała, że dla tego typu ludzi ładne zdjęcie klasowe ich dziecka jest ważniejsze niż słuszne postępowanie. Słyszałeś o tej historii z Photoshopem?

– No. Obrzydliwe.

– Zgadza się. – Kiwnęła głową. – Lecę. Chciałam tylko, żebyś wiedział, co jest grane.

– Dzięki, Charlotte.

– Jeśli się wydarzy coś nowego, to ci powiem.

Wystawiła głowę za drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie zobaczy, jak będzie wychodziła z klasy. Choć zajmowała stanowisko neutralne, chyba jednak nie chciała, żeby ją ze mną widziano.

# Zamiana stolików

Gdy następnego dnia poszliśmy na lunch, jak ten głupi usiadłem przy stoliku z Tristanem, Ninem i Pablem. Pomyślałem, że z ich strony nic mi nie grozi, bo właściwie nie są popularni, ale również nie grają na przerwie w *Lochy i smoki*, czyli mieszczą się gdzieś pośrodku. Z początku wydawało mi się, że dobrze trafiłem, bo byli miłymi chłopakami i nie zignorowali mnie, gdy podszedłem do stolika. Wszyscy powiedzieli „cześć”, choć zauważyłem, że popatrzyli na siebie. Ale potem powtórzyła się sytuacja z wczoraj: wezwano nasz stolik po odbiór jedzenia, a oni wzięli tace i skierowali się do innego stolika, po drugiej stronie sali.

Niestety, dostrzegła to pani G., która tego dnia miała dyżur w stołówce, i pognała za nimi.

– Nie wolno tak robić, chłopcy! – skrzyczała ich. – W tej szkole panują inne zwyczaje. Wracajcie do swojego stolika.

No, świetnie, na pewno mi to pomoże. Zanim z konieczności powędrowali z powrotem, zabrałem swoją tacę i szybkim krokiem odszedłem. Pani G. zawołała za mną, ale udałem, że nie słyszę, i pomaszerowałem za bufet, na drugą stronę sali.

– Jack, usiądź z nami.

To był głos Summer. Siedziała z Augustem przy ich stoliku. Oboje na mnie kiwali.

# Dlaczego nie usiadłem z Augustem pierwszego dnia szkoły

Zgadza się, jestem w stu procentach dwulicowy. Wiem o tym. Pamiętam, że pierwszego dnia szkoły zauważyłem Augusta w stołówce. Wszyscy mu się przyglądali. Robili uwagi. Wtedy ludzie jeszcze się nie przyzwyczaili do jego wyglądu, w ogóle nie wiedzieli, że jest w naszej szkole, więc byli w kompletnym szoku. Wielu bało się nawet do niego zbliżyć.

I gdy zobaczyłem go kilka kroków przed sobą, jak wchodzi do stołówki, wiedziałem, że nikt nie będzie chciał siedzieć z nim przy stoliku, a sam też nie mogłem się do tego zmusić. Spędziłem z nim cały ranek, bo mieliśmy dużo wspólnych lekcji, i chyba chciałem jakoś normalnie, na luzie pobyć z innymi. Widząc, że August kieruje się do

stolika po drugiej stronie bufetu, celowo wybrałem stolik jak najdalej od tamtego. Przysiadłem się do Isaiaha i Luki, choć w ogóle ich nie znałem, i przy lunchu cały czas rozmawialiśmy o baseballu, a potem graliśmy w baseball na przerwie. Od tego dnia codziennie siadałem razem z nimi.

Gdy usłyszałem, że Summer siedzi z Augustem, byłem zdziwiony, bo wiedziałem na bank, że Tushman nie prosił jej o zajęcie się Auggiem. W takim razie robiła to tylko dlatego, że chciała być miła, co moim zdaniem świadczyło o dużej odwadze.

No i teraz wylądowałem przy stoliku Summer i Augusta, którzy jak zawsze byli wobec mnie najzupełniej w porządku. Wprowadziłem ich w sytuację, powtarzając wszystko, czego się dowiedziałem od Charlotte, oprócz tego, że „nie wytrzymałem obciążenia psychicznego”, że mama Juliana uważa Auggiego za dziecko specjalnej troski i chce zmienić decyzję rady szkoły. Tak naprawdę powiedziałem im chyba tylko to, że Julian urządził imprezę podczas ferii i nastawił wszystkich przeciwko mnie.

– Dziwne uczucie – zauważyłem – gdy ludzie nie odzywają się do ciebie, udają, że nie istniejesz.

Auggie lekko się uśmiechnął.

– Coś takiego! – wtrącił z ironią. – Witaj w moim świecie.

# Stronnictwa

– Tak wygląda podział – oznajmiła Summer podczas lunchu następnego dnia.

Rozłożyła kartkę papieru, na której były trzy kolumny imion.

| ***Po stronie Jacka*** | ***Po stronie Juliana*** | ***Neutralni*** |
|---|---|---|
| *August* | *Miles* | *Malik* |
| *Leo* | *Henry* | *Remo* |
| *Max G.* | *Amos* | *Jose* |
| *Max W.* | *Simon* | *Leif* |
| | *Tristan* | *Ram* |
| | *Pablo* | *Ivan* |
| | *Nino* | *Russell* |
| | *Isaiah* | |
| | *Luca* | |
| | *Jake* | |
| | *Toland* | |

*Roman*
*Ben*
*Emmanuel*
*Zeke*
*Tomaso*

– Skąd to masz? – zapytał August, patrząc mi przez ramię, gdy oglądałem listę.

– Od Charlotte – odpowiedziała szybko Summer. – Zrobiła tę listę i dała mi ją na ostatniej lekcji. Uważa, że powinieneś wiedzieć, Jack, kto stoi po twojej stronie.

– Niewielu, trzeba przyznać – stwierdziłem.

– Jest Leo. Są obaj Maxowie – próbowała mnie pocieszyć.

– Super. Za mną są frajerzy.

– Czepiasz się – fuknęła Summer. – Swoją drogą, Charlotte cię lubi.

– Wiem.

– Umówisz się z nią?

– Chyba żartujesz! Nie mogę, skoro wszyscy zachowują się tak, jakbym zaraził się trądem.

Natychmiast zorientowałem się, że palnąłem głupstwo. Zapadła niezręczna cisza. Spojrzałem na Auggiego.

– Spoko – powiedział. – Wiedziałem o tym.

– Przykro mi, kolo.

– Nie pomyślałbym, że nazywają to trądem. Raczej serową zgagą albo jakoś podobnie.

– Jak w *Dzienniku cwaniaczka* – skojarzyłem natychmiast i kiwnąłem głową.

– W gruncie rzeczy „trąd” brzmi fajniej – zażartował. – Jakby człowiek roznosił zarazki brzydoty.

– Moim zdaniem to okropne – odezwała się Summer, ale Auggie tylko wzruszył ramionami i wypił duży łyk soku z kartonika.

– W każdym razie nie umówię się z Charlotte – oświadczyłem.

– Moja mama uważa, że w naszym wieku nie chodzi się jeszcze na randki – powiedziała Summer.

– A gdyby Leo chciał się z tobą umówić? – zapytałem. – Zgodziłabyś się?

Zrobiła zdziwioną minę.

– Gdzie tam!

– Tylko pytam. – Parsknąłem śmiechem.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– A dlaczego? Coś wiesz?

– Nic nie wiem. Tak się zapytałem.

– Właściwie zgadzam się z mamą. Też myślę, że jesteśmy za młodzi na randki. To znaczy nie rozumiem, po co się śpieszyć.

– Masz rację – wtrącił August. – Choć trochę szkoda tracić okazję, gdy rzuca mi się w ramiona tyle lasek.

Zabrzmiało to tak zabawnie, że zaśmiałem się i wytrysnęło mi nosem mleko, które właśnie piłem, a wtedy wszyscy troje ryknęliśmy śmiechem.

# Dom Augusta

Była już połowa stycznia, a jeszcze nie postanowiliśmy, co zrobimy na wystawę naukową. Odwlekałem decyzję pewnie dlatego, że po prostu nie chciało mi się tym zajmować. W końcu August powiedział: „Musimy się do tego zabrać, kolo”, i któregoś dnia po lekcjach poszliśmy do niego do domu.

Byłem trochę spięty, bo nie wiedziałem, czy August mówił swoim rodzicom o – jak to nazywaliśmy między sobą – zajściu w Halloween. Okazało się, że jego taty nie było w domu, a mama właśnie wychodziła. Rozmawiałem z nią dwie sekundy, ale jestem całkiem pewny, że Auggie w ogóle jej o tym nie wspomniał. Była superfajna i sympatyczna.

Kiedy wszedłem do pokoju Auggiego, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

– O rany, Auggie, jesteś ciężko uzależniony od *Gwiezdnych wojen* – powiedziałem.

Na półkach stało mnóstwo miniaturek, na ścianie wisiał ogromny plakat *Imperium kontratakuje*.

– No jestem! – Roześmiał się.

Usiadł na krześle na kółkach, które stało obok biurka, a ja klapnąłem na poduchę wypełnioną kulkami, leżącą w rogu pokoju. Chwilę później przyczłapał do mnie pies.

– To on był na kartce świątecznej! – zawołałem, wyciągając rękę i pozwalając, by ją obwąchał.

– Ona – poprawił mnie August. – Daisy. Możesz ją pogłaskać. Nie gryzie.

Wystarczyło parę ruchów ręką, a już leżała na grzbiecie.

– Chce, żebyś ją podrapał po brzuszku – wyjaśnił August.

– Jeszcze nie widziałem takiego słodziaka – stwierdziłem, drapiąc jej brzuch.

– Ja też! Najlepszy pies na świecie. Prawda, dziewczynko?

Słysząc głos Augusta, Daisy natychmiast zamerdała i podreptała do niego.

– Dobra dziewczynka, dobra dziewczynka – powtarzał August, a pies lizał go po twarzy.

– Też chciałbym mieć psa, ale rodzice uważają, że nasze mieszkanie jest za małe. – Gdy

rozglądałem się po pokoju, August włączył komputer. – O, masz xboxa 360. Zagramy?

– Mieliśmy się zastanowić, co zrobimy na wystawę naukową.

– Masz grę *Halo*?

– No pewnie.

– Zagrajmy… zgódź się.

August zalogował się na stronie szkoły i zaczął przewijać podstronę pani Rubin, szukając spisu zadań na wystawę naukową.

– Widzisz stamtąd? – zapytał.

Westchnąłem i usiadłem obok niego na stołku.

– Fajny iMac – powiedziałem.

– A ty jaki masz komputer?

– Wiesz, kolo, ja nie mam nawet swojego pokoju, a co dopiero komputera. Rodzice używają przedpotopowego della, który ledwo zipie.

– Popatrz, może to? – Odwrócił monitor w moją stronę. Szybko przebiegłem wzrokiem po ekranie. – „Jak zrobić zegar słoneczny” – przeczytał August. – Fajny pomysł.

Odchyliłem się do tyłu i zaproponowałem:

– A nie możemy zrobić wulkanu?

– Wszyscy robią wulkan.

– Pewnie. Bo to proste. – Znowu zacząłem głaskać Daisy.

– A może: „Jak wyhodować kryształy soli”.

– Nudne – oświadczyłem. – Dlaczego nazwałeś ją Daisy?

Nie odrywając wzroku od ekranu, powiedział:

– To był pomysł mojej siostry. Ja chciałem, żeby się nazywała Darth. Tak naprawdę jej pełne oficjalne imię brzmi Darth Daisy, ale go nie używamy.

– Darth Daisy! Ale śmieszne! Cześć, Darth Daisy! – zwróciłem się do niej, a ona znowu przewróciła się na grzbiet, żeby podrapać ją po brzuszku.

– No dobra, bierzemy to – oznajmił August, wskazując obrazek przedstawiający stos ziemniaków, z których wystają druty. – „Jak zrobić organiczny akumulator z ziemniaków”. Rewelacja. Tu jest napisane, że można podłączyć do niego lampę. Kartofle z prądem. Co powiesz?

– Ale to wygląda na strasznie trudne. Przecież wiesz, że jestem kiepski z przedmiotów ścisłych.

– Nie gadaj, wcale nie jesteś.

– Jestem! Z ostatniego sprawdzianu dostałem pięćdziesiąt cztery punkty, więc jestem kiepski!

– Nieprawda! Słabo napisałeś, bo wtedy wciąż się kłóciliśmy i ci nie pomagałem. Ale teraz mogę ci pomóc. To ciekawe zadanie. Wybierzmy je.

– No dobra, niech ci będzie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzała nastolatka z falującymi długimi ciemnymi włosami. Na mój widok zrobiła zdziwioną minę.

– O, cześć – odezwała się do nas obu.

– Cześć, Via – rzucił August i przeniósł wzrok z powrotem na ekran. – Poznajcie się. To jest Jack. To jest Via.

– Cześć. – Kiwnąłem głową na powitanie.

– Cześć – odrzekła, patrząc na mnie z uwagą.

Gdy August wymienił moje imię, natychmiast się zorientowałem, że wiedziała od niego, co o nim wygadywałem. Świadczyło o tym jej spojrzenie, które również mówiło mi, że przypomniała sobie zdarzenie sprzed lodziarni przy Amesfort Avenue wiele lat temu.

– Auggie, mogę tu przyprowadzić mojego znajomego? Chcę, żebyś go poznał. Będzie za kilka minut – powiedziała.

– To twój nowy chłopak? – spytał żartobliwym tonem August.

Via kopnęła spód krzesła, na którym siedział.

– Tylko zachowaj się porządnie – dodała, wychodząc z pokoju.

– Niezła laska – stwierdziłem.

– Wiem.

– Pewnie mnie nie znosi, tak? Powiedziałeś jej o zajściu w Halloween?

– Uhm.

– Uhm, nie znosi mnie, czy uhm, powiedziałeś jej?

– I jedno, i drugie.

# Chłopak Vii

Po dziesięciu minutach Via przyprowadziła tego chłopaka. Miał na imię Justin. Wyglądał czadowo: długawe włosy, okrągłe okularki. Trzymał w ręku duży, długi srebrzysty futerał, spiczasty z jednej strony.

– To mój młodszy brat August, a to Jack – przedstawiła nas.

– Cześć, chłopaki – przywitał się, podając nam rękę. Chyba był trochę speszony. Pewnie dlatego, że pierwszy raz widział Augusta. Czasem zapominam, że to może być szokujące. – Fajny pokój.

– Jesteś chłopakiem Vii? – odezwał się z figlarną miną August.

Via naciągnęła mu czapkę na oczy.

– Co masz w futerale? – zapytałem. – Karabin maszynowy?

– Cha, cha, niezłe! – Parsknął śmiechem. – To tylko… hm… skrzypce.

– Justin gra na skrzypcach – wyjaśniła Via. – W zespole zydeco.

– Co to takiego? – zdziwił się August i popatrzył na mnie.

– Rodzaj muzyki kreolskiej – powiedział Justin.

– Co to znaczy „kreolskiej”? – wtrąciłem.

– Lepiej mów ludziom, że masz tam karabin maszynowy – poradził mu August – wtedy nikt nie będzie zawracał ci głowy.

– Dobra rada. – Justin kiwnął głową i założył włosy za uszy, a potem zwrócił się do mnie: – To muzyka, którą grają w Luizjanie.

– Pochodzisz z Luizjany? – zapytałem.

– Nie. – Poprawił okularki. – Jestem z Brooklynu.

Nie wiedzieć czemu, zachciało mi się śmiać, gdy to usłyszałem.

– Chodź, Justin – powiedziała Via, ciągnąc go za rękę. – Posiedzimy u mnie.

– Zobaczymy się później, chłopaki.

– Cześć.

– Cześć.

Gdy wyszli, Auggie spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Jestem z Brooklynu – powiedziałem i dostaliśmy napadu histerycznego śmiechu.

# Część piąta

JUSTIN

*Czasem wydaje mi się, że mam taką wielką głowę,*
*bo pełno w niej marzeń.*

Słowa Johna Merricka z dramatu
*Człowiek-Słoń* Bernarda Pomerance’a

# Brat Olivii

gdy pierwszy raz widzę młodszego brata olivii, muszę przyznać, że jestem kompletnie zaskoczony.

chociaż olivia mnie uprzedziła, powiedziała o jego „syndromie”, nawet opisała twarz. ale mówiła również o mnóstwie operacji, więc pewnie przypuszczałem, że teraz chłopak wygląda w miarę normalnie. no bo na przykład po operacji plastycznej u dziecka, które urodziło się z rozszczepem podniebienia, zostaje tylko niewielka szrama nad wargą. myślałem, że ma gdzieniegdzie blizny, a tu raptem widzę taką twarz. z całą pewnością nie sądziłem, że zobaczę małego chłopca w bejsbolówce, który teraz siedzi przede mną.

właściwie siedzi przede mną dwóch chłopców: jeden wygląda całkiem normalnie, ma kręcone jasne włosy, nazywa się jack; drugi to auggie.

myślę, że umiem ukrywać zdziwienie. przynajmniej taką mam nadzieję. zdziwienie to jedno z doznań, które trudno udawać – trudno reagować zdziwieniem, gdy się nie jest zdziwionym, i trudno nie okazać zdziwienia, gdy się jest zdziwionym.

ściskam mu rękę, potem temu drugiemu. nie chcę koncentrować się na jego twarzy. fajny pokój, mówię.

jesteś chłopakiem vii? – odzywa się auggie. chyba z uśmiechem.

olivia naciąga mu na oczy bejsbolówkę.

co masz w futerale? – pyta blondynek, jak wielu przed nim. chwilę rozmawiamy o zydeco, a potem via bierze mnie za rękę i wyprowadza z pokoju. gdy zamykamy za sobą drzwi, rozlega się śmiech chłopców.

jestem z brooklynu! – mówi jeden z nich.

olivia przewraca oczami i się uśmiecha. posiedzimy u mnie, mówi.

chodzimy ze sobą dwa miesiące. spodobała mi się od pierwszej chwili, gdy tylko usiadła przy naszym stoliku w stołówce. nie mogłem oderwać od niej oczu. piękna dziewczyna, ma śniadą skórę i najbłękitniejsze oczy, jakie w życiu widziałem. z początku zachowywała się tak, jakby zależało jej tylko na przyjaźni. chyba

nieświadomie wysyła sygnały mówiące: trzymaj się z daleka, nawet się nie wysilaj. nie flirtuje jak inne dziewczyny. gdy rozmawia z tobą, patrzy ci prosto w oczy, jakby rzucała wyzwanie, więc ja też patrzyłem jej prosto w oczy, jakbym odpowiadał na wyzwanie, a potem zapytałem, czy się ze mną umówi, i się zgodziła, co było super.

via jest świetną dziewczyną, uwielbiam z nią być.

o auguście powiedziała mi dopiero na trzeciej randce. opisując jego twarz, użyła chyba określenia „nieprawidłowości czaszkowo-twarzowe”, a może „anomalie czaszkowo-twarzowe”. jestem pewny, że nie użyła określenia „powykrzywiana twarz”, bo zapamiętałbym.

no i co pomyślałeś? – pyta mnie z niepokojem, ledwie weszliśmy do jej pokoju. jesteś zszokowany?

nie, kłamię bez zająknienia.

via uśmiecha się i odwraca głowę. na pewno jesteś.

nie jestem, zapewniam ją. on wygląda dokładnie tak, jak mówiłaś.

kiwa głową i opada na łóżko. to sympatyczne, że wciąż ma na łóżku tyle pluszaków. bezwiednie

bierze z gromadki zabawek misia polarnego i sadza sobie na kolanach.

siadam na krześle na kółkach, przy biurku. w jej pokoju jest idealny porządek.

gdy byłam mała, mówi, często zdarzało się, że dzieci przychodziły bawić się u mnie tylko raz, więcej nie chciały. bardzo często tak było. niektóre koleżanki nawet wykręcały się od przyjścia na moje urodziny, bo on był w domu. nie powiedziały mi tego prosto w oczy, ale jakoś to do mnie docierało. są ludzie, którzy nie wiedzą, jak się zachować wobec auggiego. rozumiesz?

kiwam głową.

to nie znaczy, że są źli, dodaje, oni się zwyczajnie boją. no bo, nie ma co ukrywać, on wygląda trochę strasznie, prawda?

chyba tak, bąkam.

na pewno ci to nie przeszkadza? – pyta mnie słodko. nie dostajesz dreszczy czy gęsiej skórki?

nic takiego, mówię z uśmiechem.

kiwa głową i spuszcza wzrok na misia. nie wiem, czy mi uwierzyła, ale po chwili całuje misia w nos i z lekkim uśmiechem rzuca go do mnie. to chyba oznacza, że mi uwierzyła, a przynajmniej chce wierzyć.

# Walentynki

na walentynki daję olivii naszyjnik z serduszkiem i dostaję od niej torbę kurierską, którą sama zrobiła ze starych dyskietek. wymyśla rewelacyjne rzeczy. kolczyki z płytek do obwodów elektronicznych. sukienki z T-shirtów. torby ze starych dżinsów. jest bardzo twórcza. mówię jej, że powinna zostać artystką, ale ona zamierza być naukowcem, ni mniej, ni więcej, tylko genetykiem. przypuszczam, że chce wynaleźć lek dla takich ludzi jak jej brat.

obmyślamy, kiedy i gdzie poznam jej rodziców. spotkanie następuje wreszcie w sobotę wieczorem w meksykańskiej restauracji przy amesfort avenue, niedaleko jej domu.

przez cały dzień jestem zdenerwowany. gdy się denerwuję, mam tiki. to znaczy tiki mam stale, choć nie takie jak w dzieciństwie: teraz mocno mrugam raz po raz albo od czasu do czasu wyciągam głowę do przodu. kiedy jestem

zestresowany – a spotkanie z jej rodzicami niewątpliwie działa na mnie stresująco – tiki się nasilają.

gdy zjawiam się w restauracji, wszyscy są już na miejscu. tato vii wstaje i podajemy sobie ręce, mama bierze mnie w ramiona, z auggiem witam się, przybijając żółwika, olivię całuję w policzek i w końcu siadam przy stoliku.

miło cię poznać, justinie! dużo o tobie słyszeliśmy!

jej rodzice są przemili. zachowują się tak, że od razu czuję się swobodnie. kelner przynosi nam karty i w pewnej chwili jego wzrok pada na augusta. widzę, że zmienia się wyraz jego twarzy, ale udaję, że niczego nie zauważam. zdaje się, że tego wieczoru wszyscy pozornie nie dostrzegamy pewnych rzeczy: miny kelnera, moich tików, tego, że august kruszy chipsy tortilla, a potem zgarnia je ze stołu łyżką i zjada. olivia się do mnie uśmiecha. wie, co się dzieje. widzi minę kelnera. moje tiki też. olivia widzi wszystko.

przez cały wieczór rozmawiamy i żartujemy. rodzice olivii pytają o moje zainteresowania muzyczne, o to, jak zacząłem grać na skrzypcach. mówię im, że dawniej grałem na skrzypcach klasycznych, z czasem wciągnęła mnie muzyka ludowa z appalachów, a potem zydeco. słuchają

bardzo uważnie, z autentycznym zainteresowaniem. chcą przyjść na koncert naszego zespołu, więc mam ich zawiadomić o występie.

szczerze mówiąc, nie jestem przyzwyczajony do tego, że poświęca mi się tak dużo uwagi. moi rodzice nie mają pojęcia, jak układam sobie życie. w ogóle o to nie pytają. nie prowadzimy takich rozmów jak ta. pewnie nawet nie wiedzą, że dwa lata temu zamieniłem swoje skrzypce barokowe na hardingfele, ośmiostrunowe skrzypki norweskie.

po kolacji idziemy do domu olivii na lody. w drzwiach wita nas ich pies. stary. bardzo sympatyczny. tyle że zabrudził wymiotami cały korytarz. mama olivii biegnie do kuchni po ręczniki papierowe, a tato bierze na ręce psa jak niemowlę.

co ci jest, dziewczynko? – pyta, a pies jest rozanielony, wywiesza język, merda ogonem, macha łapami w powietrzu na wszystkie strony.

tato, powiedz justinowi, gdzie znalazłeś daisy, mówi olivia.

no, powiedz! – włącza się auggie.

ojciec olivii uśmiecha się i siada na krześle, wciąż trzymając psa w ramionach. widać, że

opowiadał tę historię wiele razy, ale wszyscy i tak chętnie jej słuchają.

no więc pewnego dnia idę ze stacji metra do domu i widzę bezdomnego. nie znam człowieka, nigdy go nie widziałem w naszej okolicy. pcha wózek spacerowy, a w nim ma kundelka ze zwisającymi uszami. gość podchodzi do mnie i mówi: kupi pan psa? za dziesięć dolców. wyjmuję z portfela dwudziestkę i dostaję tę sunię. wierz mi, justinie, cuchnęła niewyobrażalnie! nie potrafię tego opisać! od razu zaprowadziłem ją do weterynarza przy tej samej ulicy, a potem zabrałem do domu.

nawet nie zadzwoniłeś! – wykrzykuje mama olivii, wycierając podłogę. nie zapytałeś, czy zgadzam się, żebyś przyprowadził do domu psa jakiegoś bezdomnego faceta.

sunia patrzy na mamę olivii, jakby rozumiała wszystko, co się o niej mówi. jest zadowolonym psem, chyba wie, że miała dużo szczęścia, trafiając do tego domu.

w pewnym sensie wiem, co ona czuje. podoba mi się rodzina olivii. często się śmieje.

moja rodzina jest zupełnie inna. rodzice się rozwiedli, gdy miałem cztery lata, i nie mogą się znieść. dorastałem, mieszkając pół tygodnia u ojca w chelsea i pół u mamy w brooklyn

heights. mam przyrodniego brata, który jest starszy ode mnie o pięć lat i z trudem przypomina sobie o moim istnieniu. jak sięgnę pamięcią, miałem wrażenie, że rodzice nie mogą się doczekać, kiedy dorosnę i będę samodzielny. „idź sam do sklepu”. „tu masz klucze do mieszkania”. ciekawe, że jest słowo „nadopiekuńczy”, używane w odniesieniu do niektórych rodziców, ale nie ma słowa o przeciwstawnym znaczeniu. jak się mówi o rodzicach, którzy niedostatecznie opiekują się dziećmi? mało troskliwi? zajęci sobą? nieudani? każde z tych określeń pasuje.

w domu olivii wszyscy ciągle mówią sobie nawzajem, że się kochają.

nie przypominam sobie, kiedy w moim domu ktoś mi to powiedział.

gdy wychodzę stamtąd, nie mam już tików.

# Nasze miasto

podczas tegorocznego pokazu wiosennego wystawiamy sztukę wildera *nasze miasto*. olivia prowokuje mnie, żebym się starał o główną rolę, reżysera, i jakimś trafem ją dostaję. czysty przypadek. jeszcze nigdy nie grałem głównej roli. mówię olivii, że przynosi mi szczęście. ona nie jest, niestety, obsadzona w głównej roli kobiecej, emily gibbs. otrzymuje ją dziewczyna z różowymi włosami, która ma na imię miranda. olivia dostaje małą rólkę i oprócz tego dubluje mirandę. w gruncie rzeczy jestem bardziej zawiedziony niż olivia. ona przyjmuje to niemal z ulgą. twierdzi, że nie jest zachwycona, gdy ludzie jej się przyglądają. brzmi to trochę dziwnie w ustach takiej ślicznej dziewczyny. coś mi mówi, że celowo zawaliła przesłuchanie.

pokaz wiosenny odbywa się pod koniec kwietnia. teraz jest połowa marca, a więc mam niecałe sześć tygodni na nauczenie się na pamięć

roli. do tego dochodzą próby. no i jeszcze gra z zespołem, egzaminy semestralne i spotkania z olivią. zapowiada się ciężkie sześć tygodni, to pewne. pan davenport, od zajęć teatralnych, już szaleje, a nim odbędzie się premiera, z pewnością doprowadzi do szaleństwa nas. doszły mnie słuchy, że zamierzał wystawić *człowieka-słonia*, ale rozmyślił się w ostatniej chwili i wybrał *nasze miasto*. ta zmiana spowodowała, że mamy tydzień mniej na próby.

nie jestem zachwycony perspektywą wariactwa, jakie czeka mnie przez najbliższe półtora miesiąca.

# Biedronka

siedzę z olivią na schodkach przed jej domem. uczę się tekstu, a ona mi w tym pomaga. jest ciepły marcowy wieczór, prawie jak w lecie. niebo wciąż jest jasnobłękitne, ale słońce świeci nisko i na chodnikach kładą się długie cienie.

wypowiadam swoją kwestię: „tak, słońce wzeszło i zaszło ponad tysiąc razy. letnie żary i zimowe mrozy ukruszyły nieco wierzchołków gór, a deszcze zmyły trochę brudu z ziemi. dzieci, które nie porodziły się jeszcze trzy lata temu, zaczynają dzisiaj składać prawidłowe zdania; a spośród ludzi, którzy wówczas uważali się za zupełnie młodych i dziarskich, niektórzy spostrzegają, że serce zaczyna nieco trzepotać się im w piersiach, kiedy, po dawnemu, upierają się biec pędem w górę po schodach”[13]…

kręcę głową. nie pamiętam, co jest dalej.

„tyle rzeczy może przydarzyć się w przeciągu tysiąca dni”, podpowiada mi olivia, spoglądając

w scenariusz.

tak, tak. kręcę głową i wzdycham. jestem wykończony, olivia. jak ja, do diabła, zapamiętam cały ten tekst?

dasz radę, mówi z przekonaniem. bierze w złożone dłonie biedronkę, która pojawia się nie wiadomo skąd. widzisz? dobry znak, stwierdza, powoli unosząc rękę i pokazując mi biedronkę wędrującą na tej od spodu.

dobry znak albo ładna pogoda, podśmiewam się.

na pewno dobry znak, powtarza, przyglądając się, jak biedronka zmierza w stronę jej nadgarstka. na widok biedronki powinno się wypowiadać życzenie. Gdy byliśmy mali, tak robiliśmy z auggiem, widząc świetlika. Znowu bierze biedronkę w złożone dłonie. no, pomyśl życzenie. zamknij oczy.

posłusznie zamykam oczy i po długiej chwili otwieram.

pomyślałeś życzenie? – pyta olivia.

uhm.

uśmiecha się, otwiera dłonie, a biedronka, jak na zawołanie, rozkłada skrzydła i odfruwa.

nie chcesz wiedzieć, o czym pomyślałem? – całuję olivię.

nie, mówi wstydliwie i patrzy w niebo, które właśnie przybrało kolor jej oczu. też wypowiedziałam życzenie, dodaje tajemniczo.

jest tyle rzeczy, których olivia może pragnąć, że nie wiem, co to mogło być.

# Na przystanku autobusowym

mama olivii, auggie, jack i daisy wychodzą z domu, akurat gdy żegnam się z olivią długim przyjemnym pocałunkiem. sytuacja jest trochę krępująca.

cześć, młodzi, odzywa się mama olivii, udając, że niczego nie widzi, ale chłopcy chichoczą pod nosem.

dzień dobry pani.

mów mi isabel, powtarza już chyba trzeci raz, więc naprawdę będę musiał zwracać się do niej po imieniu.

zbieram się do domu, oznajmiam, jakby to miało coś wyjaśnić.

idziesz do metra? – pyta, schodząc ze schodków za psem, który trzyma w pysku gazetę. mógłbyś odprowadzić jacka na przystanek autobusowy?

nie ma sprawy.

w porządku, jack? – zwraca się do chłopca, na co ten odpowiada wzruszeniem ramion. zostań z nim do przyjazdu autobusu, dobrze?

jasne!

wszyscy mówią do widzenia, a olivia puszcza do mnie oko.

nie musisz czekać ze mną na autobus, odzywa się jack, gdy idziemy ulicą. ciągle jeżdżę sam autobusami. mama auggiego jest nadopiekuńcza.

ma niski chropowaty głos, jak taki mały twardziel. nawet przypomina tych młodocianych łobuziaków z czarno-białych filmów, brakuje mu tylko czapki gazeciarza i spodni zapinanych pod kolanami.

na przystanku sprawdzamy rozkład jazdy: autobus powinien przyjechać za osiem minut.

poczekam z tobą, mówię.

jak chcesz, odpowiada jack, wzruszając ramionami. pożyczysz mi dolara na gumę?

wyjmuję z kieszeni pieniądze i patrzę, jak idzie do sklepu spożywczego na rogu, po drugiej stronie ulicy. mam wrażenie, że ten dzieciak jest za mały, żeby sam chodził po mieście. zaraz przypomina mi się, że ja też byłem taki mały, gdy sam jeździłem metrem. dużo za mały. gdy zostanę ojcem, będę nadopiekuńczy. jestem tego

pewny. moje dzieci muszą wiedzieć, że się o nie troszczę.

po jakichś dwóch minutach czekania na jacka widzę trzech chłopaków, którzy idą ulicą z naprzeciwka. mijają sklep spożywczy, ale jeden zerka do środka i szturcha pozostałych, a wtedy cała trójka cofa się kilka kroków i zagląda do sklepu. widzę, że coś kombinują. trącają się łokciami i rechoczą. jeden jest wzrostu jacka, dwaj pozostali są dużo wyżsi, sprawiają wrażenie nastolatków. chowają się za straganem z owocami stojącym przed sklepem, a gdy jack wychodzi, idą za nim, udając, że zbiera im się na wymioty. na rogu jack odwraca się, żeby zobaczyć, co to za jedni, a wtedy oni uciekają, przybijając sobie nawzajem piątkę i zanosząc się śmiechem. małe gnojki.

jack jakby nigdy nic przechodzi przez ulicę i staje obok mnie na przystanku, żując balonówę.

to twoi koledzy? – pytam w końcu.

bez żartów, mamrocze. nadrabia dobrą miną, ale widzę, że jest zgnębiony. głupki z mojej szkoły, julian i jego dwaj goryle, henry i miles.

często tak ci dokuczają?

nie, to było pierwszy raz. w szkole by tego nie zrobili ze strachu, że ich wyrzucą. julian mieszka

dwie przecznice stąd, więc po prostu miałem niefart, że się na niego natknąłem.

aha. kiwam głową.

nie ma się co przejmować, zapewnia mnie jack.

obaj odwracamy się machinalnie, żeby zobaczyć, czy nadjeżdża autobus.

między nami jest coś w rodzaju wojny, dodaje po chwili, jakby to miało być ostatecznym wyjaśnieniem sytuacji, a następnie wyciąga z kieszeni dżinsów i wręcza mi zmiętą kartkę z kołonotatnika. rozkładam ją i widzę trzy kolumny imion. on nastawił przeciwko mnie wszystkich uczniów z piątych klas, mówi jack.

nie wszystkich, stwierdzam, spoglądając na spis.

wsuwa do mojej szafki kartki, na których jest napisane na przykład: wszyscy cię nienawidzą.

powinieneś powiedzieć o tym waszej pani.

jack patrzy na mnie jak na idiotę i kręci głową.

poza tym jest sporo neutralnych. wskazuję trzecią kolumnę. jeżeli przeciągniesz ich na swoją stronę, siły trochę się wyrównają.

na pewno ich przeciągnę, mówi z ironią.

dlaczego nie?

znowu patrzy na mnie tak, jakby nigdy nie rozmawiał z większym głupkiem.

no co?

kręci głową, widząc, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem.

powiedzmy, że przyjaźnię się z kimś, kto raczej nie jest najpopularniejszy w szkole.

wtedy dociera do mnie, kogo ma na myśli: augusta. cała sprawa wynikła stąd, że się z nim przyjaźni. chłopak nie chce powiedzieć mi tego wprost, bo chodzę z siostrą augusta. jasne i logiczne.

widzimy nadjeżdżający autobus.

nie daj się, mówię, oddając mu kartkę. w piątej i szóstej klasie podstawówki przechodzi się najgorsze, potem jest już tylko lepiej. wszystko się ułoży, zobaczysz.

wzrusza ramionami i wkłada kartkę do kieszeni.

wsiada do autobusu, machamy do siebie na do widzenia i patrzę, jak odjeżdża.

gdy podchodzę do stacji metra, dwie przecznice dalej, przy sąsiadującej z nią budce z bajglami widzę trójkę tamtych chłopaków.

wciąż rechoczą i krzywią się z pogardą. wyglądają jak banda gwałcicieli. chłopaczkowie

z zamożnych domów, ubrani w drogie dżinsy rurki, zgrywają twardych kolesiów.

nie wiem, co mnie napada: zdejmuję okulary, chowam je do kieszeni i wsadzam pod pachę futerał ze skrzypcami, spiczastym końcem do przodu. podchodzę do tych trzech, marszcząc twarz i robiąc groźną minę. oni patrzą na mnie, uśmiechy zamierają im na ustach, rożki z lodami się przechylają.

hej, wy, macie się odczepić od jacka, cedzę słowa przez zęby, naśladując clinta eastwooda. spróbujcie jeszcze raz z nim zadrzeć, a pożałujecie. dla większego efektu poklepuję futerał.

dotarło?

cała trójka kiwa głowami. lody ciekną im po rękach.

świetnie. przeszywam ich zimnym spojrzeniem, po czym odwracam się i zbiegam do stacji metra, przeskakując po dwa stopnie.

# Na próbie

im bliżej premiery, tym więcej czasu zajmują mi przygotowania. muszę zapamiętać dużo tekstu. najgorsze są te długie monologi, ale pomogła mi olivia, podsuwając doskonały pomysł. wychodzę na scenę ze skrzypcami i podgrywam sobie, wygłaszając kwestię. tego nie ma w sztuce, ale panu davenportowi spodobało się, że reżyser brzdąka na skrzypkach, bo to wprowadza dodatkowy element ludowości. mnie też pasuje, bo gdy chcę mieć chwilę, żeby przypomnieć sobie tekst, gram kawałek tradycyjnej piosenki amerykańskiej *radość żołnierza*.

podczas prób bliżej poznałem ludzi występujących w przedstawieniu, zwłaszcza dziewczynę z różowymi włosami, która gra emily. okazuje się, że wcale nie jest taka zarozumiała, jak sądziłem, patrząc na ludzi z jej paczki. chodzi z takim mięśniakiem, ważną

figurą w szkolnej drużynie sportowej. Z tym światem nie mam nic wspólnego, więc jestem zaskoczony, gdy okazuje się, że ta dziewczyna, miranda, jest dość sympatyczna.

pewnego dnia siedzimy na podłodze za kulisami i czekamy, aż technicy naprawią główny reflektor.

jak długo chodzicie ze sobą, ty i olivia? – pyta ni stąd, ni zowąd miranda.

ze cztery miesiące.

poznałeś jej brata? – rzuca od niechcenia.

znasz brata olivii? – jestem tak zaskoczony, że nie udaje mi się tego ukryć.

via ci nie powiedziała? kiedyś się przyjaźniłyśmy. znam auggiego od niemowlaka.

a rzeczywiście, pamiętam, wspomniała coś. staram się nie dać jej poznać, że olivia nic mi o tym nie mówiła. staram się nie okazać zdziwienia, gdy słyszę to „via”. tylko rodzina tak ją nazywa, a tu okazuje się, że również ta dziewczyna z różowymi włosami, obca osoba, jak mi się wydawało.

miranda śmieje się, kręcąc głową, ale tego nie komentuje. po chwili krępującego milczenia wyciąga z torebki portfel, wyjmuje kilka zdjęć i jedno z nich mi podaje. widzę małego chłopca

w parku w słoneczny dzień, jest w szortach i T-shircie, głowę zakrywa mu hełm kosmonauty.

tego dnia był okropny upał, opowiada miranda, patrząc z uśmiechem na zdjęcie. ale on za żadne skarby nie chciał zdjąć hełmu. nosił go na okrągło przez dwa lata, zimą i latem, nawet na plaży. to było wariactwo.

uhm, bąkam pod nosem. widziałem zdjęcia w domu olivii.

ja dałam mu ten hełm, mówi miranda jakby z dumą. zabiera zdjęcie i ostrożnie wkłada do portfela.

super!

jak się z tym czujesz? – pyta, spoglądając na mnie.

z czym?

unosi brwi, jakby podejrzewała, że nie jestem szczery.

wiesz, o co mi chodzi. wypija duży łyk wody z butelki i dodaje: co tu dużo gadać, świat nie był łaskawy dla auggiego pullmana.

# Mały ptaszek

dlaczego mi nie powiedziałaś, że ty i miranda navas byłyście przyjaciółkami? – pytam olivię następnego dnia. jestem na nią naprawdę zły.

to nic ważnego, broni się i patrzy na mnie tak, jakbym wydziwiał.

to ważne, upieram się. wyszedłem na idiotę. jak mogłaś trzymać to w tajemnicy? udawałaś, że w ogóle jej nie znasz.

bo nie znam, odpala błyskawicznie. nie wiem, kim jest ta cheerleaderka z różowymi włosami. dziewczyna, którą znałam, była kompletną wariatką i kolekcjonowała lalki z serii amerykańska dziewczynka.

och, przestań, olivia.

to ty przestań!

mogłaś chociaż dać do zrozumienia, mówię spokojnie, udając, że nie widzę wielkiej jak groch łzy, która nagle spływa jej po policzku.

olivia wzrusza ramionami, próbując powstrzymać jeszcze większe łzy.

już dobrze, nie gniewam się. staram się załagodzić sprawę, przekonany, że to ja jestem powodem tych łez.

szczerze mówiąc, jest mi wszystko jedno, czy się gniewasz, czy nie, mówi zjadliwie.

o, miło to słyszeć, rewanżuję się z ironią.

olivia milknie. zaraz popłyną łzy.

co się dzieje, olivia? – pytam.

kręci głową, jakby nie chciała poruszać tego tematu, i nagle łzy leją się ciurkiem.

przepraszam, to nie chodzi o ciebie, justin. nie płaczę przez ciebie, w końcu wykrztusza zapłakana.

więc dlaczego płaczesz?

bo jestem okropnym człowiekiem.

co ty gadasz?

olivia nie patrzy na mnie, tylko ociera łzy wewnętrzną stroną dłoni.

nie powiedziałam rodzicom o przedstawieniu, wyrzuca z siebie.

nie kojarzę, co to ma do rzeczy.

uspokój się, zdążysz ich zaprosić, jeszcze są bilety…

nie chcę, żeby przychodzili na przedstawienie, przerywa mi zniecierpliwiona.

nie rozumiesz, co mówię? nie chcę, żeby przychodzili! jeżeli przyjdą, wezmą ze sobą auggiego, a ja po prostu nie mam ochoty…

znowu zanosi się płaczem i nie kończy zdania. obejmuję ją ramieniem.

jestem okropnym człowiekiem! – powtarza przez łzy.

nieprawda.

właśnie że prawda! – szlocha. cieszyłam się, że idę do nowej szkoły, gdzie nikt o nim nie wie, rozumiesz? nie słyszę szeptów za plecami. to było takie przyjemne. a teraz, jeśli on przyjdzie na przedstawienie, wszyscy się dowiedzą i zaczną gadać… nie wiem, co mi się stało… nigdy nie wstydziłam się auggiego, przysięgam…

wiem, wiem, próbuję ją uspokoić. masz prawo tak się czuć. przez całe życie musiałaś radzić sobie z trudnymi sytuacjami.

olivia przypomina mi czasem ptaka: stroszy piórka, gdy jest zła, a gdy jest przygnębiona, tak jak teraz, wygląda jak zagubiony ptaszek, który szuka swojego gniazda.

więc rozkładam skrzydło, żeby się pod nim schowała.

# Świat

tej nocy nie mogę zasnąć. cały czas coś mi się przypomina: fragmenty moich monologów, pierwiastki z układu okresowego, których mam się nauczyć na pamięć, olivia, auggie.

powracają słowa mirandy: świat nie był łaskawy dla auggiego pullmana.

długo zastanawiam się nad tym stwierdzeniem i rozważam je z różnych stron. miranda ma rację: świat nie był łaskawy dla auggiego pullmana. czy ten chłopaczek w jakikolwiek sposób zasłużył na taki wyrok? a jego rodzice? albo olivia? wspomniała kiedyś o lekarzu, który powiedział jej rodzicom, że prawdopodobieństwo wystąpienia tej samej kombinacji wad co u auggiego jest jak jeden do czterech milionów. czy świat nie jest w takim razie jedną wielką loterią? gdy człowiek się rodzi, dostaje los i tylko przypadek decyduje, czy

jest to los wygrany, czy przegrany. decyduje łut szczęścia.

ta kotłowanina w głowie ustaje pod wpływem łagodniejszych myśli, tak jak akord durowy przechodzi w molowy. nie, nie, wcale nie decyduje przypadek. gdyby to rzeczywiście on decydował o wszystkim, świat zostawiłby nas samym sobie, a przecież tak nie robi. troszczy się o najsłabsze stworzenia w niezauważalny dla nas sposób. na przykład poprzez rodziców, którzy darzą cię ślepą miłością, albo poprzez starszą siostrę, która ma poczucie winy z powodu ludzkich odczuć, jakie w niej wzbudzasz, albo poprzez mówiącego chropowatym głosem chłopaka, od którego z twojego powodu odcięli się koledzy, albo nawet poprzez dziewczynę z różowymi włosami, która nosi twoje zdjęcie w portfelu. być może świat jest loterią, ale w końcu doprowadza do tego, że następuje równowaga. świat troszczy się o wszystkie swoje ptaszki.

# Część szósta

AUGUST

*A człowiek? Niby wiem,*
*że to arcydzieło – szlachetność rozumu,*
*nieograniczone zdolności, proporcja kształtu,*
*płynność ruchów, w uczynkach równy aniołom,*

*w pojmowaniu równy bogom: najwyższe z żyjących istnień,*
*korona stworzenia!*[14]

Szekspir, *Hamlet*

# Biegun północny

Kartofle z prądem zrobiły furorę na wystawie naukowej. Jack i ja dostaliśmy najwyższe oceny. Jack od początku roku nie dostał najlepszego stopnia z żadnego przedmiotu, więc był okropnie nakręcony.

Wszystkie eksponaty stały na stołach w sali gimnastycznej. Wyglądało to tak samo jak na wystawie w muzeum egipskim w grudniu, tyle że zamiast piramid i faraonów były wulkany i modele cząsteczek na dioramach. No i nie oprowadzaliśmy rodziców, pokazując im obiekty zrobione przez innych uczniów, lecz staliśmy każdy przy swoim stole, a rodzice krążyli po sali i podchodzili do nas po kolei.

Arytmetyka tego wydarzenia przedstawia się następująco: w piątych klasach jest razem sześćdziesięcioro dzieci, co oznacza sześćdziesiąt par samych rodziców, nie licząc dziadków. Wobec tego kieruje się ku mnie co najmniej sto

dwadzieścia par oczu. I to osób nieprzywykłych do mojego widoku, w przeciwieństwie do ich dzieci. Gdyby oczy tych ludzi były kompasami, a ja biegunem północnym, to bez względu na to, w którą stronę by się obrócili, igły kompasów zawsze wskazywałyby północ.

Dlatego nadal nie lubię wydarzeń szkolnych, na które zaprasza się rodziców. Na początku roku po prostu nie znosiłem tych uroczystości. Najgorszy był festyn z okazji Święta Dziękczynienia: wtedy pierwszy raz zetknąłem się z rodzicami wszystkich uczniów jednocześnie. Następnie urządzono wystawę egipską, która przeszła spokojnie, bo przebrałem się za mumię i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Potem odbył się koncert zimowy, absolutnie okropny, ponieważ musiałem śpiewać w chórze. Nie dość, że nie umiem śpiewać, to jeszcze czułem się wystawiony na pokaz. Noworoczna wystawa sztuki była trochę lepsza, ale i tak mnie zdenerwowała. Nasze prace powieszono na korytarzach, więc rodzice musieli wędrować po całej szkole, żeby je obejrzeć. Gdy na schodach mijali mnie zaskoczeni dorośli, miałem wrażenie, że znowu jestem na rozpoczęciu roku szkolnego.

To nie znaczy, że przejmuję się reakcjami ludzi na mój widok. Jak już mówiłem tysiące

razy, zdążyłem się przyzwyczaić. Nie zawracam sobie tym głowy. Drobna mżawka nie przeszkadza w spacerowaniu. Nie wkłada się wtedy kaloszy. Nawet nie otwiera się parasola. Zwyczajnie idzie się przed siebie, prawie nie czując, że mokną włosy.

Ale gdy w wielkiej sali gimnastycznej jest masa rodziców, ma się wrażenie, że deszcz nie kropi, lecz leje. Spojrzenia biją w człowieka jak strugi wody.

Mama i tato długo stoją przy moim stole, rodzice Jacka też. To zabawne, że rodzice tworzą takie same paczki jak ich dzieci. Na przykład moi rodzice, rodzice Jacka i mama Summer lubią się nawzajem i chętnie się spotykają. Widzę rodziców Juliana, którzy rozmawiają z rodzicami Henry'ego i Milesa. Również rodzice obu Maxów trzymają się razem. Można się uśmiać.

Gdy szliśmy do domu, powiedziałem o tym mamie i tacie, a oni uznali, że to zabawne spostrzeżenie.

Chyba prawdą jest, że przyciągają się podobieństwa, stwierdziła mama.

# Maskotka dla równiachy Auggiego

Przez jakiś czas rozmawialiśmy tylko o „wojnie”. W lutym było najgorzej. Prawie nikt się do nas nie odzywał, a Julian podkładał nam w szafkach liściki. Te do Jacka były głupie, na przykład: „Jesteś do niczego, ważniaku!” albo: „Już nikt cię nie lubi!”.

Do mnie pisano: „Dziwoląg!”, a raz dostałem kartkę: „Wynoś się z naszej szkoły, ty orku!”.

Summer uważała, że powinniśmy pójść ze skargą do pani Rubin, która była dyrektorem administracyjnym, albo nawet do pana Tushmana, ale naszym zdaniem wyglądałoby to na donosicielstwo. Poza tym my też podkładaliśmy tamtym liściki, choć nie takie wredne. Nasze były raczej śmieszne i ironiczne.

Jeden brzmiał tak: „Jesteś taki śliczny, Julianie! Kocham cię. Ożenisz się ze mną?

Uściski, Beula”.

Następny: „Uwielbiam twoje włosy! Uściski i całusy, Beula”.

I następny: „Ale z ciebie ciacho. Połaskocz mnie w stopy. Uściski i całusy, Beula”.

Beula nie istniała, wymyśliłem ją razem z Jackiem. Miała obrzydliwe zwyczaje, zjadała gile z nosa i obgryzała paznokcie. Uważaliśmy, że taka dziewczyna rzeczywiście może się zabujać w Julianie, który wygląda i zachowuje się jak dziecięca gwiazda reklamy.

Również w lutym Julian, Miles i Henry zrobili parę razy kawał Jackowi. Wobec mnie tak się nie zachowywali, bo pewnie wiedzieli, że za znęcanie się nade mną czeka ich ciężka kara. Jack, jak im się wydawało, był łatwym celem. Pewnego dnia ukradli mu spodenki gimnastyczne i w szatni grali z nim w wariata. Innym razem Miles, który siedział obok Jacka w naszej świetlicy, zabrał mu kartkę z ćwiczeniami, zmiął w kulkę i rzucił przez całą salę do Juliana. Nie ważyłby się na to, gdyby była z nami pani Petosa, ale tego dnia mieliśmy zastępstwo, a nauczyciele na zastępstwie tak naprawdę nie wiedzą, co się dzieje w klasie. Jack robił dobrą minę. Nigdy nie pokazał po sobie, że

jest mu przykro, choć prawdopodobnie nieraz tak było.

Koledzy z równoległych klas wiedzieli o naszej wojnie. Dziewczyny, oprócz paczki Savanny, z początku zachowywały neutralność, ale w marcu miały już tego dosyć, podobnie jak część chłopców. Gdy Julian znowu chciał dokuczyć Jackowi i zamierzał wrzucić do jego plecaka wiórki po ostrzeniu ołówków, Amos, który zwykle trzymał sztamę z Julianem, wyrwał mu plecak z ręki i oddał Jackowi. Wyglądało na to, że większość chłopców przestaje słuchać Juliana.

Kilka tygodni temu Julian rozpuścił idiotyczną plotkę o tym, że Jack najął jakichś „bandziorów", którzy mieli „dopaść" jego, Milesa i Henry'ego. Kłamstwo było takie żałosne, że ludzie zwyczajnie śmiali się z Juliana za plecami. Wtedy ci, co nadal stali po jego stronie, zmienili front i zajęli stanowisko zdecydowanie neutralne. Z końcem marca Julian miał za sobą tylko Milesa i Henry'ego – i nawet oni, jak myślę, byli zmęczeni tą wojną.

Poza tym jestem prawie pewny, że skończyła się ta cała zabawa w trąd. Już nie widzę skrzywionej ze skrępowania miny, gdy przypadkiem na kogoś wpadnę. Ludzie pożyczają

ode mnie kredki i nie zachowują się tak, jakby były siedliskiem zarazy.

Nawet zaczęli sobie żartować w mojej obecności. Któregoś dnia zauważyłem, że Maya pisze do Ellie liścik na papeterii z wizerunkami maskotek paskud, i niewiele myśląc, powiedziałem:

– Wiesz, że byłem modelem dla gościa, który wymyślił paskudy?

Maya wytrzeszczyła na mnie oczy, przekonana, że mówię prawdę. Gdy się zorientowała, że to był żart, stwierdziła, że w życiu nie słyszała lepszego.

– Ale ty jesteś śmieszny! – wykrzyknęła i zaraz opowiedziała wszystko Ellie i paru innym dziewczynom, które też orzekły, że to świetny żart.

A właściwie najpierw były zaskoczone, ale gdy zobaczyły, że się z tego śmieję, uznały, że wszystko jest w porządku i także mogą się śmiać. Następnego dnia znalazłem na swoim krześle breloczek do kluczy z maskotką paskudą i krótki liścik od Mayi: „Dla najsympatyczniejszego modela na świecie! Uściski i całusy, Maya”.

Sześć miesięcy temu coś takiego by się nie wydarzyło, a teraz zdarza się coraz częściej.

Poza tym wszyscy zachowali się naprawdę w porządku, gdy zacząłem nosić aparat słuchowy.

# Lobot

Jeszcze gdy byłem mały, lekarze powiedzieli moim rodzicom, że z czasem będę musiał nosić aparat słuchowy. Nie wiem, dlaczego na samą myśl o tym lekko panikowałem: może dlatego, że przejmuję się wszystkim, co ma związek z moimi uszami.

Słyszałem coraz gorzej, ale nic nikomu nie mówiłem. W głowie rozbrzmiewał mi ciągły i narastający szum oceanu, który tłumił rozmowy ludzi i sprawiał, że czułem się tak, jakbym był zanurzony w wodzie. Kiedy siedziałem z tyłu klasy, nie dochodził do mnie głos nauczyciela. Wolałem jednak nie informować rodziców, bo na pewno skończyłoby się aparatem słuchowym, a chciałem bez niego dotrwać do końca piątej klasy.

W październiku miałem, jak co roku, badanie słuchu. Wypadło źle. Lekarz stwierdził, że pora

na aparat, i wysłał mnie do specjalisty, który zrobił wycisk obu uszu.

Gdy patrzę na swoją twarz, najbardziej nie podobają mi się właśnie uszy. Mają kształt malutkich piąstek i na dodatek znajdują się za nisko. Wyglądają jak ciasto na pizzę, rozgniecione i przyklejone u góry szyi. No dobra, chyba trochę przesadzam, ale nie cierpię swoich uszu maksymalnie.

Kiedy lekarz pokazał aparat słuchowy mnie i mamie, jęknąłem.

– Czegoś takiego nie będę nosił – oświadczyłem, krzyżując ręce na piersiach.

– Wiem, że jest dość spory – powiedział lekarz – ale musieliśmy go zamocować na pałąku, bo inaczej nie siedziałby ci w uszach.

Normalny aparat ma część, która otacza małżowinę po to, żeby wkładka dobrze trzymała się wewnątrz ucha. W moim przypadku jest inaczej: ponieważ nie mam małżowin, wkładki trzeba było umocować na solidnym pałąku obejmującym głowę od tyłu.

– Mamo, nie założę tego – zaprotestowałem płaczliwie.

– Ledwie go widać – odparła mama, siląc się na pogodny ton. – Wyglądasz jak w słuchawkach.

– W słuchawkach?! Dobrze się przyjrzyj! – Wpadłem w złość. – Wyglądam jak Lobot!

– Który to? – zapytała spokojnie mama.

– Lobot? – powtórzył z uśmiechem lekarz, przyglądając się słuchawkom i coś nastawiając. – *Imperium kontratakuje*? Ten łysy gość z bionicznym jakby nadajnikiem radiowym, który obejmuje tył jego głowy?

– Nic nie kojarzę – oświadczyła mama.

– Pan jest fanem *Gwiezdnych wojen*? – zdziwiłem się.

– Fanem? Znam te filmy na wyrywki – odrzekł.

Nałożył mi na głowę aparat i odchylił się do tyłu, patrząc, jak leży opaska, a potem zdjął całe urządzenie.

– Posłuchaj, Auggie, wyjaśnię ci, jak to działa. – Po kolei wskazywał różne elementy aparatu. – Ta wygięta plastikowa część łączy się z przewodem we wkładce usznej. Robiliśmy w grudniu wyciski właśnie po to, żeby idealnie pasowała do twojego ucha. Tym suwakiem ustawia się barwę dźwięku, widzisz? A to jest specjalna część, którą przymocowaliśmy do pałąka.

– Jak u Lobota – jęknąłem żałośnie.

– Coś ty, Lobot jest świetny – powiedział lekarz. – Nikt tu nie zrobi z ciebie Jar Jara. To by dopiero było. – Znowu włożył mi delikatnie słuchawki. – Gotowe. Co ty na to, Auguście?

– Ale niewygodne!

– Raz-dwa się przyzwyczaisz.

Spojrzałem w lustro. W oczach stanęły mi łzy. Widziałem tylko rurki sterczące po obu stronach głowy – podobne do czułków.

– Mamo, czy ja naprawdę muszę to nosić? – zapytałem, ledwie powstrzymując się od płaczu. – Ten aparat jest okropny. Wcale nie pomaga!

– Poczekaj, kolego, jeszcze go nie włączyłem – odparł lekarz. – Jak usłyszysz różnicę, spodoba ci się.

– Nie spodoba!

Wtedy włączył aparat.

# Słyszę jasne dźwięki

Nie wiem, czy potrafię opisać, co słyszałem, gdy lekarz włączył aparat. Albo czego nie słyszałem. Trudno znaleźć słowa. Już nie szumiał mi w głowie ocean. Po prostu zniknął. Dźwięki, które do mnie dochodziły, przypominały jasne światełka rozbłyskujące w mózgu. To było tak, jakbyśmy znaleźli się w pokoju, gdzie jedna z żarówek w żyrandolu jest przepalona, ale nie zauważamy, że jest ciemniej, dopóki ktoś nie wymieni żarówki, i wtedy wykrzykujemy: „O rany, jak tu jasno!”. Nie wiem, czy mówi się o dźwiękach tak jak o świetle, że są jasne, ale ja słyszałem teraz jasne dźwięki.

– Jak to brzmi, Auggie? – zapytał lekarz. – Dobrze mnie słyszysz?

Spojrzałem na niego i się uśmiechnąłem, ale nie powiedziałem słowa.

– Jest jakaś różnica, kochanie? – spytała mama.

– Nie musisz tak krzyczeć, mamo. – Kiwnąłem z zadowoleniem głową.

– Lepiej słyszysz? – dopytywał się lekarz.

– Już nie ma tych hałasów – odrzekłem. – W uszach jest cicho.

– Zniknął biały szum. – Lekarz mrugnął do mnie porozumiewawczo. – A nie mówiłem, że ci się spodoba? – Poprawił coś przy lewym uchu.

– Czy to wyraźna różnica, skarbie? – znowu odezwała się mama.

– Uhm, dźwięki są… jakby jaśniejsze.

– To dlatego, że teraz masz bioniczny słuch – wyjaśnił lekarz, regulując coś po prawej stronie. – Dotknij tutaj. – Położył moją rękę z tyłu aparatu. – Czujesz? Tu jest pokrętło głośności. Spróbujmy ustawić taką, jaka ci odpowiada. Może być? – Wziął małe lusterko i kazał mi patrzeć w duże, żebym zobaczył aparat od tyłu. Włosy zasłaniały prawie cały pałąk. Wystawały tylko rurki.

– Pasuje ci ten lobotowy bioniczny aparat słuchowy? – spytał lekarz, patrząc na moje odbicie w lustrze.

– Tak. Dziękuję.

– Bardzo panu dziękujemy, doktorze – powiedziała mama.

Gdy pierwszy raz przyszedłem do szkoły w aparacie, myślałem, że zrobi się z tego wielkie halo. Wcale tak nie było. Summer ucieszyła się, że lepiej słyszę, a Jack uznał, że wyglądam jak agent FBI. I tyle. Pan Browne na angielskim zainteresował się aparatem, ale nie wydziwiał w stylu: „Co ty, u licha, masz na głowie?”. Powiedział tylko: „Jeżeli będziesz chciał, żebym coś powtórzył, to się nie krępuj, dobrze, Auggie?”.

Sam nie wiem, dlaczego tak długo bałem się nosić aparat. Dziwna sprawa, że czasem okropnie się czymś przejmujemy, a okazuje się, że to nic wielkiego.

# Tajemnica Vii

Kilka dni po przerwie wielkanocnej mama dowiedziała się, że Via nie poinformowała jej o przedstawieniu, które za tydzień miało się odbyć w jej liceum. Doszło do awantury. Mama tak naprawdę rzadko się złości (tato pewnie twierdziłby co innego), ale tym razem wściekła się na Vię. Wybuchła wielka kłótnia. Z pokoju Vii niosły się krzyki. Moje lobotowe bioniczne uszy wszystko wyłapywały.

– Via, co się z tobą ostatnio dzieje? Jesteś humorzasta, małomówna, skryta…

– No i co w tym złego, że nie powiedziałam ci o jakiejś głupiej sztuce? – Via wrzeszczała niemal na całe gardło. – Nawet nie mam partii mówionej!

– Ale twój chłopak gra główną rolę. Nie chcesz, żebyśmy go zobaczyli?

– No właśnie nie chcę!

– Przestań krzyczeć!

– Ty zaczęłaś! Zostaw mnie w spokoju! Świetnie ci to szło przez całe moje życie, więc skąd nagle to zainteresowanie, gdy poszłam do liceum…

Nie wiem, co mama odpowiedziała, bo nagle zapadła cisza i nawet moje lobotowe bioniczne uszy nie wyłowiły żadnego sygnału.

# Moja grota

Do kolacji się pogodziły. Tato miał wrócić z pracy późno. Daisy spała. W ciągu dnia dużo wymiotowała i mama umówiła się z weterynarzem na wizytę następnego dnia rano.

Siedzieliśmy we trójkę przy stole, nic nie mówiąc. W końcu zapytałem:

– No to jak? Zobaczymy występ Justina?

Via nic nie odpowiedziała, tylko wbiła wzrok w talerz.

– Wiesz, Auggie – odezwała się spokojnym tonem mama – dopiero teraz zorientowałam się, co to za sztuka, i wydaje mi się, że nie zaciekawi dzieci w twoim wieku.

– Czyli nie jestem zaproszony? – upewniłem się, patrząc na Vię.

– Tego nie powiedziałam – odparła mama. – Po prostu sądzę, że ci się nie spodoba.

– Strasznie się wynudzisz – dorzuciła Via takim tonem, jakby miała mi coś za złe.

– A ty i tato idziecie? – spytałem.

– Tato idzie – oznajmiła mama. – Ja zostanę z tobą w domu.

– Co takiego? – wrzasnęła na mamę Via. – Wspaniale, więc nie pójdziesz, żeby ukarać mnie za to, że byłam wobec ciebie szczera!

– Przypomnij sobie, że od początku nie chciałaś, żebyśmy poszli – zauważyła mama.

– Ale skoro już to wiesz, oczywiście chcę, żebyś poszła – oświadczyła Via.

– Muszę mieć na uwadze uczucia wszystkich w tym domu, Vio – odrzekła mama.

– O czym wy mówicie?! – ryknąłem.

– O niczym! – warknęły obie naraz.

– Sprawa dotyczy szkoły Vii. Nie ma z tobą nic wspólnego – dodała mama.

– Kłamiesz – powiedziałem.

– Słucham? – Mama była trochę zszokowana.

Nawet Via miała zdziwioną minę.

– Powiedziałem, że kłamiesz! – wykrzyknąłem. – Ty też! – wydarłem się na Vię, wstając od stołu. – Obie kłamiecie mi w żywe oczy, jakbym był jakimś przygłupem!

– Usiądź, Auggie – poprosiła mama, łapiąc mnie za ramię.

Wyrwałem jej się i zwróciłem się do Vii:

– Myślisz, że nie wiem, co się dzieje? Nie chcesz, żeby twoi nowi wspaniali przyjaciele z liceum dowiedzieli się, że twój brat jest dziwolągiem!

– Auggie! – zawołała mama. – To nieprawda!

– Przestań kłamać, mamo! Przestań traktować mnie jak dziecko! Nie jestem niedorozwinięty! Wiem, co się dzieje!

Pobiegłem do swojego pokoju i trzasnąłem drzwiami tak mocno, że odprysły kawałki ściany. Padłem na łóżko i naciągnąłem na siebie narzutę. Zakryłem poduszkami swoją obrzydliwą twarz, na nich ułożyłem w stos wszystkie pluszaki i siedziałem jakby w małej grocie. Gdybym mógł chodzić z poduszką na twarzy, robiłbym to cały czas.

Nawet nie wiem, dlaczego tak się wściekłem. Gdy siadaliśmy do kolacji, wcale nie byłem rozzłoszczony ani nawet smutny. Ale potem nagle coś we mnie wybuchło. Wiedziałem, że Via nie chce, żebym poszedł na to jej głupie przedstawienie. Wiedziałem również, dlaczego nie chce.

Spodziewałem się, że mama od razu przyjdzie do mojego pokoju, ale nie przyszła. Chciałem, żeby mnie znalazła w grocie z pluszaków, więc jeszcze trochę poczekałem, ale nie zjawiła się

nawet po dziesięciu minutach. Byłem zaskoczony, bo zawsze zaglądała do mnie, gdy miałem jakieś zmartwienie i chowałem się w swoim pokoju.

Wyobraziłem sobie, że mama i Via rozmawiają o mnie w kuchni. Via na pewno czuje się fatalnie, a mama ją obwinia. Tato też będzie na nią zły, gdy wróci do domu.

Zrobiłem dziurkę między poduszkami i pluszakami i spojrzałem na zegar na ścianie. Minęło pół godziny, a mama wciąż nie przychodziła. Nasłuchiwałem dźwięków z sąsiednich pokojów. Czy one obie nadal jedzą kolację? Co się dzieje?

Wreszcie drzwi się otworzyły. To była Via. Nawet nie chciało jej się podejść do łóżka i nie wślizgnęła się po cichu, jak się spodziewałem. Wpadła z impetem.

# Pożegnanie

– Chodź szybko, Auggie – powiedziała Via. – Mama chce z tobą porozmawiać.

– Nie będę przepraszał!

– Przestań myśleć tylko o sobie! – wykrzyknęła. – Nie jesteś pępkiem świata! Pośpiesz się. Daisy jest chora. Mama zabiera ją do kliniki. Chodź się pożegnać.

Zrzuciłem poduszki i spojrzałem na Vię. Była zapłakana.

– Jak to „pożegnać”?

– Chodź już! – Wyciągnęła do mnie rękę.

Poszliśmy do kuchni. Daisy leżała na podłodze, na boku, z łapami wyciągniętymi przed siebie. Dyszała jak po długim biegu. Mama klęczała przy niej i głaskała ją po łepku.

– Co się stało? – zapytałem.

– Nagle zaczęła piszczeć – powiedziała Via, kucając obok mamy.

Mama też była zapłakana.

– Zabieram ją do kliniki dla zwierząt w śródmieściu – rzekła. – Zaraz przyjedzie taksówka.

– Weterynarz ją wyleczy, prawda?

– Mam nadzieję, skarbie – szepnęła mama, patrząc na mnie. – Choć nie jestem pewna.

– Wyleczy, zobaczysz!

– Ostatnio Daisy bardzo chorowała, Auggie. Jest staruszką…

– Na pewno ją wyleczą. – Spojrzałem na Vię, spodziewając się, że mnie poprze, ale nie podniosła głowy.

Mamie drżały usta.

– Przykro mi, Auggie, musimy pożegnać się z Daisy.

– Nie!

– Nie chcemy, żeby cierpiała.

Zadzwonił telefon. Via podniosła słuchawkę, wykrztusiła: „Dobrze, dziękuję” i się rozłączyła.

– Taksówka już czeka – wymamrotała, ocierając łzy wierzchem dłoni.

– Auggie, kochanie, otwórz mi drzwi – poprosiła mama, delikatnie biorąc Daisy na ręce, jakby podnosiła duże, bezwładne niemowlę.

– Nie, mamusiu, proszę! – zawołałem, stając przed drzwiami.

– Przepuść mnie, skarbie. Ona jest bardzo ciężka.

– A tato?

– Przyjedzie do kliniki. On też nie chce, żeby Daisy cierpiała.

Via odciągnęła mnie i otworzyła mamie drzwi.

– W razie czego dzwoń do mnie na komórkę – powiedziała mama do Vii. – Przykryj Daisy kocem, dobrze?

Via kiwnęła głową, szlochając bez opamiętania. Mamie łzy spływały po policzkach.

– Pożegnajcie się z Daisy, dzieci.

– Kocham cię, Daisy – wydusiła z siebie Via, całując ją w nos. – Bardzo cię kocham.

– Pa, pa, dziewczynko… – szepnąłem jej w ucho. – Kocham cię…

Mama zeszła z Daisy po schodkach przed domem. Taksówkarz trzymał otwarte drzwi. Zanim je zamknął, mama odwróciła się do nas i pomachała nam ręką. Chyba jeszcze nigdy nie była taka smutna.

– Kocham cię, mamo! – zawołała do niej Via.

– Ja też! – wykrzyknąłem. – I przepraszam!

Mama posłała nam całusa i zamknęła drzwi. Patrzyliśmy za odjeżdżającą taksówką, dopóki nie zniknęła. Gdy weszliśmy do domu, Via

spojrzała na mnie, a potem z całej siły mnie przytuliła i oboje zalaliśmy się łzami.

# Zabawki Daisy

Pół godziny później przyszedł Justin. Mocno mnie objął i powiedział: „Przykro mi, Auggie”. Siedzieliśmy w salonie, nic nie mówiąc. Gdy mama pojechała do kliniki, obeszliśmy z Vią cały dom i nie wiedząc właściwie dlaczego, pozbieraliśmy wszystkie zabawki Daisy. Leżały teraz ułożone w stosik na niskim stoliku w salonie i wszyscy się w nie wpatrywaliśmy.

– To najwspanialszy pies na świecie – odezwała się Via.

– Wiem – przytaknął Justin, gładząc Vię po plecach.

– Mówiłaś, że zaczęła piszczeć. Tak nagle? – zapytałem.

Kiwnęła głową.

– Parę sekund po tym, jak wstałeś od stołu. Mama chciała pójść za tobą i wtedy Daisy zaczęła jakby piszczeć.

– A dokładnie? – spytałem.

– Sama nie wiem – odparła Via. – Piszczeć.

– Tak jakby skowyczeć?

– Piszczeć, Auggie – powtórzyła zniecierpliwiona. – Zaczęła jęczeć, jakby coś ją bardzo bolało. I ciężko dyszała. Potem po prostu osunęła się na podłogę. Mama podeszła, chciała ją podnieść czy co, ale widać było, że Daisy coś bardzo boli. Ugryzła mamę.

– Co takiego? – zdziwiłem się.

– Gdy mama dotknęła jej brzucha, Daisy ugryzła ją w rękę – wyjaśniła Via.

– Ona nigdy nikogo nie ugryzła! – wykrzyknąłem.

– Nie była sobą – wtrącił Justin. – Na pewno cierpiała.

– Tato miał rację – stwierdziła Via. – Nie powinniśmy czekać, aż jej stan tak się pogorszy.

– Zaraz, zaraz, to znaczy, że tato wiedział o jej chorobie?! – zawołałem.

– Mama zawoziła ją do weterynarza chyba ze trzy razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Daisy wymiotowała, gdzie popadło. Nie zauważyłeś?

– Tak, ale nie wiedziałem, że jest chora!

Via nic na to nie powiedziała, tylko objęła mnie ramieniem i przytuliła. Znowu się rozpłakałem.

– Przepraszam, Auggie – szepnęła. – Bardzo przepraszam za wszystko. Wybaczysz mi? Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda?

Kiwnąłem głową. Tamta kłótnia niewiele już znaczyła.

– Mamie leciała krew? – spytałem.

– To było tylko zadrapanie. O tu. – Pokazała miejsce u nasady kciuka.

– Bolało?

– Nic jej nie będzie, Auggie. Nie martw się.

Rodzice wrócili dwie godziny później. Gdy stanęli w drzwiach i nie zobaczyliśmy Daisy, od razu wiedzieliśmy, że już jej nie ma. Usiedliśmy razem dokoła jej zabawek w salonie. Tato zaczął opowiadać, co się działo w klinice: zrobiono Daisy prześwietlenie i badanie krwi i okazało się, że ma wielki guz w brzuchu. Z trudem oddychała. Mama i tato chcieli oszczędzić jej cierpienia. Tato wziął ją na ręce, łapami do góry, tak jak zawsze to robił, i oboje z mamą całowali ją raz po raz na pożegnanie i szeptali jej do ucha czułości, gdy weterynarz robił jej zastrzyk w łapę. Po minucie umarła w ramionach taty. Była spokojna, nic jej nie bolało, wyglądała tak, jakby zasnęła, mówił drżącym głosem tato, co jakiś czas odchrząkując.

Tego wieczoru pierwszy raz w życiu widziałem, jak tato płacze. Poszedłem do sypialni rodziców, szukając mamy, która miała położyć mnie spać, i zobaczyłem tatę. Siedział na brzegu łóżka i zdejmował skarpetki. Był odwrócony plecami do drzwi, więc mnie nie zauważył. Z początku myślałem, że się śmieje, drgały mu ramiona, ale potem przyłożył dłonie do oczu i zorientowałem się, że płacze. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś płakał tak cicho. Jakby szeptał do siebie. Chciałem do niego podejść, ale pomyślałem, że płacze szeptem, bo nie chce, żeby ktokolwiek go usłyszał. Cofnąłem się i poszedłem do pokoju Vii, a tam znalazłem mamę, która leżała na łóżku obok zapłakanej Vii i coś jej cichutko mówiła.

Wobec tego wróciłem do siebie, włożyłem piżamę, choć nikt mi nie kazał, zapaliłem lampkę nocną, zgasiłem górne światło i wczołgałem się pod stos pluszaków, które zostawiłem na łóżku przed paroma godzinami. Miałem wrażenie, że od tamtej pory upłynęło milion lat. Aparat słuchowy położyłem na stoliku nocnym. Przykryłem się po same uszy i wyobraziłem sobie, że Daisy tuli się do mnie i mokrym jęzorem liże mnie po twarzy, jakby była to dla niej

najcudowniejsza twarz na świecie. I tak zasnąłem.

# Niebo

Obudziłem się, gdy było jeszcze ciemno. Wstałem z łóżka i poszedłem do sypialni rodziców.

– Mamo? – szepnąłem. W ciemności nie widziałem, czy otworzyła oczy. – Mamo?

– Co takiego, skarbie? – wymamrotała.

– Mogę spać z tobą?

Przesunęła się w stronę taty. Gdy się do niej przytuliłem, pocałowała mnie we włosy.

– Nie boli cię ręka? – spytałem. – Via powiedziała, że Daisy cię ugryzła.

– Tylko zadrapała – szepnęła mama.

– Mamusiu… – Rozpłakałem się. – Przepraszam za to, co wtedy powiedziałem.

– Cii… nie ma powodu przepraszać. – Mówiła tak cicho, że ledwie słyszałem, i pocierała policzkiem o mój policzek.

– Czy Via się mnie wstydzi? – zapytałem.

– Nie, skarbie. Przecież wiesz, że nie. Stara się przystosować do nowej szkoły, a to nie jest łatwe.

– Wiem.

– Wiem, że wiesz.

– Przepraszam za to, co mówiłem… że kłamiesz.

– Śpij już, słoneczko… Bardzo cię kocham.

– Ja też bardzo cię kocham, mamo.

– Dobranoc, skarbie.

– Mamo, czy Daisy jest teraz z babunią?

– Tak myślę.

– Są w niebie?

– Tak.

– Czy ludzie wyglądają tak samo, gdy są już w niebie?

– Nie wiem. Chyba nie.

– To jak się poznają?

– Nie wiem, kochanie. – Miała zmęczony głos. – Pewnie wyczuwają się nawzajem. Nie kocha się oczami, prawda? Kocha się sercem. W niebie jest sama miłość. Nie zapomina się tych, których kochamy. – Znowu mnie pocałowała. – Śpij, skarbie. Już późno. Jestem taka wykończona.

Mama zasnęła, a mnie wciąż kłębiły się w głowie różne myśli. Tato też spał. Wyobrażałem sobie, że słyszę oddech Vii, która spała w swoim pokoju, w głębi korytarza.

Zastanawiałem, czy Daisy też teraz śpi w niebie. A jeśli tak, to czy jej się śnię? Rozmyślałem o tym, jak będę się czuł, gdy kiedyś trafię do nieba i mój wygląd nie będzie miał żadnego znaczenia. Tak jak nigdy nie miał znaczenia dla Daisy.

# Dublerka

Kilka dni po tym, jak umarła Daisy, Via przyniosła do domu trzy bilety na przedstawienie. O awanturze podczas kolacji nikt więcej nie wspomniał. W dniu premiery, gdy wcześniej od nas wychodziła z Justinem do szkoły, objęła mnie mocno i powiedziała, że mnie kocha i szczyci się tym, iż jest moją siostrą.

Pierwszy raz poszedłem do jej nowej szkoły. Była dużo większa od starej i tysiąc razy większa od mojej. Miała więcej korytarzy i więcej przestrzeni. Jedynym poważnym minusem lobotowego bionicznego aparatu słuchowego było to, że nie mogłem nosić bejsbolówki. A w tego rodzaju sytuacjach bejsbolówki naprawdę się przydają. Czasem chciałbym, żebym nadal mógł chodzić w tym starym hełmie kosmonauty, jak wtedy gdy byłem mały. Wierzcie lub nie, ale widok dzieciaka w hełmie kosmonauty nie szokowałby ludzi aż tak bardzo

jak widok mojej twarzy. Nie miałem wyboru: spuściłem głowę i szedłem tuż za mamą długimi jasnymi korytarzami.

Tłum ludzi, a my z nim, kierował się do auli, gdzie przy wejściu uczniowie wręczali programy. Znaleźliśmy miejsca w piątym rzędzie, prawie na środku. Ledwie usiedliśmy, mama zaczęła grzebać w torebce.

– Nie do wiary! Zapomniałam okularów – wykrzyknęła półgłosem.

Tato pokręcił głową. Mama zawsze czegoś zapomina, zwykle okularów albo kluczy. Tak już ma.

– Chcesz usiąść bliżej? – zapytał tato.

Spojrzała na scenę, mrużąc oczy.

– Nie, stąd widzę dobrze.

– Przemów teraz lub zamilknij na wieki – odezwał się tato tonem pastora udzielającego ślubu.

– Jest świetnie – zapewniła go mama.

– Zobacz, to Justin. – Pokazałem tacie zdjęcie Justina w programie.

– Dobrze wyszedł – stwierdził tato.

– Dlaczego nie ma zdjęcia Vii? – spytałem.

– Bo jest dublerką – odrzekła mama. – Ale tu wymienili jej imię i nazwisko.

– Dlaczego nazywają ją dublerką?

– Coś takiego! Popatrz na zdjęcie Mirandy. – Mama podsunęła program tacie. – Nigdy bym jej nie poznała.

– Dlaczego nazywają ją „dublerką”? – powtórzyłem.

– Tak się określa osobę, która zastępuje aktorkę, gdy ta z jakichś powodów nie może wystąpić – powiedziała mama.

– Słyszałaś, że Martin powtórnie się żeni? – zagadnął tato mamę.

– Żartujesz! – Mama chyba była zaskoczona.

– Kto to jest Martin? – zapytałem.

– Ojciec Mirandy – wyjaśniła mi mama i zwróciła się do taty: – Skąd wiesz?

– Spotkałem w metrze matkę Mirandy. Nie jest z tego zadowolona. Na dodatek Martin niedługo zostanie znowu ojcem.

– No, no. – Mama pokręciła głową.

– O czym wy mówicie? – wtrąciłem się.

– O niczym – rzucił tato.

– Ale dlaczego to się nazywa „dublerka”? – wróciłem do mojego pytania.

– Chyba dlatego, Auggie Piesku – rzekł tato – że jedna aktorka dubluje drugą, czyli dwie osoby mogą grać tę samą rolę.

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale zgasły światła i widownia szybko ucichła.

– Mógłbyś już nie mówić do mnie Auggie Piesku? – szepnąłem tacie do ucha.

Tato uśmiechnął się, kiwnął głową i uniósł kciuk.

Zaczęło się przedstawienie. Kurtyna się rozsunęła, odsłaniając scenę, na której był tylko Justin. Siedział na chwiejnym krześle i stroił skrzypce. Miał na sobie staroświecki garnitur i słomkowy kapelusz.

– Sztuka ta nosi tytuł „Nasze miasto” – powiedział do widzów. – Napisał ją Thornton Wilder, wystawił i wyreżyserował Philip Davenport… „Miasto zaś nazywa się Grover’s Corners, leży w New Hampshire, tuż przy granicy z Massachusetts: czterdzieści dwa stopnie i czterdzieści minut szerokości geograficznej północnej, siedemdziesiąt stopni i trzydzieści siedem minut długości geograficznej zachodniej. Akt pierwszy przedstawi państwu dzień powszedni w naszym mieście, a dniem tym będzie siódmy maja roku tysiąc dziewięćset pierwszego. Właśnie zaczyna świtać”.

Od razu wiedziałem, że spodoba mi się ta sztuka. Nie przypominała innych przedstawień szkolnych, na których byłem, takich jak *Czarnoksiężnik z krainy Oz* czy *Klopsiki i inne zjawiska pogodowe*. Miałem wrażenie, że jestem

w teatrze dla dorosłych, i czułem się bardzo inteligentny.

W pewnej chwili pani o nazwisku Webb zawołała swoją córkę Emily. W programie przeczytałem, że tę rolę gra Miranda, więc pochyliłem się do przodu, żeby ją lepiej widzieć.

– To Miranda – szepnęła mi mama, mrużąc oczy i przyglądając się wychodzącej na scenę Emily. – Wygląda zupełnie inaczej…

– Przecież to Via – powiedziałem.

– O mój Boże! – zawołała półgłosem, gwałtownie pochylając się do przodu.

– Pst! – odezwał się tato.

– To Via – szepnęła do niego mama.

– Wiem – odrzekł cicho. – Pst.

# Zakończenie

Sztuka była niesamowita. Nie chcę wyjawiać zakończenia, powiem tylko, że wyciska ludziom łzy z oczu. Mama kompletnie wymiękła, słuchając, jak Via w roli Emily mówi:

– „Żegnajcie! Żegnaj, świecie. Żegnaj, Nasze Miasto! I ty, mamo, i papo. Żegnajcie, słoneczniki w maminym ogródku i tykanie naszego poczciwego starego zegara. Żegnajcie, śniadania – jedzenie i picie – i świeżo wyprasowane sukienki, i gorące kąpiele co rano, żegnajcie, budzenie się na nowy dzień i układanie do snu wieczorem. O, ziemio, ziemio! Jesteś tak cudna, że nikt nie jest w stanie pojąć twego piękna!”.

Via mówiła te słowa ze łzami. Naprawdę płakała: widziałem, jak łzy spływają jej po policzkach. To było fantastyczne.

Gdy zasunięto kurtynę, rozległy się brawa. Potem aktorzy po kolei wychodzili na scenę

i kłaniali się widzom. Via i Justin wyszli ostatni, a wtedy cała widownia wstała.

– Brawo! – krzyczał tato, trzymając dłonie przy ustach.

– Dlaczego ludzie wstają? – zapytałem.

– Gdy widzowie są zachwyceni, dziękują aktorom owacją na stojąco – wyjaśniła mi mama.

No więc też się podniosłem i klaskałem tak długo, że aż rozbolały mnie ręce. Przeszło mi przez myśl, że chciałbym być na miejscu Vii i Justina, gdy wszyscy wstają i wiwatują na ich cześć. Moim zdaniem powinna istnieć zasada, że każdy człowiek przynajmniej raz w życiu dostaje owację na stojąco.

Sam nie wiem, po ilu minutach aktorzy stojący rzędem na scenie cofnęli się parę kroków i kurtynę zasunięto na dobre. Brawa ucichły, zapaliły się światła i widzowie ruszyli do wyjścia.

Razem z mamą i tatą poszedłem za kulisy, gdzie zebrała się już masa ludzi. Tłoczyli się wokół wykonawców, składali im gratulacje i klepali ich po plecach. W środku tego tłumu zobaczyliśmy Vię i Justina, roześmianych i rozgadanych.

– Via! – zawołał tato, machając ręką. Przecisnął się do niej, wziął ją w objęcia i lekko uniósł. – Byłaś wspaniała, kochanie!

– Via! Boże drogi! – krzyczała z radości mama. – Coś takiego! Boże drogi! – Ściskała Vię tak mocno, że bałem się, czy jej nie udusi, ale Via tylko się śmiała.

– Znakomita gra! – powiedział tato.

– Znakomita! – potwierdziła mama, kiwając i jednocześnie kręcąc głową.

– Ty też byłeś fantastyczny, Justinie! – wykrzyknął tato, ściskając Justinowi rękę i jednocześnie go obejmując.

– Fantastyczny! – powtórzyła mama, tak przejęta, że ledwie mogła mówić.

– Zdębieliśmy, gdy wyszłaś na scenę, Vio! – powiedział tato.

– Mama w pierwszej chwili cię nie poznała – wtrąciłem.

– Naprawdę cię nie poznałam – potwierdziła mama, przykładając rękę do ust.

– Miranda poczuła się niedobrze tuż przed rozpoczęciem przedstawienia – wyjaśniła Via niemal bez tchu. – Nawet nie było czasu, żeby to ogłosić…

Wyglądała trochę dziwnie, wciąż umalowana jak na scenę. Nigdy jej takiej nie widziałem.

– I w ostatniej chwili ją zastąpiłaś – dokończył tato. – Coś podobnego!

– Grała fantastycznie, prawda? – odezwał się Justin, obejmując Vię.

– Wszyscy ze wzruszenia mieli łzy w oczach – powiedział tato.

– Miranda dobrze się czuje? – zapytałem, ale nikt mnie nie usłyszał.

Wtedy podszedł do Justina i Vii jakiś pan, chyba nauczyciel.

– Brawa dla was obojga! – zawołał, klaszcząc w dłonie, i pocałował Vię w oba policzki.

– Parę razy się sypnęłam – przyznała Via, z niezadowoleniem kręcąc głową.

– Ale wybrnęłaś z tego – odrzekł z uśmiechem.

– Chciałabym przedstawić panu moich rodziców – mówiła dalej Via. – Mamo, tato, to jest pan Davenport.

– Państwo z pewnością są bardzo dumni z córki – rzekł pan Davenport, obiema rękami ściskając dłonie rodziców.

– O tak!

– A to jest mój młodszy brat, August – ciągnęła Via.

Pan Davenport już miał coś powiedzieć, ale gdy przeniósł na mnie wzrok, nagle znieruchomiał.

– Przedstawię panu moją mamę – wtrącił się Justin, biorąc go za ramię.

Via zwróciła się w moją stronę, ale wtedy ktoś podszedł i zaczął z nią rozmawiać. Zanim się spostrzegłem, znalazłem się jakby sam w tłumie. To znaczy wiedziałem, gdzie są rodzice, ale dookoła było mnóstwo ludzi i wszyscy mnie potrącali, wpadali na mnie, obrzucali spojrzeniami, tak że poczułem się bardzo źle. Zrobiło mi się gorąco i może dlatego dostałem zawrotów głowy. Twarze stały się niewyraźne, a gwar tak głośny, że aż rozbolały mnie uszy. Chciałem ściszyć dźwięk w aparacie, ale przez pomyłkę pogłośniłem, co na chwilę kompletnie mnie oszołomiło. Gdy podniosłem głowę, mama, tato i Via gdzieś zniknęli.

– Via! – wrzasnąłem. Zacząłem się przepychać i szukać w tłumie mamy. – Mamo! – Dokoła widziałem tylko brzuchy i krawaty. – Mamo!

Nagle ktoś chwycił mnie od tyłu i podniósł.

– No patrzcie, kogo my tu mamy – usłyszałem znajomy głos i poczułem mocny uścisk czyichś ramion.

W pierwszej chwili myślałem, że to Via, ale gdy się odwróciłem, osłupiałem ze zdziwienia.

– Cześć, majorze Tomie!

– Miranda! – krzyknąłem i uścisnąłem ją z całej siły.

# Część siódma

MIRANDA

*Zapomniałam, że może jeszcze zobaczę*
*dużo pięknych rzeczy.*
*Zapomniałam, że może będę musiała odkryć,*
*co jeszcze przyniesie życie.*

Andain, *Piękne rzeczy*

# Kłamstwa na obozie

Rodzice rozwiedli się w lecie, nim zaczęłam chodzić do liceum. Ojciec od razu miał inną. Przypuszczam – choć mama nic nie powiedziała – że dlatego się rozstali.

Po ich rozwodzie bardzo rzadko widywałam tatę, a mama zaczęła się zachowywać jeszcze dziwniej niż przedtem. Nie była niezrównoważona ani nic takiego, po prostu traktowała wszystko z dystansem. Mama należy do ludzi, którzy pokazują światu uśmiechniętą twarz, ale przy mnie rzadko okazuje zadowolenie. Niewiele ze mną rozmawia – nie mówi o swoich uczuciach, o swoim życiu. Mało wiem o tym, jaka była w moim wieku, co lubiła, a czego nie lubiła. O swoich rodzicach, których w ogóle nie znałam, wspomniała zaledwie parę razy, głównie to, że chciała uciec od nich jak najdalej, gdy tylko dorośnie. Nie mówiła

dlaczego. Nieraz ją pytałam, ale udawała, że nie słyszy.

Nie chciałam jechać na obóz letni. Wolałam zostać z mamą i ją wspierać. Ale ona się uparła. Sądziłam, że chce mieć czas dla siebie, więc dałam jej tę możliwość.

Na obozie było okropnie. Myślałam, że fajnie będzie pracować jako pomoc wychowawcy, ale się myliłam. Nie przyjechał nikt z zeszłorocznych znajomych, więc nie znałam żywej duszy. Sama nie wiem, dlaczego rozpoczęłam tę zabawę w udawanie. Dziewczynki chciały się dowiedzieć różnych rzeczy o mnie, więc zmyślałam: że moi rodzice przebywają w Europie, że mieszkam w okazałym szeregowcu przy najładniejszej ulicy w North River Heights, że mam psa, który nazywa się Daisy.

Pewnego dnia palnęłam, że mam młodszego brata ze zniekształconą twarzą. Kompletnie nie wiem, co mnie podkusiło: prawdopodobnie wydawało mi się, że to zabrzmi ciekawie. Dziewczynki z mojego pawilonu były oczywiście przejęte. Naprawdę? Tak mi przykro! Musi ci być ciężko! I tak dalej. I tak dalej. Natychmiast tego pożałowałam. Poczułam się jak oszustka pierwszej wody. Gdyby dowiedziała się o tym Via, pomyślałaby, że ześwirowałam.

Rzeczywiście czułam się jak świruska. Ale jednocześnie coś mi mówiło, że to kłamstwo jest uzasadnione. Poznaliśmy się z Auggiem, gdy miałam sześć lat. Patrzyłam, jak rośnie. Bawiłam się z nim. Dla niego obejrzałam całe *Gwiezdne wojny*, wszystkie sześć części, żeby móc rozmawiać o rasach, łowcach nagród i różnych takich. To ja dałam mu hełm kosmonauty, którego nie zdejmował przez dwa lata. No więc właściwie mam prawo myśleć o nim jak o swoim bracie.

Najdziwniejsze jest to, że przez te kłamstwa i wymysły zyskałam popularność. Dziewczynki wypaplały wszystko innym pomocom wychowawców, a te się zachwyciły. Nigdy w życiu nie zaliczałam się do popularnych dziewczyn pod jakimkolwiek względem, ale na tegorocznym obozie wszyscy z jakiegoś powodu chcieli się ze mną kolegować. Nawet dziewczyny z pawilonu 32 za mną szalały, a właśnie one stały na szczycie drabiny popularności. Mówiły, że podobają im się moje włosy (potem zmieniły mi kolor) i że fajnie się maluję (potem zmieniły mi również makijaż). Pokazały, jak przerobić T-shirt na zawiązywaną na szyi bluzkę bez pleców. Paliłyśmy razem papierosy. Nocą wymykałyśmy

się z pawilonów i szłyśmy przez las do obozu dla chłopców. Umawiałyśmy się z chłopakami.

Po powrocie z obozu od razu zadzwoniłam do Elli, żeby się z nią spotkać. Nie wiem, dlaczego nie zadzwoniłam do Vii. Pewnie nie miałam ochoty rozmawiać z nią o tym, co się u mnie działo. Zaraz zaczęłaby pytać o rodziców i o obóz. Ella właściwie nie interesowała się moimi sprawami. Dlatego przyjaźń z nią nie wymagała wysiłku. Ella nie była taką poważną dziewczyną jak Via. Lubiła się śmiać i bawić. Gdy ufarbowałam włosy na różowo, uznała, że wyglądam super. Chciała wiedzieć wszystko o naszych nocnych wyprawach przez las.

# Szkoła

Przez ten rok rzadko spotykałam Vię w szkole, a jeśli już rozmawiałyśmy, czułam się niezręcznie. Miałam wrażenie, że ona mnie ocenia. Na pewno nie podobała jej się zmiana mojego wyglądu. Ani moje nowe koleżanki. Z wzajemnością. Nie doszło między nami do kłótni – po prostu odsunęłyśmy się od siebie. Ella i ja często ją obgadywałyśmy: że jest skromnisią, że jest taka, że jest owaka. Wiedziałyśmy, że to wstrętne, ale łatwiej nam było ochłodzić znajomość z nią, gdy mogłyśmy jej coś zarzucić. Tak naprawdę zmieniła się nie ona, ale my. To my stałyśmy się innymi osobami, natomiast ona pozostała taka jak dawniej. Bardzo mnie to drażniło. Nie wiedziałam dlaczego.

Podczas przerwy na lunch rozglądałam się niekiedy po stołówce, ciekawa, z kim Via siedzi przy stoliku, albo szukałam jej na liście zajęć fakultatywnych, żeby zobaczyć, na które się

zapisała. Oprócz kiwania sobie głowami na korytarzu i przelotnego „cześć” właściwie nie utrzymywałyśmy kontaktu.

Mniej więcej w połowie roku szkolnego zauważyłam Justina. Przedtem w ogóle nie zwracałam na niego uwagi, to znaczy wiedziałam tylko tyle, że jest w szkole taki dość ładny chudzielec z długimi włosami, który nosi grube okulary i zawsze ma przy sobie skrzypce. Pewnego dnia zobaczyłam go przed budynkiem, jak obejmuje Vię. „Via znalazła sobie chłopaka”, powiedziałam z lekką drwiną do Elli. Nie wiem, dlaczego zdziwiło mnie, że ma chłopaka. Z nas trzech była absolutnie najładniejsza: śliczne niebieskie oczy i długie, ciemne, falujące włosy. Tyle że nigdy nie interesowała się chłopakami. Zachowywała się tak, jakby była za mądra na takie rzeczy.

Też chodziłam już z chłopakiem: miał na imię Zack. Gdy mu powiedziałam, że zapisałam się na zajęcia teatralne, pokręcił głową, mówiąc: „Oby gwiazdorstwo nie uderzyło ci do głowy”. Mało sympatyczny koleś, sądząc po tej uwadze, za to bardzo przystojny. Wysoko na drabinie popularności. Członek szkolnej drużyny sportowej.

Na zajęcia teatralne zapisałam się pod wpływem impulsu, widząc nazwisko Vii na liście. Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Przez większą część semestru unikałyśmy się nawzajem, tak jakbyśmy w ogóle się nie znały. Któregoś dnia przyszłam na zajęcia trochę wcześniej i Davenport poprosił mnie, żebym skserowała jeszcze kilka egzemplarzy sztuki *Człowiek-słoń*, którą chciał przygotować na pokaz wiosenny. Słyszałam o tej sztuce, ale jej nie znałam, więc zaczęłam przeglądać tekst, czekając w kolejce do kopiarki. Głównym bohaterem jest John Merrick, potwornie zdeformowany człowiek, który żył ponad sto lat temu.

– Nie możemy tego zagrać, panie profesorze – powiedziałam po powrocie do sali i wyjaśniłam dlaczego: mój młodszy brat urodził się ze zniekształconą twarzą i ta sztuka trafi go w czuły punkt.

Davenport zirytował się i okazał mało życzliwości, więc dałam mu do zrozumienia, że moi rodzice będą mieli poważne pretensje do szkoły o wystawienie tej sztuki. W końcu zmienił zdanie i wybrał *Nasze miasto*.

Chciałam zagrać Emily Gibbs, ponieważ wiedziałam, że Via też się stara o tę rolę. Nigdy bym nie pomyślała, że przypadnie mnie.

# Za tym tęsknię najbardziej

Gdy przestałam się przyjaźnić z Vią, tęskniłam zwłaszcza za jej rodziną. Uwielbiałam rodziców Vii. Zawsze byli wobec mnie tacy ciepli i mili. Wiedziałam, że kochają swoje dzieci ponad wszystko. U nich czułam się bezpiecznie: bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Czy to nie żałosne, że miałam większe poczucie bezpieczeństwa w cudzym domu niż we własnym? No i oczywiście kochałam Auggiego. W ogóle się go nie bałam, nawet w dzieciństwie. Część moich przyjaciół nie mogła uwierzyć, że chodzę do domu Vii. „Dostaję gęsiej skórki na widok jego twarzy”, mówili. „Gadasz głupoty”, odpowiadałam. Gdy człowiek przywyknie do twarzy Auggiego, wcale nie wydaje się taka okropna.

Kiedyś zadzwoniłam do Pullmanów, żeby pogadać z Auggiem. Być może miałam nadzieję, że Via odbierze telefon, bo ja wiem?

– Cześć, majorze Tomie! – powitałam go, używając przezwiska, jakie mu nadałam.

– Miranda! – Tak się ucieszył na dźwięk mojego głosu, że aż się zdziwiłam. – Chodzę do normalnej szkoły! – pochwalił się z dumą.

– Naprawdę? O rany! – Byłam kompletnie zszokowana. Nie przypuszczałam, że pójdzie do zwykłej szkoły. Rodzice bardzo się o niego troszczyli. Chyba wyobrażałam sobie, że Auggie pozostanie na zawsze tym małym chłopaczkiem, któremu dałam hełm kosmonauty. Z rozmowy z nim domyśliłam się, że nic nie wie o tym, jak bardzo Via i ja oddaliłyśmy się od siebie. – W liceum jest inaczej – wytłumaczyłam mu. – Kolegujesz się z całą masą różnych ludzi.

– W nowej szkole mam przyjaciół – oznajmił. – Chłopak nazywa się Jack, a dziewczyna Summer.

– Super, Auggie – ucieszyłam się. – Właściwie chcę ci powiedzieć, że tęsknię za tobą i życzę ci dobrego roku. Dzwoń do mnie, kiedy tylko masz ochotę. Wiesz, że kocham cię na zawsze.

– Ja ciebie też, Miranda!

– Pozdrów ode mnie Vię. Powiedz, że za nią tęsknię.

– Powiem. Cześć!

– Cześć!

# Będę nadzwyczajna, ale nikt tego nie zobaczy

Ani moja matka, ani ojciec nie mogli przyjść na premierę: mama była zajęta w pracy, a tato musiał być pod telefonem, bo jego nowa żona miała lada chwila rodzić.

Zack też nie mógł przyjść: grał mecz siatkówki z reprezentacją prywatnej szkoły Collegiate, z którego nie mógł zrezygnować. Tak naprawdę chciał, żebym odpuściła premierę i mu kibicowała. Moje „przyjaciółki" poleciały oczywiście na mecz, bo grali ich chłopcy. Nawet Ella się nie pojawiła. Miała możliwość wyboru i poszła z tłumem.

I tak na premierze nie było nikogo w miarę mi bliskiego. Co więcej, uświadomiłam sobie na trzeciej czy czwartej próbie, że mam talent aktorski. Czułam rolę. Rozumiałam, co mówię. Wypowiadałam tekst tak, jakby siedział w mojej

głowie i sercu. Mogę uczciwie stwierdzić, że w dniu premiery wiedziałam, że będę więcej niż dobra: będę wspaniała. Zagram nadzwyczajnie, tyle że nikt nie przyjdzie i tego nie zobaczy.

Staliśmy za kulisami, nerwowo powtarzając w myślach swoje kwestie. Zerknęłam przez szparę w kurtynie na ludzi zajmujących miejsca na widowni. Wtedy dostrzegłam Auggiego, który szedł razem z Isabel i Natem w stronę przednich rzędów. Usiedli w piątym rzędzie, prawie na środku. Auggie miał muszkę i rozglądał się podekscytowany. Trochę urósł od czasu, gdy ostatnio go widziałam, a było to rok temu. Miał krótsze włosy i nosił chyba aparat słuchowy. Twarz w ogóle mu się nie zmieniła.

Davenport razem ze scenografem w ostatniej chwili poprawiali coś przy dekoracjach. Justin chodził tam i z powrotem za kulisami po lewej stronie, mamrocząc pod nosem tekst.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie mogę dzisiaj wystąpić – powiedziałam do pana Davenporta, sama zaskoczona swoimi słowami.

Powoli odwrócił się w moją stronę.

– Co takiego?

– Przepraszam.

– Żarty sobie robisz?

– Coś mi… – wybełkotałam, spuszczając wzrok. – Źle się czuję. Mam mdłości. – To była nieprawda.

– Dygotki na pięć minut przed dzwonkiem…

– Nie! Nie dam rady. Naprawdę.

Na twarzy Davenporta malowała się wściekłość.

– Jak możesz?!

– Przepraszam!

Wciągnął powietrze, jakby próbował zapanować nad sobą. Szczerze mówiąc, miałam wrażenie, że zaraz wybuchnie. Czoło mu się zaczerwieniło.

– Mirando, twoje zachowanie jest nie do przyjęcia! Odetchnij parę razy głęboko i…

– Nie zagram! – oświadczyłam głośno i dość łatwo zmusiłam się do płaczu.

– Świetnie! – wrzasnął Davenport, nie patrząc na mnie, i wydał polecenie Davidowi, odpowiedzialnemu za scenografię: – Idź po Olivię do kabiny operatorów świateł. Powiedz jej, że zastąpi dzisiaj Mirandę.

– Jak to? – zdziwił się David, chłopak niezbyt bystry.

– Idź! No już! – rzucił mu prosto w twarz Davenport.

Ludzie załapali, co się dzieje, i stanęli dokoła nas.

– Co jest? – zapytał Justin.

– Zmiana planów w ostatniej chwili – wyjaśnił Davenport. – Miranda źle się czuje.

– Jest mi niedobrze – oznajmiłam, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

– W takim razie co tu jeszcze robisz? – warknął Davenport. – Zamiast gadać, zdejmij kostium i daj go Olivii! Jasne? No już, wszyscy na swoje miejsca! Jazda!

Pędem pobiegłam do garderoby. Ledwie zaczęłam się przebierać, rozległo się pukanie i Via uchyliła drzwi.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Wkładaj, szybko. – Podałam jej suknię.

– Źle się czujesz?

– Tak! Pośpiesz się!

Via miała oszołomioną minę. Zdjęła T-shirt i dżinsy i zaczęła wkładać przez głowę długą suknię. Pomogłam jej i zapięłam suwak na plecach. Na szczęście Emily Webb wchodziła na scenę dopiero dziesięć minut po rozpoczęciu się sztuki, więc dziewczyna zajmująca się charakteryzacją miała czas upiąć jej włosy i szybko ją umalować. Nigdy nie widziałam Vii z mocnym makijażem: wyglądała jak modelka.

– Nie wiem, czy pamiętam swój tekst – powiedziała, przeglądając się w lustrze. – To znaczy twój.

– Pójdzie ci doskonale – uspokoiłam ją.

Spojrzała na moje odbicie w lustrze i zapytała:

– Dlaczego to robisz, Miranda?

– Olivia! – Od drzwi doleciał głos Davenporta. – Wchodzisz za dwie minuty. To twoja wielka chwila!

Via wyszła za nim z garderoby, więc nie miałam możliwości jej odpowiedzieć. Nie wiem, co bym powiedziała. Nie byłam pewna, jaka jest odpowiedź na to pytanie.

# Występ

Oglądałam sztukę zza kulis, stojąc obok Davenporta tuż przy scenie. Justin był wspaniały, a Via – w tej rozdzierającej serce końcowej scenie – fantastyczna. Raz się trochę sypnęła, ale Justin ją uratował i widzowie niczego nie zauważyli. Davenport mamrotał pod nosem: „Dobrze, znakomicie”. Był bardziej roztrzęsiony niż wszyscy uczniowie razem wzięci: aktorzy, scenografowie, oświetleniowcy i operator kurtyny. Prawdę mówiąc, wyglądał jak wrak człowieka.

Tylko raz trochę żałowałam – jeśli w ogóle można tak to określić – swojej decyzji, gdy każdy po kolei wychodził na scenę, zbierając oklaski. Via i Justin wyszli ostatni i kiedy się kłaniali, widownia wstała z miejsc. Cała moja radość zmieszała się wtedy z lekkim żalem. Ale zaraz zobaczyłam Nate’a, Isabel i Auggiego, jak idą przeszczęśliwi za kulisy. Wszyscy gratulowali

aktorom, klepali ich po plecach. Panował wariacki chaos, jak to bywa za kulisami w teatrze, gdy spoceni aktorzy, przepełnieni euforią, przyjmują przez kilka sekund hołdy. W pewnej chwili zobaczyłam Auggiego, który sprawiał wrażenie zagubionego w tym tłumie. Przepchnęłam się jak najszybciej między ludźmi i zaszłam go od tyłu.

– Cześć, majorze Tomie! – powiedziałam.

# Po przedstawieniu

Nie wiem, dlaczego tak się ucieszyłam, widząc Augusta po takiej długiej przerwie, ani nie umiem opisać, jak dobrze się poczułam, gdy mnie uścisnął.

– Nie do wiary, że aż tak urosłeś – powiedziałam.

– Myślałem, że wystąpisz w sztuce!

– Nie dałam rady. Ale Via zagrała świetnie, prawda?

Kiwnął głową. Chwilę później odnalazła nas Isabel.

– Miranda! – zawołała, całując mnie w policzek, po czym zwróciła się do syna: – Żebyś mi więcej tak nie znikał.

– To ty zniknęłaś – zauważył.

– Jak się czujesz? – zapytała Isabel. – Via mówiła, że zrobiło ci się niedobrze…

– Dużo lepiej – uspokoiłam ją.

– Przyszła twoja mama?

– Nie. Jest zajęta w pracy. Więc nie przejmuję się, że nie mogłam wystąpić – wyjaśniłam zgodnie z prawdą. – Poza tym mamy jeszcze dwa przedstawienia. Nie wydaje mi się jednak, żebym była tak dobra w roli Emily jak dzisiaj Via.

Gdy podszedł do nas Nate, ta rozmowa się powtórzyła. Potem Isabel powiedziała:

– Chcemy uczcić sukces przedstawienia kolacją. Dołączysz do nas? Serdecznie zapraszamy.

– Och, nie… – wymamrotałam.

– Prooooszę – odezwał się Auggie.

– Będzie nam bardzo miło – dodał Nate.

Tymczasem podeszli do nas Via z Justinem i mamą Justina.

– Idziesz z nami. Nie ma dwóch zdań – oświadczyła Via, obejmując mnie i uśmiechając się jak dawniej.

Przeprowadzili mnie przez tłum ludzi i muszę przyznać, że po raz pierwszy od długiego, długiego czasu byłam absolutnie szczęśliwa.

# Część ósma

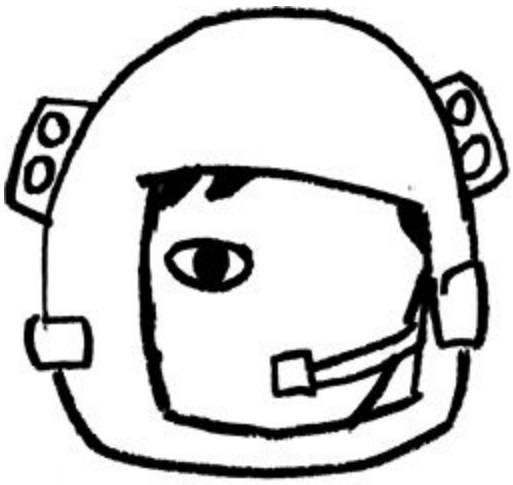

August

*Sięgniesz nieba*
*Wzlecisz… Moje piękne dziecko*

Eurythmics, *Piękne dziecko*

# Zielona szkoła dla piątych klas

Każdej wiosny uczniowie piątych klas jadą na trzy dni i dwie noce do rezerwatu przyrody Broarwood w Pensylwanii. Podróż autokarem trwa cztery godziny. Śpi się w drewnianych chatach z piętrowymi łóżkami, pali się ogniska i je krakersy z pieczoną pianką cukrową i czekoladą, no i chodzi się po lesie. Nauczyciele przygotowują nas do tej wyprawy przez cały rok, więc wszyscy piątoklasiści cieszą się na wyjazd – oprócz mnie. To nie znaczy, że w ogóle się nie cieszę – bo właściwie tak – ale chodzi o to, że nigdy nie spałem poza domem i trochę się boję, jak to będzie.

Większość dzieciaków w moim wieku już nocowała u kolegów. Jeździła na obozy albo zostawała na noc u dziadków. Ja nie – jeśli nie liczyć pobytów w szpitalu, ale nawet wtedy zawsze miałem koło siebie mamę czy tatę. Nie nocowałem u babci i dziadka ani u cioci Kate

i wujka Po. Gdy byłem naprawdę mały, działo się tak z powodu mojego zdrowia, na przykład co godzinę należało czyścić mi rurkę tracheostomijną lub wkładać rurkę do karmienia, gdy się wysunęła. Kiedy podrosłem, nie chciało mi się spać poza domem. Raz niewiele brakowało, a nocowałbym u Christophera. Mieliśmy wtedy może osiem lat i wciąż byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Całą rodziną pojechaliśmy w odwiedziny do jego rodziców. Wspaniale bawiliśmy się z Christopherem klockami lego z serii *Gwiezdne wojny* i gdy przyszła pora powrotu do domu, wcale nie chcieliśmy się rozstawać. Obaj prosiliśmy, żeby nasi rodzice pozwolili mi zostać na noc. Zgodzili się. Mama, tato i Via pojechali do domu, a my bawiliśmy się do północy, aż Lisa, mama Christophera, powiedziała, że czas spać. I wtedy trochę spanikowałem. Lisa próbowała mnie uśpić, ale zacząłem płakać i jęczeć, że chcę do domu. W końcu o pierwszej w nocy zadzwoniła do moich rodziców i tato musiał przyjechać do Bridgeport. Wróciliśmy do domu po trzeciej. Tak więc moje pierwsze i ostatnie, jak dotąd, nocowanie poza domem okazało się niewypałem. Dlatego trochę się boję wyjazdu na zieloną szkołę.

Ale jednocześnie bardzo się cieszę.

# Z czego człowieka znają

Poprosiłem mamę, żeby kupiła mi nową torbę na kółkach, bo na starej były obrazki z *Gwiezdnych wojen* i nie wyobrażałem sobie, że zabiorę ją na zieloną szkołę. Uwielbiam *Gwiezdne wojny*, ale nie chcę, żeby mnie z tego znano. Każdy uczeń klas średnich podstawówki jest z czegoś znany. Na przykład Leo znany jest z tego, że interesuje się światem podwodnym oceanów. Amos, wiadomo, świetnie gra w baseball. A Charlotte zasłynęła tym, że gdy miała sześć lat, wystąpiła w reklamie telewizyjnej. Z kolei Ximena jest naprawdę bystra i wszyscy to wiedzą.

Chodzi mi o to, że w piatej i szóstej klasie znają cię z tego, czym się zajmujesz, więc trzeba być ostrożnym w tych sprawach. Na przykład Maxowi G. i Maxowi W. nigdy nie będzie zapomniane, że mają hopla na punkcie gry RPG *Lochy i smoki*.

A więc starałem się trochę zatrzeć swój obraz fana *Gwiezdnych wojen*. To znaczy zawsze będą dla mnie wyjątkowe, tak jak były dla lekarza, który dał mi aparat słuchowy. Tylko nie chcę, żeby mnie z tego znano. Jeszcze nie wiem, z czego chcę być znany, ale na pewno nie z tego.

To niezupełnie prawda: wiem, z czego mnie znają. Tyle że nie mogę tego zmienić. Natomiast torbę z obrazkami z *Gwiezdnych wojen* mogę zmienić.

# Pakowanie

Dzień przed wielką podróżą mama pomogła mi się spakować. Na łóżku położyliśmy ubrania, które miałem wziąć. Patrzyłem, jaka mama równo składa rzeczy i wsadza je do torby. Tak na marginesie, torba była zwykła, niebieska, bez logo i nadruków.

– A jeżeli nie będę mógł w nocy zasnąć? – zapytałem.

– Weź ze sobą książkę. Poczytasz trochę przy latarce, aż zachce ci się spać – poradziła mi.

Kiwnąłem głową.

– A jeżeli przyśnią mi się koszmary?

– Będziesz miał wokół siebie nauczycieli, kochanie, Jacka i kolegów.

– Zabiorę Misiaczka. – To był mój ulubiony pluszak z dzieciństwa: mały czarny miś z miękkim czarnym noskiem.

– Przecież już z nim nie śpisz – zauważyła mama.

– No tak, ale trzymam go w szafie na wypadek, gdybym się obudził w środku nocy i nie mógł zasnąć – wytłumaczyłem jej. – Schowam go w torbie. Nikt nie będzie wiedział.

– Dobrze. – Mama kiwnęła głową i wyjęła Misiaczka z szafy.

– Szkoda, że nie pozwalają zabrać komórki.

– Też żałuję – przyznała. – Ale jestem przekonana, że będziesz się świetnie bawił. Na pewno mam zapakować Misiaczka?

– Uhm, ale na dno, żeby nikt go nie zobaczył.

Mama schowała Misiaczka głęboko w torbie i przykryła resztą T-shirtów.

– Tyle ubrań zaledwie na dwa dni!

– Trzy dni i dwie noce – poprawiłem ją.

– Racja, trzy dni i dwie noce – powtórzyła z uśmiechem. Zapięła suwak i podniosła torbę. – Nie jest taka ciężka. Zobacz.

Wziąłem od niej torbę.

– Może być.

Mama usiadła na moim łóżku.

– Co się stało z plakatem do *Imperium kontratakuje*? – zapytała.

– Zdjąłem go wieki temu.

– Coś takiego! Nie zauważyłam. – Pokręciła głową.

– Staram się trochę zmienić swój wizerunek, rozumiesz.

– W porządku. – Uśmiechnęła się, kiwając głową, jakby wiedziała, co mam na myśli. – Kochanie, obiecaj mi, że będziesz używał sprayu przeciwko owadom. Przede wszystkim pryskaj nogi, zwłaszcza podczas wędrówek przez las. Jest w kieszonce z przodu.

– Uhm.

– Smaruj się balsamem przeciwsłonecznym – dodała – żebyś się nie spiekł. No i zawsze, powtarzam: zawsze, zdejmuj aparat słuchowy, gdy idziesz popływać.

– Porazi mnie prąd?

– Nie, ale narazisz się tacie, bo te urządzenia kosztują majątek! – Zaśmiała się. – Do przedniej kieszeni torby włożyłam ci również pelerynę. Uważaj podczas deszczu, Auggie. Zasłaniaj aparat słuchowy kapturem, dobrze?

– Tak jest. – Zasalutowałem.

Uśmiechnęła się i przytuliła mnie.

– Ależ ty wyrosłeś przez ten rok, Auggie – powiedziała cicho, obejmując dłońmi moją twarz.

– Jestem wyższy?

– Bez wątpienia.

– Mimo to jestem najniższym uczniem we wszystkich piątych klasach.

– Nie miałam na myśli wzrostu.

– A jeżeli tam będzie okropnie? – zapytałem.

– Będzie wspaniale, Auggie.

Mama wstała i cmoknęła mnie w czoło.

– No to idziemy spać.

– Dopiero dziewiąta, mamo!

– Twój autokar odjeżdża jutro o szóstej rano. Chyba nie chcesz się spóźnić. No już, raz-dwa. Umyłeś zęby?

Kiwnąłem głową i wsunąłem się pod kołdrę. Mama już miała położyć się przy mnie, ale powiedziałem:

– Nie musisz mnie dzisiaj usypiać, mamo. Sam sobie poczytam, aż zachce mi się spać.

– Naprawdę? – Była zaskoczona. Ścisnęła mnie za rękę i ucałowała wierzch mojej dłoni. – Dobrze, kochanie. Śpij dobrze.

– Ty też.

Zapaliła przy łóżku lampkę do czytania.

– Będę pisał do was listy – powiedziałem, gdy szła do drzwi. – Nawet jeśli je dostaniecie po moim powrocie.

– Wtedy przeczytamy je razem. – Posłała mi buziaka.

Po jej wyjściu wziąłem ze stolika nocnego książkę *Lew, czarownica i stara szafa* i czytałem, aż opadły mi powieki.

> *…chociaż Czarownica zna Wielkie Czary, są czary jeszcze większe, o których nie wie. Jej wiedza sięga tylko początków czasu. Gdyby jednak potrafiła sięgnąć nieco dalej, w bezruch i ciemność sprzed początków czasu, poznałaby inne zaklęcie*[15].

# Świt

Następnego dnia obudziłem się bardzo wcześnie. W pokoju wciąż było ciemno, a na dworze jeszcze ciemniej, choć wiedziałem, że niedługo przyjdzie ranek. Przewróciłem się na drugi bok. Już nie chciało mi się spać. Nagle przy łóżku zobaczyłem Daisy. To znaczy wiedziałem, że to nie ona, ale przez sekundę mignął mi cień zupełnie do niej podobny. Wtedy nie myślałem, że mi się śni, lecz po czasie wiem, że musiało tak być. Ogarnęły mnie różne przyjemne uczucia, wcale nie smutne. Po chwili zniknęła i więcej nie pojawiła się w ciemności.

W pokoju robiło się coraz jaśniej. Włożyłem aparat słuchowy i świat naprawdę się przebudził. Słyszałem łoskot śmieciarek na ulicy i ptaki w ogrodzie za naszym domem. Z korytarza doleciało dzwonienie budzika mamy. Duch Daisy sprawił, że poczułem w sobie

przeogromną siłę, bo przekonałem się, że Daisy będzie przy mnie wszędzie.

Wstałem z łóżka i napisałem krótki liścik do mamy. Potem poszedłem do salonu, gdzie przy drzwiach stała torba z moimi rzeczami, i wyciągnąłem z niej Misiaczka. Zaniosłem go do swojego pokoju, posadziłem na łóżku i na piersi przykleiłem mu taśmą liścik do mamy. Nakryłem go kocem, żeby mama znalazła go później. W liściku napisałem:

*Kochana Mamo! Misiaczek nie będzie mi potrzebny. Gdy się za mną stęsknisz, możesz się z nim pomiziać. Uściski i buziaki, Auggie*

# Pierwszy dzień

Podróż autokarem minęła bardzo szybko. Miałem miejsce przy oknie, a Jack obok mnie, przy przejściu. Przed nami siedziała Summer z Mayą. Wszystkim dopisywał humor. Było sporo krzyku i sporo śmiechu. Od razu zauważyłem, że nie ma z nami Juliana, za to są Henry i Miles. Pomyślałem, że pewnie jedzie drugim autokarem, ale później doleciał mnie głos Milesa, który mówił Amosowi, że Julian wypiął się na ten wyjazd, bo, cytat, zielona szkoła to jedna wielka głupota. Ucieszyłem się, jak nie wiem co, ponieważ przebywanie z Julianem przez trzy dni z rzędu – i dwie noce – było głównym powodem mojego zdenerwowania. Skoro Juliana nie było, mogłem się teraz rozluźnić i niczym nie martwić.

Do rezerwatu przyrody dotarliśmy mniej więcej w południe. Najpierw zanieśliśmy rzeczy do chat. W każdym pokoju były trzy piętrowe łóżka, więc zagrałem z Jackiem w kamień,

papier, nożyczki o miejsce na górze i wygrałem. Hurra! Razem z nami mieszkali Leo, Tristan, Pablo i Nino.

Po lunchu, który podano w największej chacie, poszliśmy z przewodnikiem na dwugodzinną wędrówkę po lesie. To był prawdziwy las, nie taki jak w Central Parku. Ogromne korony prawie nie przepuszczały światła. Wśród liści leżały na ziemi zwalone drzewa. Niosło się jakieś wycie, także świergot i naprawdę głośne krzyki ptaków. Wokół nas snuła się lekka mgła, jakby jasnoniebieski dym. Było ekstra. Przewodnik pokazywał nam wszystko: różne gatunki drzew, owady w kłodach drewna, tropy jeleni i niedźwiedzi, mówił, jakie ptaki śpiewają i gdzie ich wypatrywać. Okazało się, że w aparacie słyszę lepiej od innych – ja pierwszy wyłapywałem głos nowego ptaka.

Gdy wracaliśmy do obozu, zaczęło padać. Wyjąłem pelerynę i naciągnąłem kaptur, żeby nie uszkodził się aparat słuchowy, ale zanim dotarliśmy do naszych chat, przemokły mi dżinsy i buty. Jak wszystkim. Mimo to było wesoło. W chacie stoczyliśmy bitwę na mokre skarpetki.

Ponieważ wciąż lało, przez resztę popołudnia wygłupialiśmy się w pokoju do zabaw. Był tam

stół do ping-ponga i przestarzałe automaty do takich gier jak Pac-Man czy Missile Command, w które graliśmy do kolacji. Na szczęście pod wieczór deszcz ustał i mogliśmy jeść przy prawdziwym ognisku. Długie ławy z bali wciąż były wilgotne, ale położyliśmy na nich kurtki i pałaszowaliśmy pieczoną piankę cukrową i hot dogi, najlepsze, jakie jadłem w życiu. Mama miała rację co do komarów: latały chmarami. Na szczęście spryskałem się przed wyjściem z chaty, więc nie pożarły mnie żywcem jak innych.

Cudownie było siedzieć po zmroku przy ognisku. Snop iskier unosił się i znikał w nocnych ciemnościach. Ogień oświetlał twarze ludzi. Szumiał i strzelał. Las był taki ciemny, że człowiek nie widział wokół siebie nic, a gdy uniósł głowę, widział miliony gwiazd. W naszej dzielnicy w Nowym Jorku niebo jest inne. Podobnie wygląda za to w Montauk: jakby ktoś rozsypał sól na błyszczącym czarnym stole.

Wróciłem do chaty taki zmęczony, że nawet nie sięgnąłem po książkę. Zasnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki. I może śniły mi się gwiazdy – nie pamiętam.

# Wesołe miasteczko

Następnego dnia też było wspaniale. Rano jeździliśmy konno, a po południu przewodnicy uczyli nas wspinać się z liną na wielgachne drzewa. Znowu porządnie zmęczeni wróciliśmy do obozu na kolację. Następnie powiedziano nam, że mamy godzinę na odpoczynek, a potem jedziemy do nocnego kina na powietrzu, które jest w wesołym miasteczku, piętnaście minut jazdy autokarem od nas.

Dotąd nie miałem okazji napisać listu do mamy, taty i Vii, więc po kolacji zabrałem się do pisania. Opowiedziałem im o wszystkim, co robiliśmy tego dnia i poprzedniego. Wyobraziłem sobie, jak czytam im ten list po powrocie, bo przecież na pewno nie dotrze do nich przede mną.

Kiedy przyjechaliśmy do wesołego miasteczka, słońce właśnie zachodziło. Była mniej więcej siódma trzydzieści. Na trawie kładły

się długie cienie, a chmury przybierały różowe i pomarańczowe kolory. Wyglądało to tak, jakby ktoś potarł niebo ręką umazaną kredkami do rysowania na chodnikach. To nie znaczy, że w dużym mieście nie ma ładnych zachodów słońca. Nieraz takie widziałem – zwykle na skrawku nieba między budynkami – ale nie byłem przyzwyczajony do widoku tak rozległego nieba, w którąkolwiek stronę się obróciłem. Dopiero tu zrozumiałem, dlaczego dawno, dawno temu ludzie uważali, że ziemia jest płaska, a niebo przykrywa ją jak kopuła. Tak to właśnie wyglądało na tej wielkiej łące.

Ponieważ nasza szkoła przybyła wcześniej niż inne, mogliśmy biegać po całym terenie, aż nauczyciele powiedzieli nam, że czas rozłożyć śpiwory na trawie, jak koce piknikowe, przed ogromnym ekranem na środku łąki. Potem oblegliśmy rozstawione na skraju furgonetki z różnymi przegryzkami, słodyczami i napojami. Były tam również stragany, gdzie farmerzy sprzedawali swoje produkty, i kioski z prażonymi orzeszkami ziemnymi i watą cukrową. Trochę dalej stały budki, takie jak na festynach, gdzie można wygrać pluszaka, jeżeli wrzuci się piłkę do koszyka. Obaj z Jackiem spróbowaliśmy, ale nie udało nam się nic wygrać, za to Amos wygrał

żółtego hipcia i dał go Ximenie, a potem krążyły plotki o mięśniaku i mózgowcu.

Stojąc przy straganach, widziało się za ekranem pole kukurydzy. Otaczało jedną trzecią łąki, a reszta była otoczona lasem. W miarę jak słońce schodziło coraz niżej, wysoka ściana lasu nabierała granatowego koloru.

Kiedy na parking zaczęły wjeżdżać autokary z innych szkół, my już siedzieliśmy na swoich śpiworach przed samym ekranem, gdzie były najlepsze miejsca. Wszyscy częstowaliśmy się nawzajem słodyczami i doskonale się bawiliśmy. Razem z Jackiem, Summer, Leo i Mayą graliśmy w kalambury. Słyszeliśmy warkot kolejnych autokarów, głośne śmiechy i rozmowy dzieci wchodzących na łąkę po naszej lewej i prawej stronie, ale nie mogliśmy ich dojrzeć. Choć niebo wciąż było jasne, słońce schowało się za horyzontem i wszystko na ziemi przybrało ciemnofioletową barwę. Chmury pociemniały. Z trudem widzieliśmy karty do gry.

Niespodziewanie zapaliły się światła na brzegu łąki. Wyglądały jak reflektory na stadionie. Przypomniała mi się scena z filmu *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*, gdy ląduje statek z przybyszami z kosmosu i rozbrzmiewa pięć dźwięków. Wszyscy na łące zaczęli bić

brawo i wznosić okrzyki, jakby wydarzyło się coś niezwykłego.

# Dbaj o przyrodę

Z ogromnych głośników stojących przy reflektorach rozległy się słowa:

– Witamy na corocznej, już dwudziestej trzeciej, Wielkiej Nocy Filmowej w rezerwacie przyrody Broarwood. Witamy nauczycieli i uczniów z… ze szkoły podstawowej średniej numer trzysta czterdzieści dwa Wiliama Heatha… – Zabrzmiały okrzyki po lewej stronie łąki. – Witamy nauczycieli i uczniów z Akademii Glover… – Tym razem wiwatowano po prawej stronie. – Witamy również nauczycieli i uczniów ze szkoły podstawowej Beechera! – Cała nasza grupa krzyczała ze wszystkich sił. – Ogromnie się cieszymy, mogąc was dzisiaj gościć, zwłaszcza przy sprzyjającej pogodzie. Wierzyć się nie chce, że mamy taką piękną noc! – Znowu rozległy się krzyki i wrzaski. – Zanim rozpoczniemy pokaz filmu, prosimy o chwilę uwagi. Chcemy wam przekazać kilka ważnych informacji. Jak wiecie,

nasz rezerwat służy ochronie bogactw naturalnych i środowiska. Prosimy, żebyście nie zostawiali po sobie śmieci. Jeżeli będziecie dbać o przyrodę, ona zadba o was. Pamiętajcie o tym, spacerując po terenie. Nie wychodźcie poza granicę wesołego miasteczka, wytyczoną pomarańczowymi szyszkami. Nie zapuszczajcie się na pole kukurydzy ani do lasu. Starajcie się jak najmniej kręcić po terenie. Nawet jeżeli nie macie ochoty oglądać filmu, pamiętajcie o tym, że może on interesować waszych kolegów, więc zachowujcie się kulturalnie: nie rozmawiajcie, nie puszczajcie muzyki i nie biegajcie po łące. Toalety znajdują się za straganami. Po filmie będzie już ciemno, dlatego trzymajcie się razem i całą grupą wracajcie do autokarów. Jeszcze parę słów do nauczycieli: podczas Wielkiej Nocy Filmowej w Broarwood zwykle co najmniej jedna osoba gdzieś się zabłąka, więc uważajcie, żeby to się nie przytrafiło wam! A teraz zapraszamy na film… *Dźwięki muzyki*!

Widziałem *Dźwięki muzyki* kilka razy, mimo to natychmiast zacząłem klaskać, bo był to ulubiony film Vii od zawsze. Zdziwiłem się, gdy jakaś grupa dzieciaków (nie z naszej szkoły) zaczęła buczeć, psykać i rechotać. Ktoś z prawej strony łąki rzucił nawet puszką po napoju

w ekran, co chyba zaskoczyło pana Tushmana, bo wstał i spojrzał w tamtą stronę, choć i tak było za ciemno, żeby kogoś dostrzegł.

Zaraz puścili film. Reflektory przygasły. Zakonnica Maria wbiegła na szczyt góry i obróciła się w koło. Nagle zrobiło mi się zimno, więc włożyłem żółtą bluzę z kapturem, potem poprawiłem głośność aparatu słuchowego, oparłem się o plecak i skupiłem na filmie.

„Góry ożywają…”.

# Las ożywa

Zaczął się nudny kawałek, w którym gość o imieniu Rolf i najstarsza córka kapitana śpiewają *Masz szesnaście lat, wkrótce siedemnaście*, gdy poczułem, jak Jack szturcha mnie w bok.

– Muszę się wysikać, kolo – szepnął.

Obaj wstaliśmy i przeszliśmy między i nad dzieciakami siedzącymi albo leżącymi na śpiworach. Summer kiwnęła nam ręką, więc też jej pomachałem.

Przy furgonetkach z przekąskami kręciło się dużo uczniów z innych szkół. Grali w różne gry albo po prostu stali i gadali.

Do toalet była oczywiście długa kolejka.

– Ani mi się śni. Idę za drzewo – oświadczył Jack.

– Tak się nie robi. Poczekajmy – odpowiedziałem.

Ale on już ruszył w stronę drzew na skraju łąki, za pomarańczowymi szyszkami, za które wyraźnie zabroniono nam wychodzić. Oczywiście poszedłem za nim. I oczywiście nie mieliśmy przy sobie latarek, bo zapomnieliśmy je zabrać. Było już tak ciemno, że wchodząc w las, nie widzieliśmy dalej niż na dziesięć kroków. Od ekranu na szczęście odbijało się światło i gdy mignęła nam latarka między drzewami, od razu zobaczyliśmy Henry'ego, Milesa i Amosa. Pewnie też nie chciało im się czekać w kolejce.

Miles i Henry nadal nie odzywali się do Jacka, za to Amos odpuścił sobie tę wojnę jakiś czas temu. Gdy ich mijaliśmy, rzucił „cześć".

– Uważajcie na niedźwiedzie! – krzyknął za nami Henry i razem z Milesem wybuchnął śmiechem.

Amos spojrzał na nas i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie zwracajcie na nich uwagi".

Weszliśmy parę kroków w głąb lasu. Jack zaczął szukać idealnego drzewa i w końcu je znalazł, choć miałem wrażenie, że trwało to wieki.

Spomiędzy drzew dolatywały dziwne odgłosy, świergot i krakanie, ściana dźwięków przesuwała się na brzeg lasu. Po chwili

usłyszeliśmy głośne trzaski, jak strzały z kapiszona, których na pewno nie wydawały owady. Gdzieś z daleka, jakby z innego świata, płynęła piosenka *Krople dżdżu na różach i kocie wąsiczki*.

– Duża ulga – odezwał się Jack, zaciągając suwak.

– Teraz ja muszę się wysikać – powiedziałem i zrobiłem to przy najbliższym drzewie.

Ani mi w głowie było wchodzić głębiej do lasu, jak Jack.

– Czujesz ten zapach? – zapytał, podchodząc do mnie. – Jakby petarda.

– Zgadza się – przytaknąłem, zapinając spodnie. – Dziwne.

– Idziemy.

# Obcy

Ruszyliśmy tą samą drogą z powrotem, kierując się na wielki ekran. Wtedy wpadliśmy na grupę nieznajomych. Właśnie wyszli z lasu, gdzie na pewno robili coś, o czym nie powinni wiedzieć ich nauczyciele. Poczułem zapach petard i papierosów. Skierowali na nas latarkę. Było ich sześcioro: czterech chłopaków i dwie dziewczyny. Wyglądali na siódmoklasistów.

– Z jakiej jesteście szkoły? – zapytali.

– Z podstawówki Beechera – odezwał się Jack, gdy nagle jedna z dziewczyn zaczęła krzyczeć.

– O Boże! – wrzasnęła, zasłaniając oczy ręką jak przy płaczu.

Przyszło mi na myśl, że wpadł jej do oka jakiś duży owad.

– No nie! – wykrzyknął jeden z chłopaków i zaczął machać ręką, jakby się oparzył, a potem przyłożył ją do ust. – Niemożliwe! No niemożliwe!

Wszyscy rechotali, zasłaniali oczy, szturchali jeden drugiego i głośno przeklinali.

– Co to takiego? – zapytał chłopak, który celował w nas latarką.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że światło latarki pada na moją twarz i że ich słowa, a właściwie wrzaski, dotyczą mnie.

– Idziemy stąd – szepnął Jack, pociągnął mnie za rękaw i zrobił parę kroków.

– Zaraz, zaraz! – wydarł się ten z latarką i zagrodził nam drogę. Znowu wycelował latarkę w moją twarz. Teraz stał może cztery kroki ode mnie. – O rany! O rany! – powtarzał, rozdziawiając usta i kręcąc głową. – Co ci się stało w twarz?

– Przestań, Eddie – odezwała się jedna z dziewczyn.

– Nie spodziewałem się, że będziemy dzisiaj oglądać *Władcę pierścieni*! Popatrzcie, mamy tu Golluma!

Jego kumple ryknęli śmiechem.

Znów spróbowaliśmy odejść, ale ten Eddie znów zagrodził nam drogę. Był co najmniej o głowę wyższy od Jacka, który był o głowę wyższy ode mnie, więc dla mnie ten gość był ogromny.

– Co ty! Oglądamy *Obcego*! – powiedział jeden z chłopaków.

– Nie, nie, chłopie, to ork! – Eddie zaśmiał się i skierował na mnie latarkę, stając tuż przed nami.

– Zostaw go! – krzyknął Jack i odepchnął rękę, w której tamten trzymał latarkę.

– Może mnie zmusisz? – rzucił Eddie, oświetlając Jacka.

– Co ci się nie podoba, kolo? – zapytał Jack.

– Twój chłoptyś mi się nie podoba!

– Idziemy, Jack. – Pociągnąłem go za rękę.

– O rany, to coś gada! – wykrzyknął Eddie, znowu świecąc mi w twarz.

Wtedy jeden z chłopaków rzucił nam pod nogi petardę.

Gdy Jack chciał się przecisnąć obok Eddiego, ten uderzył go obiema rękami w barki, popchnął i przewrócił na plecy.

– Eddie! – krzyknęła któraś z dziewczyn.

– Słuchajcie… – Stanąłem przed Jackiem i podniosłem ręce jak policjant kierujący ruchem. – Jesteśmy dużo mniejsi od was…

– Do mnie mówisz, Freddy Krueger? Ze mną lepiej nie zadzieraj, ty małpoludzie – warknął Eddie.

W tym momencie zrozumiałem, że powinienem uciekać stamtąd jak najszybciej, ale Jack wciąż leżał na ziemi i nie zamierzałem go zostawić samego.

– Cześć, kolo. Co się dzieje? – rozległ się jakiś inny głos za naszymi plecami.

Eddie szybko się odwrócił i skierował latarkę na mówiącego. Przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom.

– Zostaw ich, kolo – odezwał się Amos, za którym stali Miles i Henry.

– Kto tak powiedział? – zapytał kumpel Eddiego.

– Zostaw ich, i już – powtórzył spokojnie Amos.

– Też jesteś małpoludem? – rzucił Eddie.

– Jak cała ich paczka! – wtrącił któryś z jego kolesi.

Amos przeniósł wzrok na nas i powiedział:

– Chodźcie, chłopaki. Pan Tushman na nas czeka.

Wiedziałem, że to nieprawda, ale pomogłem Jackowi wstać i zrobiliśmy parę kroków w stronę Amosa. Ni stąd, ni zowąd któryś z kumpli Eddiego szarpnął mnie za kaptur tak mocno, że upadłem na plecy i porządnie stłukłem sobie łokieć o kamień. Słabo widziałem, co się potem

działo, ale wiem, że Amos rąbnął bykiem Eddiego i obaj zwalili się obok mnie na ziemię.

Potem rozpętało się szaleństwo. Ktoś pociągnął mnie za rękaw i postawił na nogi, krzycząc: „Uciekaj!”, a jednocześnie ktoś inny wrzasnął: „Łapać ich!” i przez chwilę czułem, jak dwóch chłopaków ciągnie mnie za rękawy bluzy w przeciwnych kierunkach, ostro przeklinając. Nagle bluza się rozerwała i ten pierwszy chłopak chwycił moją rękę i rzucił się do ucieczki, pociągając mnie za sobą. Biegłem, jak mogłem najszybciej. Słyszałem za plecami tupot, krzyki, piski dziewczyn, ale było za ciemno, żeby rozpoznać, kto krzyczy – wydawało mi się, że słyszę wszystko jakby spod wody. Pędziliśmy jak wariaci, w kompletnych ciemnościach. Gdy zwalniałem, ten chłopak ciągnął mnie za rękę i krzyczał: „Biegnij!”.

# Głosy w mroku

Minęły wieki, zanim ktoś wreszcie krzyknął:

– Chyba ich zgubiliśmy!

– Amos?!

– Tu jestem – rozległ się głos Amosa kilka kroków za nami.

– Możemy się zatrzymać! – zawołał Miles gdzieś z przodu.

– Jack! – wrzasnąłem.

– Hop, hop! Tu jestem – odkrzyknął.

– Nic nie widzę!

– Na pewno ich zgubiliśmy? – zapytał Henry, puszczając moją rękę. Dopiero wtedy zorientowałem się, kto pomagał mi uciec.

– Tak.

– Cii… nasłuchujmy…

Staliśmy w milczeniu i bez ruchu, starając się wyłowić odgłosy kroków, ale dolatywało nas tylko cykanie świerszczy, rechot żab i nasze

własne ciężkie sapanie. Zgięci wpół, z trudem łapaliśmy oddech, kłuło nas w brzuchach.

– Zgubiliśmy ich – stwierdził Henry.

– Hurra! To było mocna sprawa.

– Gdzie jest latarka?

– Upadła mi!

– Skąd wiedzieliście, chłopaki?

– Zauważyliśmy ich wcześniej.

– Wyglądali na przygłupów.

– Ale mu przyładowałeś! – powiedziałem do Amosa.

– Udało mi się, no nie? – Amos się roześmiał.

– W ogóle się nie spodziewał – dodał Miles.

– Koleś pyta: „Też jesteś małpoludem?”, a ty go łup! – ciągnął Jack.

– Łup! – powtórzył Amos, uderzając pięścią w powietrze. – Ale gdy go walnąłem, przeleciało mi przez myśl: Amos, ty baranie, on jest dziesięć razy większy od ciebie! Więc poderwałem się z ziemi i zwiałem!

Wszyscy się roześmialiśmy.

– Złapałem Auggiego i w nogi! – wtrącił Henry.

– To ty mnie ciągnąłeś? – zdziwiłem się. – Nie miałem pojęcia.

– Nieprawdopodobne!

– Kompletnie nieprawdopodobne.

– Z ust leci ci krew, kolo.

– Dołożyli mi parę razy – przyznał Amos, ocierając wargę.

– Oni byli chyba z siódmej klasy.

– Potężni.

– Palanty! – krzyknął głośno Henry, ale zaraz go uciszyliśmy.

Przez chwilę nasłuchiwaliśmy dla pewności.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – zapytał Amos. – Nie widać nawet ekranu.

– Chyba na polu kukurydzy – stwierdził Miles, naginając łodygę w stronę Henry'ego.

– W porządku, wiem, co zrobić – powiedział Amos. – Idziemy tędy. Wyjdziemy na łąkę po drugiej stronie.

– Dobra jest. – Jack uniósł rękę. – Dzięki, chłopaki, że przyszliście nam z pomocą. Wielkie dzięki.

– Nie ma sprawy. – Najpierw Amos, potem Miles i Henry przybili piątkę Jackowi.

– Też wam dziękuję, chłopaki. – Podniosłem otwartą dłoń, jak to zrobił Jack, choć wcale nie byłem pewny, czy mnie również przybiją piątkę.

Amos spojrzał na mnie i kiwnął głową.

– Dzielny z ciebie mikrus, nie dałeś się – powiedział i przybił mi piątkę.

Miles zrobił to samo, mówiąc:

– Gdy zacząłeś: „Jesteśmy mniejsi od was…”.

– Nic innego nie przyszło mi do głowy. – Zaśmiałem się.

– Byłeś super, Auggie – wtrącił Henry i też przybił mi piątkę. – Przepraszam, że porwałem ci bluzę.

Spojrzałem na siebie. Bluza była rozerwana przez środek. Jednego rękawa brakowało, a drugi tak się wyciągnął, że sięgał mi do kolan.

– Zobacz, masz zakrwawiony łokieć – zauważył Jack.

– No mam. – Wzruszyłem ramionami, ale bolało coraz bardziej.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jack, widząc moją minę.

Kiwnąłem głową. Nagle poczułem, że zaraz się rozpłaczę, choć tak starałem się powstrzymać.

– Zaraz, zaraz, nie masz aparatu słuchowego! – zawołał Jack.

– Co?! – wykrzyknąłem, łapiąc się za uszy. Nie wymacałem pałąka. To dlatego miałem wrażenie, że jestem pod wodą! – O nie – jęknąłem.

Tego już było za wiele. Ostatnie wydarzenia okazały się ponad moje siły i nie dałem rady: rozpłakałem się. Na całego. Z oczu trysnęła „fontanna”, jak mówi mama. Ogarnął mnie taki

wstyd, że zasłoniłem twarz ramieniem, ale łzy leciały ciurkiem.

Chłopcy zachowali się fajnie. Poklepali mnie po plecach.

– W porządku, kolo. Wszystko w porządku – mówili.

– Naprawdę dzielny z ciebie mikrus, wiesz? – powiedział Amos i objął mnie jednym ramieniem.

Gdy łzy nadal ciekły mi z oczu, objął mnie obiema rękami, jak zrobiłby mój tato, i pozwolił mi się wypłakać.

# Straż przyboczna

Cofnęliśmy się i przez dobre dziesięć minut szukaliśmy aparatu słuchowego. W czarnych jak smoła ciemnościach nie widzieliśmy nic, musieliśmy trzymać się za koszule i iść gęsiego, żeby nie wpadać na siebie.

– Beznadziejna sprawa – stwierdził Henry. – Ten aparat mógł upaść gdziekolwiek.

– Może przyjdziemy tu z latarką? – zaproponował Amos.

– Nie, wracajmy. Dzięki, chłopaki – powiedziałem.

Ruszyliśmy z powrotem, do pola kukurydzy i przez nie, aż pojawił się tył wielkiego ekranu. Ponieważ byliśmy za ekranem i światło odbijało się w drugą stronę, szliśmy dokoła łąki w ciemnościach i w końcu znów znaleźliśmy się na skraju lasu. Tam zrobiło się trochę jaśniej.

Nigdzie nie było widać chłopaków z siódmej klasy.

– Jak myślicie, dokąd oni poszli? – odezwał się Jack.

– Wrócili do furgonetek z jedzeniem – powiedział Amos. – Pewnie sądzą, że na nich naskarżymy.

– A chcemy to zrobić? – zapytał Henry.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Pokręciłem głową.

– Niech będzie – zgodził się Amos – ale ty, mikrus, więcej nie kręć się tu sam. Jeżeli musisz gdzieś iść, powiedz, to pójdziemy z tobą.

– Dobra.

Gdy podeszliśmy bliżej ekranu, doleciały mnie dźwięki piosenki *Wysoko na hali pasterz kóz* i zapach waty cukrowej, sprzedawanej na straganach niedaleko furgonetek. Dookoła kłębiło się od dzieciaków, więc naciągnąłem na głowę nędzne resztki bluzy i pochylony, z rękami w kieszeniach, razem z kolegami przeciskałem się przez tłum. Dawno nie byłem na dworze bez aparatu słuchowego i czułem się tak, jakbym znajdował się głęboko pod ziemią. Jednocześnie przyszły mi na myśl słowa piosenki, którą śpiewała Miranda: „Kontrola lotu do majora Toma, połączenie padło, coś jest nie tak…”.

Zauważyłem, że Amos trzyma się tuż przy mnie po prawej stronie, Jack nie odstępuje mnie z lewej strony, Miles idzie przed nami, a Henry

za nami. Otaczali mnie ze wszystkich stron. Jak straż przyboczna.

# Przed snem

*W chwilę potem wydostali się z wąwozu i Łucja zobaczyła, co ten zgiełk oznaczał. Zobaczyła Piotra, Edmunda i całą resztę armii Aslana walczących zaciekle z hordami tych strasznych istot, które widziała ubiegłej nocy. Teraz, w świetle dnia wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie i złowrogo…*

Zamknąłem książkę. Czytałem już godzinę, ale wciąż nie zbierało mi się na sen. Dochodziła druga nad ranem. Wszyscy spali. Świeciłem sobie latarką w środku śpiwora, więc może światło nie dawało mi zasnąć. Tylko bałem się je zgasić, bałem się ciemności na zewnątrz śpiwora.

Gdy wróciliśmy na swoje miejsca przed ekranem, zorientowaliśmy się, że nikt nawet nie zauważył naszej nieobecności. Pan Tushman, pani Rubin, Summer i reszta uczniów oglądali

film. Nie mieli pojęcia, że mało brakowało, a mnie i Jacka spotkałoby coś złego. Jakie to dziwne, że człowiek przeżywa najgorszy wieczór w swoim życiu, ale dla innych ludzi ten wieczór jest całkiem zwyczajny. Na kalendarzu w domu z pewnością zaznaczyłbym ten dzień jako jeden z najstraszniejszych w życiu. Drugim takim był dzień śmierci Daisy. Natomiast dla reszty świata był to normalny, zwykły dzień. A może nawet dobry dzień. Może tego dnia ktoś wygrał na loterii.

Amos, Miles i Henry zaprowadzili mnie i Jacka na nasze miejsca obok Summer, Mayi i Leo, a potem wrócili do Ximeny, Savanny i swojej paczki. Właściwie wszystko wyglądało jak przed naszym wyjściem do toalety. Niebo było takie samo. Film też. Twarze wszystkich ludzi. I moja.

Ale coś było inaczej. Coś się zmieniło.

Widziałem, jak Amos, Miles i Henry opowiadają swojej paczce o wydarzeniu w lesie. Byłem pewny, że o tym mówią, bo co rusz spoglądali w moją stronę. Choć film jeszcze trwał, szeptem wymieniano się uwagami. Takie wiadomości rozchodzą się szybko.

Rozmawiano o tym również w autokarze, gdy wracaliśmy do obozu. Wszystkie dziewczyny,

nawet te, które słabo znałem, pytały, jak się czuję. Chłopcy chcieli zemścić się na tych palantach z siódmej klasy i próbowali dojść, z której są szkoły.

Nie miałem zamiaru mówić nauczycielom o tym, co się stało, ale i tak się dowiedzieli. Może zauważyli rozdartą bluzę i rozbity łokieć, a może oni zawsze o wszystkim wiedzą.

Po przyjeździe do obozu pan Tushman zaprowadził mnie do punktu sanitarnego, a potem, kiedy pielęgniarka opatrywała mi łokieć, razem z kierownikiem obozu wypytywał w sąsiednim pokoju Amosa, Jacka, Henry'ego i Milesa, jak wyglądali ci chuligani. Gdy później zapytał o to samo mnie, powiedziałem, że bym ich nie rozpoznał, co nie było prawdą.

Wieczorem, kiedy tylko zamykałem oczy, żeby zasnąć, zawsze widziałem ich twarze. Absolutnie przerażoną minę dziewczyny, gdy na mnie spojrzała. Nienawiść w oczach tego chłopaka z latarką, Eddiego, gdy do mnie mówił.

Jak jagnię na rzeź. Tak powiedział tato wieki temu, ale dopiero teraz zrozumiałem, co to znaczy.

# Co z tego wynikło

Mama, razem z innym rodzicami, czekała przed szkołą na przyjazd naszego autokaru. Kiedy wracaliśmy, pan Tushman powiedział mi, że zadzwonił do moich rodziców i poinformował ich, że poprzedniego wieczoru „doszło do pewnego zdarzenia”, ale nikomu nic się nie stało. Dowiedziałem się również, że rano, gdy poszliśmy się kąpać w jeziorze, kierownik obozu i kilku wychowawców pojechali szukać mojego aparatu słuchowego, ale go nie znaleźli. Dyrekcja rezerwatu jest zażenowana tym zajściem i postanowiła zwrócić pieniądze poniesione na zakup aparatu, dodał pan Tushman.

Przyszło mi na myśl, czy Eddie nie zabrał aparatu ze sobą, na pamiątkę spotkania z orkiem.

Gdy wysiadłem z autokaru, mama mocno mnie uścisnęła, ale nie zarzuciła pytaniami, jak się spodziewałem. W jej objęciach było mi tak

dobrze, że wcale nie chciałem się uwolnić, jak to robiły niektóre dzieci.

Widząc, że kierowca wyjmuje bagaże, poszedłem po swój, a z mamą zaczęli rozmawiać pan Tushman i pani Rubin. Gdy wracałem z torbą, dużo dzieciaków, które zwykle się do mnie nie odzywają, mówiło mi „cześć” albo klepało mnie po plecach.

– Idziemy? – zapytała mama.

Wzięła ode mnie torbę na kółkach, a ja w ogóle się nie sprzeciwiłem: byłem zadowolony, że mama ciągnie torbę. Gdyby chciała wziąć mnie na barana, też by mi to pasowało, prawdę mówiąc.

Gdy odchodziliśmy, pan Tushman szybko mnie objął i mocno przytulił, ale nie powiedział słowa.

# W domu

W drodze do domu mało rozmawialiśmy. Idąc po schodkach, odruchowo spojrzałem w okno wykuszowe. Zapomniałem, że Daisy nie będzie czekała na nas, jak zawsze siedząc na kanapie i opierając się przednimi łapami o parapet. Było mi trochę smutno, gdy wchodziłem do domu. Ledwie przeszliśmy przez próg, mama puściła torbę, wzięła mnie w ramiona i wycałowała po głowie i po twarzy.

– W porządku, mamo, nic mi nie jest – powiedziałem z uśmiechem.

Kiwnęła głową, obejmując dłońmi moją twarz. Oczy jej lśniły.

– Wiem. Tak się za tobą stęskniłam, Auggie.

– Ja też.

Widziałem, że ma mnóstwo do powiedzenia, ale się powstrzymuje.

– Zjesz coś? – zapytała.

– Umieram z głodu. Zrobisz mi grzankę z serem?

– Oczywiście. – Od razu zaczęła piec grzanki.

Zdjąłem kurtkę i usiadłem przy blacie.

– Gdzie jest Via? – zapytałem.

– Dzisiaj przywozi ją do domu tato. Nie mogła się ciebie doczekać, Auggie.

– Naprawdę? Rezerwat by się jej spodobał. Wiesz, jaki film wyświetlali? *Dźwięki muzyki*.

– Musisz jej to powiedzieć.

Kilka minut później podparłem głowę ręką i zapytałem:

– Co ci opowiedzieć najpierw: przyjemną historię czy nieprzyjemną?

– Jak wolisz.

– Jeśli nie liczyć ostatniego wieczoru, było ekstra. Po prostu rewelacyjnie. Dlatego jestem taki przybity. Oni zepsuli całą wycieczkę.

– Nie myśl tak, kochanie. Spędziłeś tam ponad czterdzieści osiem godzin, a to okropne zdarzenie trwało godzinę. Nie możesz dopuścić do tego, żeby oni odebrali ci całą przyjemność.

– Wiem. Czy pan Tushman powiedział wam o aparacie słuchowym?

– Tak, zadzwonił dziś rano.

– Tato się zezłościł? Że tyle pieniędzy poszło na marne?

– Ależ skąd, Auggie! Chciał tylko wiedzieć, czy nic ci się nie stało. To jest dla nas najważniejsze. Nie pozwól tym… drabom… zepsuć ci przyjemności z wyjazdu.

To słowo „drabom” wymówiła tak, że się roześmiałem.

– Co w tym śmiesznego?

– Drabom – powtórzyłem, naśladując jej ton. – Trochę niedzisiejsze słowo.

– Niech ci będzie: palanty, przygłupy, debile, tępaki… – Przewróciła grzankę z serem na drugą stronę. – *Cretinos*, powiedziałaby moja mama. Nazywaj ich, jak chcesz, ale gdybym zobaczyła ich na ulicy, to… – Pokręciła głową.

– Oni byli całkiem duzi, mamo. Pewnie z siódmej klasy.

– Z siódmej klasy? O tym pan Tushman nie wspomniał. Boże drogi!

– Powiedział ci, jak Jack stanął w mojej obronie? A Amos, łup, walnął z byka ich szefa. Obaj upadli na ziemię jak w prawdziwej bójce! To było niesamowite. Amos miał zakrwawioną wargę i w ogóle.

– Mówił, że doszło do bójki, ale… – Patrzyła na mnie ze zdziwioną miną. – Uff, co za ulga, że tobie, Amosowi i Jackowi nic się nie stało. Gdy

pomyślę, jak to mogło się skończyć… – Urwała i znowu przewróciła grzankę.

– Moja bluza jest w strzępach.

– Kupimy drugą. – Postawiła na blacie talerz z grzanką. – Mleko czy sok z białych winogron?

– A mogę dostać mleko czekoladowe? – poprosiłem, pożerając grzankę. – To twoje specjalne, z pianką.

– Dlaczego wyście w ogóle poszli na skraj lasu? – zapytała mama, wlewając mleko do wysokiej szklanki.

– Jack musiał iść do toalety – zacząłem opowiadać z pełnymi ustami. Tymczasem mama dodała do mleka łyżeczkę proszku czekoladowego i zaczęła ubijać pianę, bardzo szybko obracając trzepaczkę między otwartymi dłońmi. – Ale tam była ogromna kolejka i nie chciał czekać. Więc poszliśmy się wysikać w lesie. – Mama spojrzała na mnie, wciąż ubijając pianę. Wiedziałem, że według niej nie powinniśmy byli tak robić. Na mleku czekoladowym zrobiła się piana gruba na cztery palce. – Wygląda świetnie, mamo. Dzięki.

– I co było potem? – zapytała, stawiając przede mną szklankę.

Upiłem duży łyk.

– Możemy na razie o tym nie rozmawiać?

– No dobrze.

– Obiecuję, że opowiem ci wszystko później, kiedy wróci tato z Vią. Ze szczegółami. Po prostu nie chcę opowiadać tego samego dwa razy.

– Jasne.

Dokończyłem grzankę w dwóch kęsach i duszkiem wypiłem mleko.

– Ho, ho, uwinąłeś się błyskawicznie. Chcesz jeszcze jedną? – zapytała mama.

Pokręciłem głową i wytarłem usta wierzchem dłoni.

– Mamo, czy ja zawsze będę miał kłopoty z takimi głupkami? Nawet gdy dorosnę, też tak będzie?

Wzięła mój talerz i szklankę, opłukała w zlewie i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Na tym świecie zawsze znajdą się jakieś głupki, Auggie. Ale moim zdaniem i zdaniem taty na ziemi jest więcej dobrych ludzi niż złych, a dobrzy ludzie troszczą się o innych i pilnują, żeby nie spotkało ich nic złego. Tak jak Jack uważał na ciebie. I Amos, i ci dwaj chłopcy.

– Miles i Henry – wtrąciłem. – Zachowali się niesamowicie. Dziwne, bo ani jeden, ani drugi wcale nie byli dla mnie tacy mili przez ten rok.

– Ludzie czasem nas zaskakują – oświadczyła mama, mierzwiąc mi włosy.

– Na to wychodzi.

– Chcesz jeszcze mleka?

– Wystarczy. Dzięki, mamo. Tak naprawdę jestem trochę zmęczony. Nie najlepiej spałem ostatniej nocy.

– Idź się zdrzemnąć. Przy okazji, dziękuję, że zostawiłeś mi Misiaczka.

– Zauważyłaś moją kartkę?

Uśmiechnęła się.

– Spałam z nim i wczoraj, i przedwczoraj.

Już miała coś dodać, ale zadzwoniła jej komórka. Mama odebrała telefon i z każdą chwilą jej twarz rozpromieniała się coraz bardziej.

– O rany, naprawdę? Jakiego? – pytała przejęta. – Tak, jest obok mnie. Właśnie miał się zdrzemnąć. Chcesz się przywitać? Dobrze, widzimy się za dwie minuty. – Rozłączyła się.

– Dzwonił tato – oznajmiła podekscytowana. – Są już na naszej ulicy.

– Tato nie jest w pracy?

– Wyszedł wcześniej, bo nie mógł się doczekać, kiedy cię zobaczy. Więc odłóż jeszcze na chwilę tę drzemkę.

Upłynęło nie więcej niż pięć sekund, gdy tato i Via stanęli w drzwiach. Rzuciłem się w ramiona taty, a on podniósł mnie, obrócił w koło

i pocałował. Nie wypuszczał mnie z objęć przez dobrą minutę, aż w końcu powiedziałem: „Już dobrze, tato”. Następnie przyszła kolej na Vię, która obsypała mnie pocałunkami jak dawniej, gdy byłem mały.

Dopiero gdy przestała mnie całować, zauważyłem duże białe pudło, które ze sobą przynieśli.

– Co tam jest? – zapytałem.

– Otwórz – powiedział z uśmiechem tato.

Rodzice spojrzeli na siebie tak, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę.

– Otwieraj, Auggie! – zawołała Via.

Otworzyłem pudło. W środku siedział najśliczniejszy szczeniak, jakiego kiedykolwiek widziałem. Był czarny, miał puszyste futro, spiczasty pyszczek, błyszczące czarne oczka i małe opadające uszka.

# Misiek

Dostał na imię Misiek, bo mama, ledwie go zobaczyła, powiedziała, że wygląda jak niedźwiadek. „Więc nazwijmy go Misiek!”, zawołałem i wszyscy uznali, że to idealne imię.

Następnego dnia nie poszedłem do szkoły – nie dlatego, że bolał mnie łokieć, a rzeczywiście bolał, ale dlatego, że chciałem cały dzień bawić się z Miśkiem. Mama zgodziła się, żeby Via też została w domu, więc na zmianę przytulaliśmy pieska i bawiliśmy się z nim w przeciąganie szmaty. Wyjęliśmy wszystkie zabawki Daisy, żeby zobaczyć, które mu się spodobają.

Fajnie było spędzić cały dzień z Vią, tylko we dwoje. Przypomniały mi się dawne czasy, przed moim pójściem do szkoły. Wtedy nie mogłem się doczekać, kiedy wróci po lekcjach do domu i będzie się ze mną bawić tak długo, aż przyjdzie pora na odrabianie pracy domowej. Teraz, gdy

jesteśmy starsi, a ja uczę się w szkole i mam swoich kolegów, już tego nie robimy.

Przyjemnie było z nią pobyć, pośmiać się i pobawić. Myślę, że jej też to się podobało.

# Zmiana

Gdy przyszedłem do szkoły następnego dnia, od razu zauważyłem wielką zmianę w nastrojach. Kolosalną zmianę. Nieziemską. Może nawet kosmiczną. W każdym razie zmiana była oczywista. Wszyscy – nie tylko piątoklasiści, ale cała szkoła – wiedzieli już o zajściu z siódmoklasistami i nagle znano mnie nie z dotychczasowych przyczyn, lecz z powodu tego zdarzenia. Opowieść o tym, co się stało, wciąż się rozrastała. Dwa dni później mówiono już, że Amos stoczył z chłopakiem regularną bójkę na pięści, a Miles, Henry i Jack solidnie dołożyli pozostałym chłopakom. Ucieczkę przez głęboki ciemny las i błądzenie po polu kukurydzy opisywano jako jedną wielką przygodę. Najlepszą wersję wydarzeń przedstawił chyba Jack, bo umie opowiadać bardzo zabawnie, ale w każdej powtarzały się dwie rzeczy: pierwsza, że łobuzy zaczęły się mnie czepiać z powodu mojej twarzy,

i druga, że Jack mnie obronił, a Amos, Henry i Miles zapewnili mi bezpieczeństwo. A skoro zapewnili mi bezpieczeństwo, to znaczy, że zmienił się ich stosunek do mnie. Stałem się jakby jednym z nich. Wszyscy zaczęli mówić do mnie „mikrus”. Nawet mięśniaki, ci duzi kolesie, których dotąd ledwie znałem, przybijali mi żółwika, przechodząc koło mnie na korytarzu.

Zmieniło się coś jeszcze: Amos stał się megapopularny, a Julian, którego to wszystko ominęło, wypadł z gry. Miles i Henry nie odstępowali teraz Amosa – mieli nowego najlepszego przyjaciela. Niestety, nie mogę powiedzieć, że Julian zaczął traktować mnie lepiej. Wciąż rzucał mi krzywe spojrzenia i nie odzywał się ani do mnie, ani do Jacka. Ponieważ tylko on jeden tak się zachowywał, Jack i ja mieliśmy go w nosie.

# Kaczka

W przeddzień zakończenia roku szkolnego pan Tushman wezwał mnie do swojego gabinetu i powiedział, że wiadomo już, jak nazywają się siódmoklasiści, którzy byli w rezerwacie przyrody. Zaczął wyczytywać nazwiska, zupełnie mi nieznane. Gdy wymienił ostatnie: Edward Johnson, kiwnąłem głową.

– Rozpoznajesz to nazwisko? – zapytał.

– Mówili do niego „Eddie”.

– Zgadza się. To znaleziono w jego szafce. – Pokazał mi resztki aparatu słuchowego. Brakowało prawej słuchawki, lewa była zgnieciona, a łączący je pałąk, ta lobotowa część, był zgięty na środku. – Dyrekcja jego szkoły pyta, czy chcesz wnieść oskarżenie.

Spojrzałem na aparat.

– Chyba nie. – Wzruszyłem ramionami. – I tak dostanę nowy.

– Może warto, żebyś wieczorem porozmawiał na ten temat z rodzicami? A ja skontaktuję się jutro z twoją mamą.

– Czy oni pójdą do więzienia?

– Do więzienia nie pójdą – odparł pan Tushman – ale zapewne staną przed sądem dla nieletnich. Może to ich czegoś nauczy.

– Niech mi pan wierzy, ten małolat Eddie nigdy się niczego nie nauczy – rzuciłem żartobliwie.

Pan Tushman usiadł za biurkiem.

– Porozmawiajmy chwilę – rzekł, wskazując mi krzesło.

Usiadłem. Biurko wyglądało tak samo jak latem zeszłego roku, gdy wszedłem pierwszy raz do gabinetu: wciąż była tam kostka pokryta malutkimi lusterkami i globus bujający się w powietrzu. Miałem wrażenie, że od tamtego dnia minęły wieki.

– Trudno uwierzyć, że ten rok ma się ku końcowi, prawda? – powiedział pan Tushman, jakby czytał mi w myślach.

– No tak.

– To był dla ciebie dobry rok, Auggie? Jesteś zadowolony?

– Uhm, dobry. – Kiwnąłem głową.

– Nauka szła ci doskonale. Należysz do najlepszych uczniów. Gratuluję świadectwa z wyróżnieniem.

– Dziękuję. Też się cieszę.

– Wiem, że po drodze były góry i doły – ciągnął, spoglądając na mnie baczniej. – Tamten wieczór w rezerwacie na pewno wspominasz nieprzyjemnie.

– Uhm, ale miał też dobre strony.

– Na przykład?

– No wie pan, koledzy stanęli w mojej obronie i w ogóle.

– Wspaniale się zachowali – powiedział z uśmiechem.

– Uhm.

– Poza tym czasem ci się nie układało z Julianem.

Przyznam, że tu mnie zaskoczył.

– Skąd pan wie? – zapytałem.

– Dyrektorzy mają swoje sposoby, żeby wiedzieć różne rzeczy.

– Ukrył pan na korytarzach kamery monitoringu? – zażartowałem.

– I wszędzie zamontowałem mikrofony. – Roześmiał się.

– Nie, poważnie?

Znowu się roześmiał.

– Nie, niepoważnie – odparł.

– Aha!

– Nauczyciele wiedzą więcej, niż się wydaje uczniom. Ty i Jack powinniście byli przyjść do mnie i opowiedzieć o kartkach, które znajdowaliście w szafkach.

– Skąd pan o tym wie? – zdziwiłem się.

– Mówię ci, dyrektorzy wiedzą o wszystkim, co się dzieje w szkole.

– To nie była taka wielka sprawa – odrzekłem. – Poza tym my też pisaliśmy kartki.

Uśmiechnął się.

– Ta wiadomość chyba nie jest jeszcze powszechnie znana, ale wkrótce będzie. Otóż w przyszłym roku Julian Albans odchodzi ze szkoły Beechera.

– Co takiego? – Nie udało mi się ukryć zaskoczenia.

– Jego rodzice uznali, że szkoła Beechera nie jest dla niego odpowiednia – mówił dalej pan Tushman, unosząc lekko ramiona.

– O rany, co za wiadomość!

– Uważałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

I wtedy nagle zauważyłem, że zniknął przypominający dynię portret, który wisiał za biurkiem, a na jego miejscu pojawił się oprawiony w ramki mój „zwierzęcy” autoportret,

który zrobiłem na noworoczną wystawę plastyczną.

– O, to mój! – zawołałem, wskazując rysunek.

Pan Tushman odwrócił się, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

– A, no tak. – Stuknął się w czoło. – Od paru miesięcy zamierzam ci to pokazać.

– Mój autoportret jako kaczki.

– Ogromnie mi się podoba ta praca. Gdy pokazała mi ją nauczycielka plastyki, zapytałem, czy mógłbym powiesić ten rysunek w swoim gabinecie. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Oczywiście, że nie! A gdzie jest portret przypominający dynię?

– Za twoimi plecami.

– Aha. To fajnie.

– Gdy powiesiłem ten obrazek, zastanowiło mnie… – spojrzał na mój rysunek – dlaczego przedstawiłeś siebie jako kaczkę.

– Jak to? Przecież dostaliśmy takie zadanie.

– No tak, ale dlaczego kaczka? Czy można założyć, że miałeś na myśli tę bajkę… no wiesz, o kaczątku, które przemienia się w łabędzia?

– Nie, nie. – Roześmiałem się. – Uważam, że jestem podobny do kaczki.

– Ach tak? Naprawdę? – Pan Tushman zrobił wielkie oczy i zaczął się śmiać. – No patrzcie, ja tu szukam symboli i metafor, a… hmm… czasem kaczka jest po prostu kaczką!

– Pewnie tak. – Zgodziłem się z nim, choć nie całkiem rozumiałem, co go tak rozbawiło.

Śmiał się do siebie jeszcze dobre pół minuty.

– Dziękuję za pogawędkę, Auggie – powiedział w końcu. – Ogromnie się cieszę, że jesteś uczniem naszej szkoły, i nie mogę się doczekać, co przyniesie następny rok. – Wyciągnął rękę przez biurko i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Do widzenia jutro na rozdaniu świadectw.

– Do zobaczenia, panie dyrektorze.

# Ostatnie wskazanie

Gdy ostatni raz przyszliśmy na lekcję angielskiego do pana Browne'a, na tablicy było napisane:

CZERWCOWE WSKAZANIE
PANA BROWNE'A:

ŻYJ DNIEM I SIĘGAJ SŁOŃCA!
(Polyphonic Spree)

Uczniowie 5B!
Życzę Wam udanych wakacji.

To był świetny rok,
a Wy byliście wspaniałą klasą.

Postarajcie się przysłać mi widokówkę
z Waszymi własnymi wskazaniami. Możecie je

wymyślić albo przytoczyć coś dla Was ważnego, co gdzieś przeczytaliście (nie zapomnijcie podać źródła!). Będę niecierpliwie czekał na pocztówki od Was.

Tom Browne
563 Sebastian Place
Bronx, NY 10053

# Podwózka

Uroczystość rozdania świadectw odbywała się w auli szkoły podstawowej wyższej Beechera. Z naszego domu szło się do tego budynku tylko piętnaście minut, ale tato zawiózł mnie samochodem, bo byłem odświętnie ubrany i miałem lśniące czarne buty, nowe i jeszcze nierozchodzone, i bałem się, że będą mnie uwierały. Uczniowie mieli się zebrać w auli na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości, ale my przyjechaliśmy na miejsce jeszcze wcześniej, więc postanowiliśmy poczekać w samochodzie. Tato włączył odtwarzacz CD i puścił naszą ulubioną piosenkę. Z uśmiechem zaczęliśmy kiwać głowami w rytm muzyki.

Tato śpiewał razem z zespołem: „Andy przepedałuje w deszczu całe miasto, żeby ci migiem przywieźć świeże ciasto”[16].

– Popatrz, mam prosto krawat? – zapytałem.

Spojrzał na mnie i troszkę poprawił mi krawat, nie przestając śpiewać: „John ci chciałby suknię sprawić, żebyś na balu mogła się z nim bawić…”.

– Jestem porządnie uczesany? – pytałem dalej.

– Idealnie. – Kiwnął głową. – Wyglądasz świetnie, Auggie.

– Rano Via posmarowała mi włosy żelem – powiedziałem, odginając osłonę przeciwsłoneczną i zerkając w lusterko. – Nie sterczą za bardzo?

– Nie, jest ekstra, Auggie. Jeszcze nigdy nie miałeś takich krótkich, co?

– Wczoraj kazałem je obciąć. Moim zdaniem wyglądam trochę doroślej. Nie uważasz?

– Absolutnie! – Patrzył na mnie z uśmiechem. – „Lecz to ja jestem w dzielnicy najszczęśliwszym z ludzi, bo mam brykę, co zachwyt w tobie budzi”. Spójrz na siebie, Auggie – mówił rozpromieniony. – Tylko spójrz. Wydoroślałeś, elegancko wyglądasz. Nie mogę uwierzyć, że ukończyłeś piątą klasę!

– Ja też. To niesłychane, prawda?

– Mam wrażenie, jakbyś dopiero wczoraj szedł pierwszy raz do szkoły.

– Wtedy miałem jeszcze ten warkoczyk z tyłu. Pamiętasz?

– O rety, no tak! – Potarł dłonią czoło.

– Nie znosiłeś go, co?

– To za dużo powiedziane, ale z pewnością nie byłem zachwycony.

– Nie znosiłeś go. No, przyznaj się. – W żartach próbowałem przyprzeć go do muru.

– Nie, nie aż tak. – Z uśmiechem pokręcił głową. – Natomiast przyznaję, że nie cierpiałem tego hełmu kosmonauty, z którym się nie rozstawałeś, pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam! Dostałem go od Mirandy i nosiłem właściwie na okrągło.

– Mój Boże, jak ja go nie lubiłem. – Zaśmiał się, ale chyba bardziej do swoich myśli.

– Byłem przybity, gdy się zgubił – powiedziałem.

– Wcale się nie zgubił – oświadczył tato jakby nigdy nic. – Wyrzuciłem go.

– Zaraz, zaraz. Co takiego?! – Nie wierzyłem własnym uszom.

– „Piękny dziś dzień, piękny jak ty” – śpiewał tato.

– Tato! – Przyciszyłem muzykę.

– Co?

– Wyrzuciłeś hełm?!

W końcu spojrzał na mnie i zorientował się, że jestem wściekły. Nie mogłem uwierzyć, że

traktuje tę sprawę tak lekko. Dla mnie była to wstrząsająca informacja, a on zachowywał się tak, jakby nic wielkiego się nie stało.

– Wiesz, Auggie, nie mogłem już znieść, że twoja twarz jest ukryta pod tym hełmem – wyznał z zakłopotaniem.

– Uwielbiałem go! Dużo dla mnie znaczył! Byłem kompletnie przybity, gdy się zgubił… nie pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam – powiedział półgłosem. – Nie złość się, Auggie. Przepraszam. Po prostu miałem już dość patrzenia, jak ciągle go nosisz. Moim zdaniem to nie było dla ciebie dobre.

Próbował pochwycić mój wzrok, ale ja nie chciałem na niego spojrzeć.

– Przestań, Auggie. Postaraj się zrozumieć – mówił dalej, biorąc mnie za brodę i odwracając moją twarz ku sobie. – Nosiłeś ten hełm bez przerwy. Ale rzeczywista i najprawdziwsza prawda jest taka, że brakowało mi widoku twojej twarzy, Auggie. Wiem, że ty nie zawsze ją kochasz, ale musisz zrozumieć, że ja ją kocham. Kocham twoją twarz bezgranicznie. I serce mi pękało, gdy ją ciągle ukrywałeś.

Patrzył na mnie, mrużąc oczy, jakby naprawdę chciał, żebym go zrozumiał.

– Czy mama wie o tym? – zapytałem.

Wytrzeszczył oczy.

– Skądże! Nie żartuj! Ona by mnie zabiła!

– Przewróciła cały dom do góry nogami, szukając tego hełmu – przypomniałem mu. – Chyba przez tydzień grzebała we wszystkich szafach, w garderobach, w pralni, wszędzie.

– Wiem! – Kiwnął głową. – Dlatego by mnie zabiła.

Otworzył szeroko oczy i zobaczyłem w nich coś, co doprowadziło mnie do śmiechu, a tacie opadła szczęka, jakby właśnie z czegoś zdał sobie sprawę.

– Poczekaj no, Auggie. – Wycelował we mnie palec. – Masz mi obiecać, że nie powiesz o tym mamie.

Uśmiechnąłem się i zatarłem ręce, jakby kroił mi się złoty interes.

– Pomyślmy… – Pogładziłem się po brodzie. – Przyda mi się nowy xbox, który wchodzi do sklepów w przyszłym miesiącu. I na pewno będzie mi potrzebny własny samochód za jakieś sześć lat. Może być czerwone porsche. No i…

Tato zaczął się śmiać. Jestem przeszczęśliwy, gdy uda mi się go rozśmieszyć, bo zwykle to on jest wesołkiem i rozbawia wszystkich dokoła.

– O rany, ty rzeczywiście wydoroślałeś – stwierdził, kręcąc głową.

Zaczynał się nasz ulubiony kawałek piosenki, więc pogłośniłem muzykę. Obaj wtórowaliśmy zespołowi.

– „Największym brzydalem w dzielnicy jestem ja, ale mam brykę i na wycieczkę jedziesz ze mną tra-la-la. Tra-la-la. Tra-la-laaaaaaaaaa”.

Zawsze śpiewaliśmy końcówkę na całe gardło, starając się przeciągać „a” tak długo, jak to robił wokalista, a potem wybuchaliśmy śmiechem. Rozbawieni dostrzegliśmy Jacka, który szedł w naszą stronę. Już miałem wysiąść, ale tato mnie zatrzymał.

– Poczekaj, chcę mieć pewność, że mi przebaczyłeś.

– W porządku, przebaczam ci.

– Dziękuję. – Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Ale nigdy więcej nie wyrzucaj cichaczem moich rzeczy!

– Obiecuję.

Wysiadłem w tej samej chwili, gdy Jack stanął przy samochodzie.

– Cześć, Jack.

– Cześć, Auggie. Dzień dobry panu.

– Jak się masz, Jack? – rzucił tato.

– Widzimy się później – powiedziałem do taty i zamknąłem drzwi.

– Powodzenia, chłopaki! – zawołał tato, opuszczając szybę. – Zobaczymy się, gdy będziecie w szóstej klasie!

Pomachaliśmy mu, kiedy zapalił silnik. Już ruszał, ale podbiegłem do niego i wsadziłem głowę przez okno, żeby Jack nie słyszał, co powiem.

– Moglibyście mnie za bardzo nie obcałowywać po rozdaniu świadectw? – poprosiłem szeptem. – To trochę krępujące.

– Postaram się.

– Powiesz mamie?

– Chyba nie będzie mogła się powstrzymać, Auggie, ale jej powtórzę.

– Pa, kochany tatku.

Uśmiechnął się.

– Pa, synku mój, synku.

# Prosimy wszystkich o zajmowanie miejsc

Idąc za dwójką szóstoklasistów, weszliśmy z Jackiem do budynku szkoły, a potem do auli.

Pani G. stała w drzwiach, wręczając każdemu program uroczystości i mówiąc uczniom, gdzie mają usiąść.

– Piąte klasy idą bocznym przejściem po lewej stronie. Szóste klasy kierują się na prawo. Wchodzimy. Wchodzimy. Dzień dobry. Proszę iść na miejsca zbiórek. Piąte klasy na lewo, szóste na prawo…

Aula była wielka. Pod sufitem lśniły duże żyrandole, ściany były pokryte czerwonym aksamitem, rzędy wyścielanych foteli ciągnęły się po ogromną scenę. Poszliśmy najpierw szerokim przejściem, potem zgodnie ze znakami, na miejsce zbiórki piątoklasistów. Znajdowało się w dużym pokoju po lewej stronie od sceny.

W środku były cztery rzędy składanych krzeseł. W przedniej części pomieszczenia stała pani Rubin, która pomachała nam, gdy tylko weszliśmy.

– Zajmujemy miejsca. Zajmujemy miejsca – powtarzała, wskazując krzesła. – Pamiętajcie, że siedzicie według alfabetu. Proszę zajmować miejsca.

Brakowało jeszcze wielu uczniów, a ci, którzy byli w pokoju, nie słuchali pani Rubin. Ja i Jack zwinęliśmy w rulon programy i walczyliśmy jak na miecze.

– Cześć, chłopaki.

Podeszła do nas Summer. Miała jasnoróżową sukienkę i chyba lekko się umalowała.

– O rany, Summer, wyglądasz fantastycznie – powiedziałem najzupełniej szczerze.

– Naprawdę? Dzięki, Auggie. Ty też.

– No, wyglądasz w porządku, Summer – rzucił Jack jakby od niechcenia.

Wtedy uświadomiłem sobie, że Jack się w niej zabujał.

– Jestem bardzo przejęta – oznajmiła Summer. – A wy?

– Trochę – odpowiedziałem.

– O rany, tylko przeczytajcie, co jest w programie. Będziemy tu siedzieć cały dzień –

jęknął Jack, drapiąc się w głowę.

Otworzyłem program.

**Słowo wstępne dyrektora**
**dr. Harolda Jansena**

**Wystąpienie wicedyrektora**
**Lawrence'a Tushmana**

***Światło i dzień*** **(zespołu Polyphonic Spree)**
**w wykonaniu chóru klas średnich**

**Mowa z okazji rozdania świadectw.**
**Ximena Chin, w imieniu uczniów klas piątych**

**Johann Pachelbel:** ***Kanon D-dur***
**w wykonaniu zespołu kameralnego klas średnich**

**Mowa z okazji rozdania świadectw.**
**Mark Antoniak, w imieniu uczniów klas szóstych**

**_Pod presją_ (zespołu Queen)**
**w wykonaniu chóru klas średnich**

**Wystąpienie dyrektora**
**administracyjnego**
**Jennifer Rubin**

**Rozdanie nagród (patrz na odwrocie)**

**Wręczenie świadectw**

– Dlaczego tak myślisz? – zapytałem.

– Bo pan Jansen przemawia bez końca – odpowiedział Jack. – Jest jeszcze gorszy od pana Tushmana.

– Moja mama zasnęła podczas jego przemówienia w zeszłym roku – wtrąciła Summer.

– Jak wygląda rozdanie nagród? – zapytałem.

– Wręczają medale największym mózgowcom – wyjaśnił Jack. – Czyli wszystkie nagrody dla piątych klas zgarną Charlotte i Ximena. Były najlepsze również w czwartej klasie i w trzeciej.

– A w drugiej nie? – zdziwiłem się ze śmiechem.

– W drugiej klasie nie dostaje się nagród – odparł Jack.

– Może w tym roku przyznają tobie – zażartowałem.

– Jeżeli będą wybierać największego przeciętniaka! – Jack się zaśmiał.

– Chłopcy, dziewczęta, zajmujcie miejsca! – Pani Rubin podniosła głos, może zirytowana, że nikt jej nie słucha. – Mamy dużo spraw do omówienia, więc proszę siadać. Pamiętajcie: według alfabetu! Ci z nazwiskami od A do G siedzą w pierwszym rzędzie. Od H do N w drugim. Od O do Q w trzecim. Od R do Z w ostatnim. Raz-dwa, ruszajcie się.

– Musimy już usiąść – powiedziała Charlotte i poszła w stronę pierwszego rzędu.

– Potem idziemy do mnie! – krzyknąłem za nią.

– Oczywiście! – odkrzyknęła, siadając obok Ximeny Chin.

– Od kiedy ona jest taka seksowna? – szepnął mi do ucha Jack.

– Zamknij się, kolo. – Zdusiłem śmiech i poszliśmy w stronę trzeciego rzędu.

– Pytam poważnie – mruknął, siadając przy mnie. – Kiedy to się stało?

– Panie Will! – zawołała pani Rubin. – Zawsze myślałam, że litera W jest po R i przed Z. Czyżbym się myliła?

Jack spojrzał na nią tępym wzrokiem.

– Usiadłeś nie w tym rzędzie co trzeba! – wyjaśniłem.

– Naprawdę? – Gdy wstawał z krzesła, wyglądał tak, jakby był kompletnie zdezorientowany, a zarazem jakby zrobił komuś kawał.

Widząc jego minę, wybuchnąłem śmiechem.

# Zwykła rzecz

Mniej więcej godzinę później wszyscy siedzieliśmy w ogromnej auli, czekając na wystąpienie pana Tushmana. Sala była jeszcze większa, niż ją sobie wyobrażałem, większa od tej w szkole Vii. Gdy się rozejrzałem, miałem wrażenie, że na widowni jest milion ludzi – no, może nie milion, ale bardzo dużo.

– Dziękuję panu dyrektorowi Jansenowi za życzliwość wyrażoną w słowie wstępnym – zaczął pan Tushman, gdy wyszedł na scenę i stanął na podium. – Serdecznie witam koleżanki i kolegów z grona pedagogicznego… Witam rodziców, dziadków, przyjaciół i szacownych gości, a zwłaszcza uczniów klas piątych i szóstych… Witajcie na uroczystości rozdania świadectw w szkole podstawowej Beechera!!!

Rozległy się oklaski.

– Od lat mam za zadanie napisać dwa przemówienia na zakończenie roku szkolnego –

mówił dalej, patrząc przez zsunięte na koniec nosa okulary i czytając z kartki. – Jedno na uroczystość rozdania świadectw uczniom klas piątych i szóstych oraz drugie na podobną uroczystość dla klas siódmych i ósmych, która odbędzie się jutro. Rok w rok powtarzam sobie, że dla oszczędności czasu napiszę jedną mowę i wygłoszę na obu uroczystościach. To nie powinno być takie skomplikowane, prawda? Jednakże, wbrew swoim zamiarom, piszę dwie mowy. W tym roku wreszcie zrozumiałem, dlaczego tak się dzieje. Nie dlatego, jak moglibyście sądzić, że jutro będę się zwracał do starszych uczniów, którzy raczej mają już za sobą doświadczenia z lat spędzonych w szkole podstawowej średniej, natomiast wy macie te doświadczenia raczej przed sobą. Powód jest inny i jak sądzę, wiąże się z wiekiem, w jakim jesteście, z tym konkretnym okresem w waszym życiu, który nawet po dwudziestu latach pracy z uczniami klas średnich wciąż mnie wzrusza. Stoicie na progu, moi drodzy, wychodzicie z dzieciństwa i wkraczacie w młodość. Jesteście na etapie przejściowym. Zebraliśmy się tutaj, razem z waszymi rodzinami, przyjaciółmi i nauczycielami – pan Tushman zdjął okulary i wskazywał nimi wymienione osoby – nie tylko

po to, żeby uhonorować wasze tegoroczne osiągnięcia, lecz również po to, żeby wyrazić uznanie dla waszych bezgranicznych możliwości. Myśląc o wydarzeniach minionego roku, zobaczcie, w jakim punkcie jesteście i w jakim punkcie byliście. Wszyscy trochę urośliście, trochę zmężnieliście i trochę zmądrzeliście… mam nadzieję.

Niektórzy na widowni zachichotali.

– Głównym dowodem waszego wzrostu nie jest jednak liczba centymetrów na miarce, liczba okrążeń na bieżni ani nawet średnia waszych ocen, choć są one oczywiście ważne. Liczy się to, jak wykorzystaliście ten czas, czym wypełniliście dni i czyje uczucia poruszyliście. To jest w moim rozumieniu miarą sukcesu. Jest takie cudowne zdanie w książce J.M. Barriego… nie, nie mam na myśli *Piotrusia Pana* i nie poproszę was, żebyście klaszcząc w dłonie, potwierdzili, że wierzycie we wróżki…

W tym momencie wszyscy znowu się roześmiali.

– W książce zatytułowanej *Mały biały ptak*… Barrie pisze… – Pan Tushman przerzucał kartki niewielkiej książki, aż znalazł odpowiednią stronę i wtedy włożył okulary. – „Może

przyjmiemy w życiu nową zasadę… zawsze bądź ciut lepszy niż trzeba”.

Zdjął okulary i spojrzał na widownię.

– „Lepszy niż trzeba” – powtórzył. – Wspaniale powiedziane, prawda? Być lepszym niż trzeba. Bo nie wystarczy być dobrym. Człowiek powinien być lepszy, niż wymagają tego okoliczności. To zdanie, zawartą w nim myśl, ogromnie lubię, ponieważ przypomina mi, że my, istoty ludzkie, jesteśmy nie tylko zdolni do bycia dobrymi ludźmi, lecz również możemy wybrać bycie dobrymi ludźmi. Co to oznacza? Czym mierzyć dobroć? Nie używa się miarki. Jak powiedziałem przed chwilą: nie chodzi o to, żeby zmierzyć, ile urośliście przez rok. Dobroci nie da się zmierzyć, prawda? Skąd wiemy, że jesteśmy dobrzy? Na czym w ogóle polega bycie dobrym?

Znów włożył okulary i zaczął kartkować następną małą książkę.

– W innej książce, którą mam tu ze sobą, jest taki fragment… proszę o chwilę cierpliwości, zaraz znajdę… O, jest. W książce Christophera Nolana *Pod okiem zegara* główny bohater, młody chłopiec, zmaga się z niezwykłymi wyzwaniami. W pewnym momencie ktoś mu pomaga: kolega z jego klasy. Z pozoru wykonuje mały gest, ale dla tego chłopca, ma na imię Joseph, jest to…

pozwólcie, że… – Odchrząknął i przeczytał urywek: – „Właśnie w takich chwilach Joseph rozpoznawał twarz Boga w ludzkiej formie. Przebłyskiwała w okazanej mu dobroci, jarzyła się w sercach, ukazywała się w troskliwości, wręcz przemawiała w spojrzeniach”.

Zamilkł na chwilę i znowu zdjął okulary.

– „Przebłyskiwała w okazanej mu dobroci” – powtórzył z uśmiechem. – Taka zwykła rzecz: przejaw dobroci. Zwykła rzecz. Miłe słowo zachęty, wypowiedziane w odpowiedniej chwili. Przyjacielski gest. Przelotny uśmiech.

Odłożył książkę i pochylił się do przodu.

– Staram się pokazać wam, moi drodzy, jaką wartość ma ta zwykła rzecz zwana dobrocią. Tylko tyle pragnę wam dzisiaj przekazać. Wiem, że słynę niechlubnie… hmm… ze skłonności do słowotoku…

Ponownie rozległy się śmiechy. Pan Tushman najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że jest znany z długich przemówień.

– …ale powiem coś jeszcze. Chcę, żeby moi wychowankowie, kończąc szkołę podstawową średnią, mieli niezachwianą pewność, że w przyszłości, którą sobie zbudują, wszystko jest możliwe. Jeżeli każdy na tej sali przyjmie zasadę, że zawsze i wszędzie będzie się starał

postępować ciut lepiej niż trzeba, to nasz świat rzeczywiście stanie się lepszym miejscem. Jeżeli się postaracie, jeżeli będziecie ciut lepsi niż trzeba, to pewnie ktoś kiedyś rozpozna w każdym z was twarz Boga.

Przerwał i wzruszył ramionami.

– Albo, zgodnie z wymogami politycznej poprawności, duchową emanację uniwersalnego dobra, jeśli tak mówi wasza wiara – dodał szybko, wywołując śmiech i oklaski zwłaszcza w tylnej części sali, gdzie siedzieli rodzice.

# Nagrody

Podobało mi się przemówienie pana Tushmana, natomiast w ciągu paru innych mów, muszę przyznać, czasem się wyłączałem.

Gdy pani Rubin zaczęła wyczytywać nazwiska uczniów, którzy zostali wyróżnieni, włączyłem się na nowo, bo każdy, słysząc swoje nazwisko, miał wstać. Czekałem, aż padnie moje. Lista była ułożona według alfabetu. Leo Kingsley. Maya Markowitz. August Pullman. Wstałem. Kiedy wymieniła wszystkich, poleciła nam odwrócić się w stronę widowni i ukłonić. Wtedy dostaliśmy brawa.

Nie miałem pojęcia, gdzie w tym tłumie siedzą moi rodzice. Widziałem tylko, jak migają lampy błyskowe aparatów i jak ludzie machają swoim dzieciom. Nie mogąc dostrzec mamy, wyobraziłem sobie, że kiwa mi ręką.

Potem pan Tushman wrócił na podium, żeby wręczyć medale za wyniki w nauce. Jak

przewidział Jack, Ximena Chin otrzymała złoty medal „za wybitne osiągnięcia w nauce w klasie piątej”. Charlotte dostała srebrny medal za wyniki w nauce oraz złoty z muzyki. Amos dostał złoty medal za wybitne osiągnięcia sportowe, co mnie naprawdę ucieszyło, bo od wyjazdu do rezerwatu zaliczałem go do swoich najlepszych przyjaciół w szkole. Ale najbardziej przejęty byłem wtedy, gdy pan Tushman wywołał Summer i wręczył jej złoty medal za osiągnięcia pisarskie. Widziałem, jak przyłożyła rękę do ust, słysząc swoje nazwisko, i gdy wchodziła na scenę, krzyknąłem z całej siły: „Hurra, Summer!”, ale nie sądzę, żeby mnie usłyszała.

Gdy rozdano wszystkie medale, nagrodzeni stanęli rzędem na scenie, a pan Tushman zwrócił się do widowni:

– Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić tegorocznych prymusów szkoły Beechera. Wszystkim serdecznie gratuluję!

Kiedy składali ukłon, biłem im brawo, a najbardziej cieszyłem się z sukcesu Summer.

– Ostatnią nagrodą, jaką dzisiaj wręczamy – powiedział pan Tushman, gdy uczniowie zeszli ze sceny i wrócili na swoje miejsca – jest medal Henry’ego Warda Beechera, przyznawany uczniom wybitnym lub wzorowym na pewnych

polach w ciągu całego roku szkolnego. Zazwyczaj medal ten był wyrazem naszego uznania za wolontaryjną działalność społeczną lub zasługi dla naszej szkoły…

Od razu pomyślałem, że przypadnie Charlotte, która w tym roku zorganizowała zbiórkę ciepłych ubrań dla potrzebujących, więc znowu trochę się wyłączyłem. Spojrzałem na zegarek: była za cztery jedenasta. Poczułem lekki głód i nabrałem ochoty na lunch.

– …Jak wiadomo, Henry Ward Beecher, patron naszej szkoły, działał na rzecz zniesienia niewolnictwa i wygłaszał płomienne kazania w obronie praw człowieka – mówił pan Tushman, gdy znów się skoncentrowałem. – Przygotowując się do wręczenia tej nagrody, czytałem książkę o jego życiu i natknąłem się na fragment ściśle związany z kwestiami, które poruszyłem wcześniej i nad którymi rozmyślałem przez cały rok. Chodzi mi nie o dobroć w sensie ogólnym, lecz o dobroć indywidualnego człowieka. Siłę jego przyjaźni. Niezłomność charakteru. Odwagę i hart ducha…

W tym momencie stało się coś bardzo dziwnego: panu Tushmanowi załamał się lekko głos, jakby coś wpadło mu do gardła. Musiał

odchrząknąć i napić się wody. Wytężyłem uwagę, żeby dobrze go słyszeć.

– Odwaga i hart ducha – powtórzył cicho, z uśmiechem kiwając głową. Uniósł prawą rękę, jakby zamierzał coś wyliczać. – Odwaga. Dobroć. Przyjaźń. Charakter. To są cnoty, które określają nas, ludzi, i dzięki którym wkraczamy, czasem, na drogę ku wielkości. Medal Henry'ego Warda Beechera jest właśnie wyrazem uznania czyjejś wielkości. Jak ją rozpoznajemy? Jak mierzymy? Wielkości też nie mierzy się miarką. Czy w ogóle można ją zdefiniować? Beecher odpowiedział na to pytanie.

Przerzucił parę kartek książki i zaczął czytać:

– „Wielkość przejawia się nie w sile, lecz we właściwym jej wykorzystaniu… Największym człowiekiem jest ten, kto swoją siłą potrafi porwać najwięcej serc…".

Znowu, ni stąd, ni zowąd, głos uwiązł mu w gardle. Przyłożył oba palce wskazujące do ust i po chwili mówił dalej:

– „Największym człowiekiem jest ten, kto swoją siłą potrafi porwać najwięcej serc, okazując swoje serce". Nie będę się już rozwlekał. Jestem dumny, mogąc w tym roku wręczyć medal Henry'ego Warda Beechera uczniowi, który swoją cichą siłą porywa najwięcej serc. Po

odbiór nagrody zapraszam na scenę Augusta Pullmana.

# Na fali

Ludzie zaczęli bić brawo, zanim dotarły do mnie słowa pana Tushmana. Słyszałem, jak Maya, która siedziała obok mnie, wydała cichy okrzyk radości, słysząc moje nazwisko, a Miles, który siedział po mojej drugiej stronie, klepnął mnie w plecy. „Wstań! Wstań!”, mówili wszyscy dokoła. Czułem, jak mnóstwo rąk podrywa mnie z krzesła, popycha na koniec rzędu, klepie po plecach i przybija piątkę. „Brawo, Auggie!”. „Świetnie, Auggie!”. Nawet skandowano moje imię: „Aug-gie! Aug-gie! Aug-gie!”. Obejrzałem się i dostrzegłem uśmiechniętego Jacka, który z uniesioną pięścią dyrygował skandowaniem i dawał mi znak, żebym szedł dalej, oraz Amosa, który trzymał dłonie przy ustach i krzyczał: „Hurra, mikrus!”.

W pewnej chwili zobaczyłem ucieszoną Summer. Gdy mijałem jej rząd, spojrzała na mnie, nieznacznie uniosła kciuk i bezgłośnie

powiedziała: „Gites”. Roześmiałem się i pokręciłem głową, jakbym nie mógł w to wszystko uwierzyć. Rzeczywiście nie mogłem.

Chyba się uśmiechałem, może nawet promiennie, sam nie wiem. Kiedy szedłem w kierunku sceny, widziałem jedynie ciąg radosnych twarzy zwróconych w moją stronę i klaszczące ręce. Słyszałem okrzyki: „Należy ci się, Auggie!”, „Spisałeś się, Auggie!”. Przed oczami przesuwali mi się jeden za drugim nauczyciele siedzący z boku sali: pan Browne, pani Petosa, pan Roche, pani Atanabi i pielęgniarka Molly, wszyscy wiwatowali na moją część, wołali: „Hura!”.

Miałem wrażenie, że płynę na fali. To było dziwne uczucie. Jakby słońce paliło mnie w twarz i wiał wiatr. Gdy prawie doszedłem do sceny, zauważyłem panią Rubin, która machała do mnie z pierwszego rzędu, a obok niej panią G., która zanosiła się płaczem – takim radosnym – i jednocześnie uśmiechała się i klaskała. Wspiąłem się po schodkach na scenę i wtedy wydarzyło się coś niesłychanego: wszyscy zaczęli wstawać. Nie tylko pierwsze rzędy, ale cała widownia nagle podniosła się z miejsc i rozległy się szaleńcze okrzyki i oklaski. To była owacja na stojąco. Dla mnie.

Podszedłem do pana Tushmana, który obiema rękami uścisnął mi dłoń, szepcząc do ucha: „Świetnie ci poszło”. Potem zawiesił mi na szyi złoty medal, jak to robią na olimpiadzie, i kazał odwrócić się do widowni. Czułem się tak albo prawie tak, jakbym oglądał siebie na filmie, jakbym był kimś innym. Przypomniała mi się ostatnia scena z *Gwiezdnych wojen: część czwarta – Nowa nadzieja*, gdy Luke Skywalker, Han Solo i Chewbacca dostają brawa za zniszczenie Gwiazdy Śmierci. Niemal słyszałem w głowie motyw muzyczny z filmu.

Właściwie to nawet nie wiedziałem, dlaczego dostaję ten medal.

Nie, nieprawda. Wiedziałem.

Zdarza się czasem, że widzisz człowieka i nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest być kimś takim, na przykład osobą, która porusza się na wózku inwalidzkim albo nie może mówić. Ja jednak wiem, że właśnie tak widzą mnie inni ludzie, może nawet wszyscy obecni na sali.

Ale we własnych oczach jestem po prostu sobą. Zwykłym dzieciakiem.

Co tam! Jeżeli chcą dać mi medal za to, że jestem sobą, w porządku. Przyjmuję. Choć nie zniszczyłem Gwiazdy Śmierci ani nie dokonałem niczego podobnego, udało mi się przebrnąć przez

piątą klasę. A to nie jest takie łatwe, nawet dla kogoś, kto nie jest mną.

# Fotki

Potem było przyjęcie dla uczniów klas piątych i szóstych, urządzone w wielkim białym namiocie na tyłach szkoły. Wszystkie dzieciaki odszukały swoich rodziców. Gdy znalazłem swoich, w ogóle mi nie przeszkadzało, że wyściskali mnie, ile wlezie, i że Via chwyciła mnie w ramiona i kołysała mną w lewo i w prawo chyba ze dwadzieścia razy. Później objęli mnie babcia i dziadek, ciocia Kate i wujek Po, i jeszcze wujek Ben – wszyscy mieli łzy w oczach i mokre policzki. Najśmieszniejsza była Miranda: płakała najwięcej ze wszystkich i tuliła mnie tak mocno, że Via musiała niemal odrywać ją ode mnie, co rozbawiło i jedną, i drugą.

Wszyscy zaczęli robić mi zdjęcia komórkami. Tato ustawił mnie, Summer i Jacka do wspólnej fotki. Obejmowaliśmy się i pierwszy raz, jak sięgnę pamięcią, w ogóle nie myślałem o swojej twarzy. Zadowolony patrzyłem na pstrykające

aparaty. Błysk, pstryk, błysk, pstryk… Z uśmiechem spoglądałem na rodziców Jacka i mamę Summer z aparatami w rękach. Po chwili podeszli do nas Leo i Maya. Błysk, pstryk, błysk, pstryk. Gdy przyszła Charlotte i zapytała, czy może mieć z nami zdjęcie, wszyscy zawołali: „Jasne, oczywiście!”. Naszą grupkę obfotografowali rodzice Charlotte i pozostałych dzieci.

Nie wiadomo kiedy, obok nas zjawili się obaj Maxowie, Henry, Miles i Savanna. Wkrótce dołączyli Amos i Ximena. Zbici w sporą gromadkę staliśmy jak gwiazdy kina na czerwonym dywanie w otoczeniu fotoreporterów. Luca, Isaiah, Nino, Pablo, Tristan, Ellie… Przestałem zwracać uwagę, kto jeszcze do nas podszedł. Prawie wszyscy. Wiem tylko, że śmialiśmy się, stłoczeni jedno przy drugim, i nikt nie przejmował się, czy jego twarz jest daleko, czy blisko mojej. A właściwie, nie chwaląc się, mam wrażenie, że wszyscy chcieli się znaleźć jak najbliżej mnie.

# W drodze do domu

Po przyjęciu poszliśmy spacerem do domu na ciasto i lody. Jack z rodzicami i swoim młodszym bratem Jamiem. Summer z mamą. Wujek Po i ciocia Kate. Wujek Ben. Babcia i dziadek. Justin z Vią i Mirandą. Mama i tato.

Był piękny dzień, jak to w czerwcu, gdy na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmurki i świeci słońce, ale nie jest tak gorąco, że wolałoby się siedzieć na plaży. Pogoda dopisała. Wszyscy się cieszyli. A ja wciąż miałem wrażenie, że płynę na fali, i wciąż słyszałem w głowie muzykę dla bohaterów z *Gwiezdnych wojen*.

Szedłem z Summer i Jackiem i zanosiliśmy się śmiechem. Wszystko nas bawiło. Byliśmy w takim nastroju, gdy wystarczy, że ktoś na ciebie spojrzy, a ty już zaczynasz chichotać.

Doleciał mnie głos taty gdzieś z przodu i uniosłem głowę. Tato opowiadał jakąś śmieszną historię. Wszyscy dorośli też się zaśmiewali.

Mama zawsze mówiła, że tato mógłby zostać komikiem.

Zauważyłem, że mamy nie ma razem z dorosłymi, i obejrzałem się do tyłu. Szła w pewnej odległości za nami i uśmiechała się do siebie, jakby myślała o czymś przyjemnym. Wyglądała na zadowoloną.

Cofnąłem się kilka kroków i zaskoczyłem ją, obejmując ręką w pasie. Objęła mnie i przytuliła.

– Dziękuję, że wysłałaś mnie do szkoły – powiedziałem półgłosem.

Przytuliła mnie jeszcze mocniej i pocałowała w czubek głowy.

– To ja dziękuję tobie, Auggie – szepnęła.

– Za co?

– Za wszystko, co od ciebie dostaliśmy – odrzekła. – Za to, że pojawiłeś się w naszym życiu. Za to, że jesteś taki, jaki jesteś.

Pochyliła się i szepnęła mi do ucha:

– Jesteś naszym cudem, Auggie. Prawdziwym cudem.

# Dodatek

**WSKAZANIA PANA BROWNE'A**

WRZESIEŃ

Jeśli możesz dać dowód albo swojej racji, albo dobroci, daj dowód swojej dobroci.

– Dr Wayne W. Dyer

PAŹDZIERNIK

Czynami wystawisz sobie pomnik.

– Napis na egipskim nagrobku

LISTOPAD

Nie szukaj przyjaciół wśród ludzi, którzy nie są ci równi.

– Konfucjusz

GRUDZIEŃ

*Audentes fortuna iuvat* (Fortuna sprzyja odważnym).

– Wergiliusz

STYCZEŃ

Żaden człowiek nie jest wyspą, chyba że sam dla siebie.

– John Donne

LUTY

Lepiej mieć kilka pytań, niż znać wszystkie odpowiedzi.

– James Thurber

MARZEC

Dobre słowa nie kosztują dużo, choć czynią wiele dobrego.

– Blaise Pascal

KWIECIEŃ

To, co piękne, jest dobre, a co jest dobre, będzie z pewnością piękne.

– Safona

MAJ

Czyń tyle dobra, ile zdołasz,

Wykorzystując wszelkie środki,
Jakkolwiek,
Gdziekolwiek,
Komukolwiek,
Jak długo zdołasz.

– Zasada Johna Wesleya

CZERWIEC

Żyj dniem i sięgaj słońca!

– Polyphonic Spree, *Światło i dzień*

**WSKAZANIA Z POCZTÓWEK**

WSKAZANIE CHARLOTTE CODY:

Nie wystarczy być przyjacielskim. Trzeba być przyjacielem.

WSKAZANIE LEO KINGSLEYA:

Ratując oceany, ratujesz świat – mnie!

WSKAZANIE TRISTANA FIEDLEHOLTZENA:

Czynami możesz wystawić sobie pomnik, ale z poczuciem humoru też zajdziesz daleko.

WSKAZANIE SAVANNY WITTENBERG:

Kwiaty są świetne, ale miłość jest lepsza.

– Justin Bieber

WSKAZANIE HENRY'EGO JOPLINA:
Nie przyjaźnij się z palantami.
– Henry Joplin

WSKAZANIE MAYI MARKOWITZ:
Wszystko, czego potrzebujesz, to miłość.
– The Beatles

WSKAZANIE AMOSA CONTIEGO:
Nie staraj się na siłę być fajny. To zawsze widać i jest niefajne.
– Amos Conti

WSKAZANIE XIMENY CHIN:
Najważniejsze, byś zawsze był wierny samemu sobie.
– Szekspir *Hamlet*

WSKAZANIE JULIANA ALBANSA:
Czasem warto zacząć od nowa.
– Julian Albans

WSKAZANIE SUMMER DAWSON:
Jeśli zdołasz przebrnąć przez piątą i szóstą klasę, nie sprawiając nikomu przykrości, to

jest naprawdę gites.

– Summer Dawson

WSKAZANIE JACKA WILLA:

Zachowaj spokój i żyj dalej!

– Powiedzenie z czasów drugiej wojny światowej

WSKAZANIE AUGUSTA PULLMANA:

Wszyscy powinniśmy przynajmniej raz w życiu dostać owację na stojąco, bo przecież każdy z nas zwycięża ten świat.

– Auggie

# Podziękowania

Jestem bezmiernie wdzięczna mojej niezwykłej agentce, Alyssie Eisner Henkin, która pokochała tę książkę jeszcze w jej pierwszych wersjach i była zagorzałą stronniczką Jill Aramor, R.J. Palacio czy jak tam postanowiłam się nazywać. Wielkie dzięki składam Joan Slattery, której radosny zapał zaprowadził mnie do Knopfa. Szczególne podziękowanie kieruję do Erin Clarke, wyjątkowej redaktorki, która dołożyła wszelkich starań, aby ta książka była jak najlepsza, i bardzo troskliwie zaopiekowała się Auggiem i Spółką – byłam pewna, że trafiliśmy w dobre ręce.

Pragnę podziękować wspaniałemu zespołowi, który pracował nad tą książką. Iris Broudy mam zaszczyt nazywać swoją adiustatorką. Kate Gartner oraz Tadowi Carpenterowi składam wyrazy wdzięczności za znakomitą obwolutę. Na długo przed napisaniem tej książki miałam

szczęście pracować obok adiustatorów, korektorów, grafików, kierowników produkcji i specjalistów od marketingu i reklamy, którzy poprzez swoją cichą i mozolną pracę, niewidoczną dla innych, przyczyniają się do powstawania książek – i robią to nie dla pieniędzy, lecz z miłości! Dziękuję przedstawicielom handlowym oraz klientom i właścicielom księgarń, zaangażowanym w działalność tej trudnej, choć pięknej branży.

Dziękuję moim wspaniałym synom, Calebowi i Josephowi, za radość, której nieustannie mi dostarczają, za wyrozumiałość, jaką okazywali, ilekroć mama musiała pisać, i za ciągłe dawanie mi dowodów swojej dobroci. Jesteście moimi cudami.

Najbardziej chciałabym podziękować mojemu niezwykłemu mężowi, Russellowi, za inspirujące uwagi i odczucia oraz za nieustanne wsparcie – nie tylko przy pracy nad tym przedsięwzięciem, lecz nad wszystkimi innymi przez wiele lat – za to, że jest moim pierwszym czytelnikiem, moją pierwszą miłością, moim wszystkim.` Jak powiedziała Maria z *Dźwięków muzyki*: „Kiedyś w młodości lub w dzieciństwie musiałam zrobić coś dobrego”. Czy można inaczej wytłumaczyć to, że udało nam się zbudować takie życie, jakie

mamy? Każdego dnia przepełnia mnie wdzięczność.

Na koniec, choć nie mniej gorąco, chciałabym podziękować małej dziewczynce przed lodziarnią oraz wszystkim „Auggiem”, których historie natchnęły mnie do napisania tej książki.

R.J.

# Przypisy

[1] Biblia Tysiąclecia, 1 Jan, 5, 4.

[2] W tej szkole podstawowej jest zerówka oraz szkoła niższa (klasy I do IV), średnia (klasy (V i VI) i wyższa (klasy VII i VIII). Naukę rozpoczynają pięcioletnie dzieci.

[3] Powieść dla dzieci, napisana przez Cornelię Funke, zwaną niemiecką Rowling. Wydana po polsku w 2005 roku.

[4] *Tush* (w amerykańskiej angielszczyźnie) – tyłek, zadek. *Man* (ang.) – człowiek, mężczyzna.

[5] *Butt* (ang.) – tyłek, zadek.

[6] Pan T. (Laurence Tureaud), aktor znany z serialu *Drużyna A* i filmu *Rocky III*. Z tego filmu pochodzi przytoczona kwestia: *I pity the fool*, która przeszła do języka potocznego.

[7] *Summer* (ang.) – lato, także imię żeńskie; *August* (ang.) – sierpień, także imię męskie.

[8] *June* (ang.) – czerwiec, także imię żeńskie; *July* (ang.) – lipiec, także mało popularne imię żeńskie i męskie; *May* (ang.) – maj.

[9] Przełożyła Maria Skibniewska.

[10] Popularna gra podwórkowa w USA. Boisko podzielone jest na cztery równe kwadraty, w każdym jest jeden gracz. Gumową piłkę rzuca się tak, żeby trafiła do kwadratu przeciwnika. Jeśli ten nie odbije jej do kolejnego gracza (albo piłka odbije się więcej niż dwa razy na jego polu), odpada z gry.

[11] Popularny gest wśród amerykańskich uczniów: skrzyżowanie ukradkiem palców rąk oznacza, że przysięga jest nieważna. W zamian można skrzyżować palce nóg albo stopy.

[12] Przełożył Jan Szwykowski.

[13] Przełożyła Julia Rylska (tu i dalej).

[14] Przełożył Stanisław Barańczak.

[15] Przekład Andrzej Polkowski.

[16] Przełożyła Agnieszka Jonczyk (tu i dalej).